

Cz 612



Ernest

<http://rcin.org.pl>

Widok wielkiej jaskini w Amassyi.

w. Loto 1851

KOLUMB

PAMIĘTNIK

Opisom podróży lądowych i morskich, najnowszych odkryć jeograficznych, wiadomościom statystycznym, oraz z temi w styczności zostającym, poświęcony.

ROK DRUGI.

TOM VI.

Kwiecień, Maj, Czerwiec.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



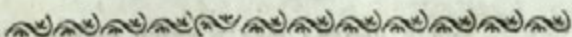
W WARSZAWIE
NAKŁADEM REDAKCJI:
W Drukarni Józefa Węckiego:
1829.

<http://rcin.org.pl>

Pamiętnik ten wychodzi co dni piętnaście, to jest 1 i 15 każdego miesiąca w objętości $3\frac{1}{2}$ do 4 arkuszy w 8ce z dołączeniem w miarę potrzeby rysunków, mapp i t. p. Cena prenumeraty kwartalnie w Warszawie złp. 9 — na prowincji złp. 12.— Cena tomów I. II. III. IV. i V. z kwartałów zeszłych jest w Warszawie po złp. 9. na prowincji złt 12.

Główny Kantor Pamiętnika do przyjmowania prenumeraty jest w handlu KUHNIG przy Ulicy Senatorskiej w domu Petiscusa, gdzie oraz przyjmują się z wdzięcznością wszelkie artykuły, zgodne z celem pismu zamierzonym, do umieszczenia nadsyłane, oraz korespondencje franco pod adresem: Do Redakcji Pamiętnika Kolumb.

Nadto, przyjmuje się prenumerata w Warszawie: w Drukarni J. Węckiego obok Ratusza Głównego, oraz w Xiegarniach GLUCKSBERGA, przy Ulicy Miodowej — BRZEZINY tamże, — HUGUES i KERMEN, tamże. — GAŁĘZOWSKIEGO, przy ulicy Żabiej. — WĘCKIEGO, przy Ulicy Krakowskie przedmieście w pałacu Potockich—SZTEBLERA, w domu Towarzystwa Przyjaciół nauk— F. J. CIECHANOWSKIEGO, przy Ulicy Podwal — tudzież w handlu KELICHEN, naprzeciw Arsenалу. Na Prowincji składać można prenumeratę na wszystkich pocztantach i stacjach pocztowych Król. Polskiego, oraz w Lublinie: w xiegarni Towarzystwa przyjaciół nauk Lubelskiego— w Radowiu: w handlu J. SCHWARTZA. — w Kaliszu: u W. RUTKOWSKIEGO P. Pisarza S. P. P. Kal. — Za granicą na pocztantach—oraz w Krakowie u A. GRABOWSKIEGO.— we Lwowie: u PFAFFA.



K O T U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 31.

Z PIERWSZEJ POŁOWY KWIETNIA 1829 ROKU.

I.
ANGLJA I SZKOCJA

*Przypomnienia z podróży roku 1820-1824
odbytej przez Krystyna Lacha-Szyr-
mę — z rysunkami litograficznemi. Tom
III Warszawa 1829.*

(Dokończenie.)

Pominąwszy rozrywki i zabawy które Londyń-
czykom nie wiele czynią zaszczytu, jako to: bo-
xowanie czyli kułakowanie się, bitwy kogutów,
szczwanie psów, byków itp., autor opisuje szynk
angielski, zwany *Cider collar* (piwnica jable-
czniku), w którym zbierają się dla rozrywki co
wieczór ludzie wszelkiego stanu. Autor znajdo-

wał się tam w piątek, jako w dzień kiedy najbliższe zwykło się zbierać towarzystwo. Rozrywkę przeplatały tam kielichy i muzyka, przez Irlandczyka na kozie wykonywana. Około dziesiątej wybrano prezesa, który rozpoczął śpiewy. W kolej każdy co się czuł do głosu musiał coś zaśpiewać, i wymieniał tego co po nim miał się popisować. Dla odmiany deklamowano różne wyjątki i recytacje w humorystycznym rodzaju, ale szczególnie rozśmieszał towarzystwo aktor naśladowujący rozmaite charaktery ludności londyńskiej, głosy nosowe i grube furmanów, cienkie i delikatne śireyków, powolne i bełkocące starców, piskliwe i wrzaskliwe kłótliwych kobiet itp. W miejscu tem ma bywać *Kean* i *Mathews* dla poznania różnych charakterów i brania wzorów. Ciekawem w ówczas widowiskiem w Londynie była *Diorama*, gatunek *panoramy*, z tą różnicą, iż pierwsza przedstawia rozmaite zmiany w obrazach, z wielką w naśladowaniu prawdą.

Obszerniejszy nieco opis pracowni snycerza *Chantrey*, jakkolwiek wiele zajmujących mieszczący szczegółów, dla szczupłości miejsca opuścić musimy. Wspomnieć tu wszelako winniśmy, iż snycerz ten słusznie na imię angielskiego Fidjasza zasługujący, jest najznakomitszym w W. Brytanji. Ojcem jego był rolnik w hrabstwie Derbyshire. Po śmierci jego młody Chantrey oddawał się początkowym naukom i zatrudnieniom rolniczym. Okazywały się wszelako

już w nim zarody szczytnego talentu, którego ćwiczeniu oddał się dopiero w roku 17 życia.

Katedra Sgo Pawła, przez lat 35 budowana jest dziełem budowniczego Krzysztofa *Wren* Anglika. Zajmuje ona 84,025 stóp, i jest trzecią w rzędzie wielkich kościołów europejskich, po rzymskim kościele Sgo Piotra i Stej Marji w Florencji. Okazałość tego gmachu nierównie większą by była, gdyby się znajdował w miejscu otwartem, nie zaś między domami które go otaczają. Wnętrz świątyni, oprócz niektórych posągów sławnych ludzi i ehorągwi tu i owdzie pozatykanych, nie ma prawie innych ozdób. Jest to dla Anglików drugi Westminster. Tu znajduje się w sklepieniu pod kościołem grobowiec Wrena z napisem: »*Si momentum requires, circumspice.*« (Jeśli szukasz pomnika, obejrzyj się w koło). Najznakomitszym z pomników jest grobowiec *Nelsona*, oraz posągi: *Johnsona* i *Howarda*. Katedra Sgo Pawła znajduje się w tem samem miejscu, na którym stał dawniej kościół gotyckiej architektury który w r. 1666 zgorzał.

Sektom od wyznania anglikańskiego odszczepionym, a mianowicie metodystom, kwakrom unitarjuszom i braciom morawskim, przypisać należy ów zapał, jakim Anglja odznacza się w tym wieku przez rozszerzanie pisma ś., zakładanie szkółek dla ubogich i różne instytucje dobroczynne. Metodystów, których założycielami

byli *Wesley* i *Whitefield*, oraz Kwaków, znajduje się najwięcej w północnej Ameryce.

Katedra Westminsterska, jest miejscem, gdzie śmiertelne popioły królów angielskich są grzebane, i gdzie obok głów ukoronowanych gienjusz, męztwo i zasługa, znajdują dla siebie pomnikami uświetniony spoczynek: »Zaden inny naród, mówi autor, nie może się poszczycić tak świętą ziemią, któraby od tylu wieków tyle zawierała razem wielkości i przypomnień.« — »W dwunastu pobocznych kaplicach, mówi dalej, stały grobowce królów i możnowładców, pospolicie w kształcie czworograniastym. Na nich leżały figury zmarłych, w całych postaciach; królowie w koronach z bertami; rycerze w zbrojach, przy mieczach, z założonemi na piersiach rękami, z podobieństwem rysów twarzy i noszonego za życia ubioru. Prawdziwe jednak ich rysy ledwie mogły być rozpoznane: rdza i kurz grubo na nich leżące zatarty je tak, jako czas obrócił w proch ciałą tych których miały wyobrażać. Niektórzy nawet po zgonie nie uchronili się od spisków. Henryk V nazwany *chłostą* Francji leży bez głowy, bo miał ją srebrną. Elżbieta, która innym bertą odejmowała, leży sama bez bertą, bo i to dla drogości metalu znalazło przywłaszczyciela.« Kaplica *Henryka VIII* uważana jest za arcydzieło gotyckiego budownictwa. Autor pewien miał o niej powiedzieć w uniesieniu, iż sam Bóg plan do niej podał, a anioł-

wio go wykonali. Wystawienie jej za panowania Henryka VII kosztowało 7 mil. franków. Stosownie do woli jego, nikt tam pochowany być nie może kto z krwi królewskiej nie pochodzi. W kaplicy *Edwarda* widział autor krzesło na którym królowie są koronowani, i ów bajeczny kamień, albo raczej głaz szary, do którego rządy państwa są przywiązane. W części świątyni przeznaczonej na pomniki dla mężów w boju, w radzie i naukę wstawionych, spoczywają tam sławni wodzowie *Home, Wolf, Congrev*, mówca *Gattan* i inni. *Pitt* i *Fox* leżą obok siebie, prawie w jednym grobie, co *Walter-Scottowi* dało powód do powiedzenia: »Wylej łzę na grób »*Foxa*, a potoczy się na grób *Pitta*.« Wiadomo że ministrowie ci przeciwnych byli zasad, lubo jedne mieli cele do dobra ojczyzny sążące: *Fox* należał do stronnictwa *Whigów*, a *Pitt* do *Torych*.— Leżą tam również: wielki *Newton*, *Jerzy Stepney*, który r. 1699 za *Augusta II* był posłem do Polski; *Teodor* król Korsyki, który kraj swój na rzecz wierzycieli zapisał; *Pascal Paoli* wódz Korsykanów, który ojczyznę swoją z jarzma Francuzów chciał oswobodzić. Między pomnikami niewiast celującą okazałością pomniki *Lady Nightingale* i *Lady Walpole*.

. Corocznie 5 Listopada obchodzą w tym kościele pamiątkę odkrycia spisku prochowego, którego celem było wysadzenie na powietrze par-

lamentu. Obchód ten jest bardzo ważny dla Anglików.

Wnijscie do grobów królów i sławnych ludzi jest przez przysionek poetów, »jakby dla tego, mówi autor, że przez ich usta ludzie dostępują nieśmiertelności.« Opłata przy wnijsciu wynosi 3 złtp. Zajmuje najpierwej wchodzącego posąg *Szekspira* z białego marmuru: wyobrażony on jest stojący, w całej postaci. Przy *Szekspirze* jest pomnik *Thomsona* autora pór roku. *Pope Swift* i *Stern*, jako Irlandczycy nie mają miejsca w Westminsterze, *Byrona* wyłączyła kapituła, a z *Moorem*, *Campbellem* i *Walter-Scottem* nie wiadomo jak będzie po ich zgonie. Mają tam pomniki: *Chaucer*, *Gray*, *Dovenant*, *Goldsmith*, *Cowley*, *Drydez*, *Ben Jonson*, *Butler*, *Spencer*, *Gay*, *Milton*, *Prior*, *Adisson*. Wszystkie jednak pomniki przechodzi wspaniałością pomnik *Xięcia Argylu*.

Cmentarze w Anglii nie mają tej powabnej powierchowności, jak w innych niektórych krajach. a mianowicie we Francji cmentarz Paryski *Père Lachaise*. Nie ozdobią ich bogate i wspaniałe nagrobki, ale największa odznacza skromność. Nie ma wcale dawnych bardzo pomników, gdyż tam gdzie około 27,000 co rok umiera, mieszkanie zmarłych, przy szczupłości miejsca nietykalne być nie może. Dotąd, pomimo przekonania o szkodliwości chowania umarłych na cmentarzach obok kościołów parafjalnych, zwyczaj ten nie został zniesiony.

Anglja posiada bardzo znaczną liczbę mężów co jej wielkości stanowią podstawę. »Znakomici ludzie Brytanji, mówi autor, albo jak zowią, *publiczne charaktery*, są najłatwiejsi do poznania, bo dla jawności spraw krajowych, których kierunek mają sobie poruczony, życie ich jest bardziej publiczne niż prywatne, a myśli ich i czyny nie będąc ograniczone obrębami gabinetu, przebywają lotem błyskawicy od jednego końca kraju do drugiego, przez rozmowę, gazety i różnego rodzaju pisma, przelewając się w umiśły narodu, i zostając jego wspólną własnością.« Jako zasługujących na szczególne wspomnienie wymienia autor poetę i filozofa *Celeridge*, uważanego za fantastyka, ale razem za człowieka z gienjuszem, który obeznał ziomków swych z pomysłami filozofji niemieckiej; *Campbella*, autora poematu *Roskosze nadziei*, jednego z pierwszych literatów, który jest teraz professorem literatury angielskiej w uniwersytecie londyńskim; *Hazlita*, *Shelleya*, *Lamba*, *Croly*, *Whiffena*, poetów; *Iringa* kaznodzieję; *Benthama* prawnika; *Dra Lyala* wędrownika; *Blacquiere*, sławnego filhelena i innych. Do tych których imie z dziejami literatury naszej jest połączone, należy *John Bowring*, autor kilku pism oryginalnych i tłumaczonych wierszem i prozą, który także przetłóżył na angielski język *Antologję rossyjską*. Dla literatury polskiej przystąpił się dziełem pod tytułem: *Specimens of the Polish Poets*. Wy-

dał on również przekład pieśni Serbskich, a teraz ma pracować nad cześćskimi. W jego domu poznał autor sławnego *Lorda Erskine*, który za ministerstwa Foxa był kanclerzem państwa; zwany on był orłem sądownictwa angielskiego. Zabrał również znajomość z majorem *Cartwright*, tyle znanym z szczególnych swych zdań politycznych i moralnych. »W domu jego, mówi autor, panowała największa jaka w domach angielskich znajdować się może zamożność, lubo ten demagog znany był z pogardy bogactw. Niemniej pogardzał on dostojenstwami, które dla wielkich jego talentów w różnych epokach życia były mu ofiarowane. Nicumiarkowane jego zamysły względem reformy parlamentu, nad którą Angliacy jak nad zapłatą długu narodowego głowili sobie łamać zwykli, sam Fox uznawał za niepodobne do wykonania, co *Cartwrightowi* dało powód do powątpiewania o szczerości zamiarów tego liberalnego ministra, i powziął do niego wstręt nieprzezwyjężony.« Na dowód wygórowanej ludzkości tego męża, przytacza autor, iż razu pewnego odprawił dawnego sługę jedynie za to, że ten poszedł przyglądać się jak złooczyńca był wieszany, oświadczając mu przy odprawie, iż nie może spać pod jednym dachem z człowiekiem dla którego śmierć bliźniego była przyjemnym widowiskiem. — Xiadz Fox, z sekty unitarjuszów, z którym autor się zapoznał, dowiadywał się o stanie i powodzeniu swoich współ-

wyznawców w Polsce, w Anglii bowiem jest mniemanie, że w Polsce są liczne zbory Socynjańskie.

Prócz osób wyżej wspomnianych poznał autor Roberta *Owen*, o którego zakładzie w Lanarku w Tomie II Przypomnień wzmiankę uczynił, i przytacza zasady jego do uzacnienia i uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego dążące. »Pan *Owen*, mówi autor, tak jest mocno o dobroczynnym wpływie oświaty na szczęście człowieka przekonany, że uznaje za rzecz niepotrzebną zbijanie zarzutów tych, którzy w jej rozkrzewianiu upatrują niebezpieczeństwo. Przy swoich widokach mocno obstaje, a o pożyteczności swych planów, chociaż zbytnią nowością swoją od naśladowania zrażających, wyraża się z taką pewnością, że jednego razu wyliczając z przyjęcia ich wyniknąć mogące korzyści, dodał na końcu w zapale, iż gdyby cztery lub pięć tysięcy ludzi zgodziło się szczerze na rozwinięcie jego zamysłów, a w kilkanaście lat mogłyby w Europie zajść tak wielkie zmiany, jakich Napoleon sam z całą swoją potęgą nie byłby mógł skutecznić.«

Zajmującym jest obraz poczciwych Kwaków, jaki autor w osobach Willjama *Allen* i Pani *Fry* przedstawia. Przytoczmy kilka słów autorajakie względem pierwszego zamieścić: »W Londynie opiekował się szkołami Lankastra, który był także z grona Kwaków; i cieszył się (bo ludzi tak ucziwych jak on, wszystko dobre cieszy)

usłysawszy odemnie, że w naszym kraju mieliśmy szkółki urządzone podług Lankastra metody; lecz gdy nie mógł mu wtedy dać dokładnej o nich wiadomości, prosił mnie o przystanie mu rapportu o ich stanie. Czyliż to technic samolubstwem, o jakie Anglików zwykle obwiniają? Jeśli mamy sądzić o ilości samolubnych uczuć w jakim narodzie, niepowinniśmy uważać oraz liczby dobroczynnych zakładów, które o wylaniu się dla dobra ludzkości są najlepszym dowodem? A gdzież tych zakładów większa znajduje się liczba i większa różnorodność, jeżeli nie w Anglii? Jakiż naród może wskazać od razu takie osoby i z taką gorliwością poświęcające się dla dobra bliźniego, jak *Pani Fry, Owen i Allen*? A nie liczę tu jeszcze filantropów, którzy ich poprzedzili, ani innych szlachetnie myślących współczesnych, którzy stanowią rozległe ogniwa tegoż samego łańcucha ludzkości. Jeśli gdzie znajdują się zakłady dobroczynne, nie sąż one naśladowaniem angielskich, i nie dająż do nich Anglią pierwszych myśli i popędu? Biorąc rzecz z tych stanowisk, okaże się dostatecznie, jak powyższy zarzut przeciw samolubstwu narodu angielskiego wymierzony jest bezzasadnym. « W *Newington* zwiedził autor wraz z *Willjamen Allen* zakład osady dla ubogich, który dopiero był w początkach swoich, i pod jego dozór był oddany.

Pod względem wychowania autor robi uwagę, iż Anglija jest najuboższa w dzieła pedagogi-

czne, ale najbogatsza w silne konstytucje mieszkańców. Pomimo ostrości jój klimatu, widzieć tam można starców stuletnich. Dzieci zaczynają uczyć późno, bo dopiero w 7 roku życia. Szkolne wychowanie dzieci dzieli się na elementarne i uczone. Pierwsze odbierają w szkołach Bella lub Lankastra, a później w tak nazywanych szkołach gramatycznych, wyższe zaś w uniwersytetach. Nie kwapią się w Anglii za nowością, czego dowodem są uniwersyteta w *Oxford* i *Cambridge*, które jak były za średnich wieków urządzone, tak dotąd jeszcze zostają. Jako więcej interessujący, przytoczymy tu opis szkół niższych, który autor wraz z uwagami swemi zamieścił. »W nich, mówi on, dają się nauki prawie bez wyjątku podług dwóch wspomnianych zasad Bella i Lankastra, które w istocie są jedną i tą samą metodą, i w jednym czasie zaczął jej Bell i Lankaster używać; że nie wiadomo, który właściwie był jej wynalazcą. Różnicę między obiema stanowi tylko odmienny sposób udzielania nauki religijnej, którą Bell daje podług katechizmu kościoła anglikańskiego, a Lankaster za pomocą stosownych wyjątków z Biblii wyciągnionych. Ostatni będąc sam kwakrem i ucząc kwaków, nie mógł zezwolić na obcy katechizm; i zaprowadziwszy do swej szkoły naukę biblijną, otworzył do niej przystęp dla młodzieży wszystkich wyznań. Od większej liczby uczniów w jego szkole i powszechniejsze-

go jój.użytku, sposób wzajemnego uczenia otrzymał nazwisko *metody Lankastra*, i pod tem nazwiskiem rozprzestrzeniony został w całej Europie.«

»Przez ciekawość odwiedziłem najświetniejszą taką szkołę w Londynie, która służyła na ukształcenie nauczycieli w tój metodzie, i była za wzorową uważana. Leżała na *Borough Road*. Zostawała ona pod zarządem i opieką towarzystwa szkół krajowych i zagranicznych, którego wpływ rozciąga się i na obce kraje: jakoż zastałem w niej oprócz krajowców, niemców, żydów i greków. Widząc ostatnich, zapytałem się nauczyciela, którzy też z wszystkich, jak uważał, okazywali najwięcej zdatności. Odpowiedział, że grecy celowali żywością pojęcia, żydzi rachunkami do których zdawali się mieć osobny organ; anglikom i niemcom przypisywał bardziej obyczajność i rządność, niż nadzwyczajną bystrość w pojmowaniu. Przyjmowano do tej szkoły chłopców i dziewczęta, i uczono ich w oddzielnych najeden wzór wybudowanych salach. Sale te były podłużne, wysokie, obszerne, tak, że w każdej na 1,000 uczniów było miejsca: lecz wtedy było chłopców tylko 700 a dziewcząt nieco mniej. Ławki stały we środku, można było obchodzić je na około, a w jednym końcu sali stało wzniesienie z drzewa naksztalt galerji dla nauczyciela, z kąd za jednym rzutem oka mógł wszystkich uczniów przejrzeć. Żeby

w tak obszernych i wysokich salach głos się nie odbijał, porozwieszano w pewnych odległościach u sufitu zielone sukno. Po ścianach wisały tablice do rachunków z wypisami z biblji do czytania. W każdej ławce siadało po siedemnaścioro dzieci; nad każdą przełożony był monitor pilnujący nauki i porządku. Uczniowie siadają podług postępu w naukach, niżej lub wyżej; poczynający siedzą najbliżej nauczyciela. Szkoła dziewcząt zostaje pod dozorem ochmistrzyni, która jest oraz ich nauczycielką. Oprócz czytania, pisania i rachunków, uczą ich jeszcze robot ręcznych, i podobnie jak w innych naukach zachowują się w nich stopnie, że dziewczęta przechodzą przez obrębianie, stebnowanie, znaczenie, haftowanie. Nic nie przeskakuje się. Ta metoda nie cierpi odmiany, i dla tego mało albo nie odmieniło się w niej od czasu jój wynalezienia. W ogólności, wartość jej nie zasada się tyle na nauce, która do małych rzeczy, bo tylko do czytania, pisania i rachunków ogranicza się, ile na wprawie do regularności i porządku, tudzież na trybie uczenia, żeby jak najprędzej nauczyć; bo ubodzy ani mogą na edukację wiele łożyć, ani jój przedłużać. Pod tym względem szkoła przedstawiła obraz rzemieślniczego warsztatu, gdzie jeden był mistrz kierujący, a wszystkie czynności czeladzi zależały od jego skinienia. Wszystko odbywało się za danyim przez nauczyciela znakiem, z taką dokładnością i tak machi-

nalnic, jak musztra wojskowa. Na wzięcie książ-ki, na jej otwarciu, i na czytanie była komenda: na wzięcie tablicy, i na starcie, na ujęcie szyfra, na pisanie liczby, i na sprawdzenie rachunków, była inna, — i to w rozmiarzonych czasach. Nawet wyjście ze szkoły odbywało się komendą. Dawał się znak do wstania, do wiązania książek, do wzięcia kapelusza, do włożenia go na głowę, do wystąpienia z ławek, do ustawienia się w pary, nakoniec do wyjścia za drzwi. Przytęm jeszcze był przepis, jak każdą rzecz brać, czy jedną czy dwiema rękami, jak ją podnieść i stawiać. Szczegóły te acz drobne, i jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydają się niepotrzebne, mają jednak swoją nieocenioną wartość: uczą zręczności, posłuszeństwa i zaostrzają uwagę, która jest malką rządności i wynalazków; zapobiegają stracie czasu w uczeniu, tudzież różnym nieprzyjemnościom, jakich przy tak wielkiej liczbie uczniów trudno było uniknąć; wdrażają do porządku, który dla każdego, a zwłaszcza w handlowym kraju, nieodbitie jest potrzebny; kupiec potrzebuje go w sklepie i przy kantorze; rzemieślnik przy oglądaniu warsztatów i machin; sternik przy sterze, gdzie najmniejsza omyłka i zaniedbanie mogłyby go samego i innych przyprawić o niewynagrodzoną stratę majątków a nawet życia. Przez wzgląd na takowe potrzeby zaprowadzenie tej metody do szkół ważniejszem jest dla każdego kraju niż sama podług niej na-

bywana nauka, która dałaby się może korzyśtniej a nie tak mechanicznie dla rozwinięcia władz umysłowych urządzić. Nie ma stosowniejszej nad nią do wychowania ludu, którego wychowanie potrzebuje więcej praktyki niż teorii: nie ma też w niej nic teoryczno-pedagogicznego, jak w metodach Pestalociego, Rousseau, Niemeyera i im podobnych. Wynałazcy jój Bell i Lankaster nie byli filozofami, lecz prostymi bakalarzami, do tego jeszcze ubogich dzieci, dla których, zamiast systematycznego rozwijania władz umysłowych, trzeba było jak najrychlej kawałek chleba obmyślić: zgoła wszystko w niej tak wyrachowane, żeby nie tracić na próżno czasu i siły. Jeden nauczyciel i jedna ochmistrzyni przy pomocy monitorów, wystarczali na tę tak liczną szkołę: wszystko szło regularnie jak w zegarku, bo każde dziecko wiedziało co ma czynić. Porządek był głównym tam warunkiem: pokazywał go napis nad drzwiami w złotych literach, który prawdziwie był złoty: »MIEJSCE NA KAŻDĄ RZECZ I KAŻDA RZECZ NA SWOJEM MIEJSCU.«

»Lat 30 jak metoda Lankastra jest znaną, lecz dopiero od 15 zaczęła być powszechniej używaną. W tej chwili większa część szkół, osobliwie dla ludu, jest podług niej urządzona. Zaprowadzone są w Ameryce, w Indjach wschodnich, i wszystkich osadach Angielskich. Niezaprzeczona jój pożyteczność, utorowała dla niej

drogę do wszystkich krajów Europejskich. Ziściło się więc to, co Lankaster, znajdując w początkach dla niej przeszkody, niezrażony jednak niemi, w uniesieniu był wyrzekł: »Ja jestem tylko na-
»rządziem wyższej woli. Wszecimocny podał
»mi do reki trąbę; jej głos musi się rozejść po
»krainach ziemi. Ubodzy w Brytanji, ubodzy w
»Europie, ubodzy na całym okręgu ziemskim, od-
»biorą dar oświaty, i żadna moc ludzka nie zdo-
»ła wstrzymać zbawiennego jej wpływu.« Gorli-
wość obywatelska naostatek oceniając jego usil-
ność, nie dozwoliła mu pasować się długo z prze-
ciwnościami bez pożądanego skutku. Metoda
jego znalazła w sławnym Foxie opiekuna, a Je-
rzy III sam zaszczycając raz obecnością jego
szkołę, wyrzekł owe pamiętne słowa, które
każde dziecko w Anglii i ze czcią powtarza: »Ja
chcę, rzekł monarcha, żeby najlichszy z moich
poddanych mógł czytać Pismo S. w narodowym
języku.« Od tego czasu związało się towarzy-
stwo biblijne.»

»Trudno wyrazić, do jakiego stopnia i jak dłu-
go edukacja ludu była w Anglii zaniedbana. Nie-
zbyt dawno nie było wcale szkół stałych; baka-
łarze przenosili się z miejsca na miejsce dla u-
dzielania nauki. Nie prędzej, jak r. 1783 kilku
dobrze myślących obywateli związało towarzy-
stwo w celu zaprowadzenia szkół niedzielnych
dla rzemieślników. Ich liczba następnie co rok
bardziej wzrastała, że teraz przewyższa oczeki-

wania pierwotnych swych opiekunów. W samej stolicy liczą 55,000 dzieci odbierających w nich naukę, a do 5,000 uczących mężczyzn i kobiet, którzy udzielają w nich naukę bezpłatnie. Metoda Lankastra przyspiesza nadzwyczaj oświatę. Wspomniona szkoła wzorowa wychowała od czasu swego założenia, to jest od 1817 roku, w przeciągu lat dziewięciu, 24,000 dzieci. Do zakładania tych szkół przyczyniają się dary od króla, duchowieństwa, szlachty, kupców, aż do kmiotka i wyrobnika, którzy od dzieci swych małą kwotę kwartalnie opłacają. Stosownie do planu w nich przyjętego książki, do nauki używane, pomimo drogości papieru i druku, tak są tanie, że nie wynoszą rocznie więcej nad 1 złtp. Ponieważ zaś przy oszczędzaniu, jedna książka może dla sześciorga dzieci służyć: prawdziwy koszt na książki od dziecięcia możnaby tylko na 5 groszy rachować. Szkolnego od ucznia płaci się 4 do 6 szylingów na rok.«

»Łagodność nie znamionowała pierwotnych ustaw szkolnych w Anglii. Od dawna chowano różeczki na dzieci, a różgi na młodzieńców; i oddający dzieci do szkoły ledwie nie w tych samych słowach do nauczycielów przemawiali, jak pewien szlachcic polski w Doświadczyńskim Krasickiego do dyrektora swego syna: »Bij, ja ci za to płacę.« Lankastrowi winny szkoły zniesienie kar cielesnych; zaprowadził on do nich kary łagodniejsze, lecz mało znając się na peda-

gogice, równie nieskuteczne, niektóre nawet śmieszne, że niepodobna zgadnąć, jak mogą zrzędać poprawę. Leniwe dziecko, na przykład, sadzał do kolebki; uciekające ze szkoły zawieszają w koszu; krnąbrnym wkładał jarzmo na szyję sprzęgając jak wołów, a złośnikom żelazną obręcz ciężkości 4 do 6 funtów; brudnym umywano publicznie ręce, nie bardzo łagodnie, bo tarto cegłą; za mniejsze przewinienia zawieszano tabliczki z napisami *plotkacz*, *swawolnik*, *wiercicki* itd. Rozumie się że takie kary, jako dziwaczne, teraz są zniesione, a zamiast surowości dla złych, która zamiast poprawienia najczęściej tylko rozjątrza, zaprowadzono nagrody dla dobrych i pilnych. Tych posuwają na wyższe miejsca, wywyższają na monitorów, który zaszczyt uczenia i doglądania dzieciom bardzo pochlebia. Dają im w nagrodę znaczki służące za wexle, których 8 idzie na jeden *penny*. Dwaj główni monitorowie otrzymują w nich 4 pense za całotygodniową usługę. Co kwartał następuje wymiana znaków na monetę, za którą kupują dla dzieci xiążki, czapki, koszule, pończochy, scyzoryki i tym podobne pożyteczne rzeczy. Przy rozdawaniu ich, nauczyciel z xięgi wywołuje uczniów, zaczynając od monitorów, którzy w tym razie mają pierwszeństwo. Ci wybierają naprzód to co im się podoba, nie więcej jednak nad wartość posiadanych znaczków. Po nich następuje reszta uczniów. Nagrodzonych główni monito-

rowie oprowadzają trzy razy na około sali, obwołując jak heroldowie, za co otrzymali nagrody, jako to: za dobre obyczaje, za regularne uczeszczenie do szkoły, za pilność, za postęp w naukach. Można się okupić od kary przez utratę znaków odebranych w nagrodę. Kary są publiczne upomnienie, zostawienie w szkole na kwadrans lub dłużej; dla nieprzychodzących samowolnie do szkoły ta kara przedłuża się na 3 godzin, żeby się douczyli tego co przez niedbalstwo zostało opuszczone. Monitorowie, jeśli w czém przewinią, jako zawodzący zaufanie najsurowiej są karani. Do przewinień liczą nieuwagę, swawolę; najsurowiej karzą za stronność, fałszywe donoszenia i kłamstwo. Przez to już w szkole kładą grunt do przyszłego charakteru człowieka: ze szkół przenosi uczeń nietylko oświatę, lecz i dobroć do domu. Jedna generacja zostawiać będzie drugą coraz oświecieńszą i coraz lepszą, i tak spajać coraz ściślej ogniwa towarzyskiego porządku. Lud wszędzie stanowi większość każdego narodu; od ludu więc powinny poczynać się wszelkie ulepszenia. W tak światłym narodzie, jakim jest angielski, nie sły-
 szalem nigdy narzekania na złe skutki z nauk, owszem, przy tylu zakładach naukowych ciągle utyskiwanie, że jeszcze nie ma ich dosyć. Po-
 wszechnie tam jest mniemanie, że wykrzywianie rozumu jest zawsze połączone z przewrotnością serca. Pracują więc nad głową, aby ulepszyć

serce, a przynajmniej postawić człowieka na tym szczeblu udoskonalenia, żeby serce nie miało co zarzucić głowie. Utrzymywano w Grecji, że gady pozbywają się swego jadu, skoro raz użyją pokarmu na Helikonie.«

Pominąwszy obszernie opisy uniwersytetów w *Cambridge* i *Oxford*, które więcej z powodu oryginalności swojej, jak znakomitości pod względem naukowym są ciekawe, zakończymy rys dzieła naszego autora wzmianką o okolicach Londynu. »Okolice Londynu, mówi on, nie są w niczem podobne do okolic miast zwyczajnych. Dokądkolwiek jedzie się ciągną się długie przedmieścia, które z odległemi niegdyś wioskami się łączą, a inne w siebie pochtłonęły. Wioski te niepodobne także do zwyczajnych wsi, lecz wydają się jak najpiękniejsze miasteczka, ozdobione pięknymi domami majątnych bankierów i kupców, którzy tam od zatrudnień handlowych szukają wytchnienia. Wszędzie prowadzą ocienione drzewami gościńce, a pola podobne są do ogrodów, które dostarczają w obfitości warzyw, owoców i kwiatów dla stolicy. Nic miłszego jak wydobyć się z zaciemnionego dymem i zepsutemi wyziewami Londynu, na te wesołe i czarujące okolice, i oddychać świeżem i balsamicznem ich powietrzem. Mógłbym tu mnóstwo takich miejsc szczegółowo opisać, gdyby szczypty zakres dzieła nie radził mi ograniczyć się tylko

do główniejszych, a szczególnie tych, które z instytucjami lub z dziejami kraju zostają w związku.« W *Greenwich*, o 5 mil od Londynu nad Tamizą, znajduje się pyszny pałac na przytułek dla wysłużonych majtków obrócony. W szpitalu tamtejszym znajdowało się w ówczas 3,000 inwalidów, a 32,000 żyło zewnątrz szpitala, otrzymując wsparcie pieniężne. Nadto osieroczone potomstwo po tych żeglarzach co dla ojezyzny życie poświęcili, znajduje w tem miejscu wychowanie, w urządzonym na ten koniec instytucie. Było tam w tenczas do 800 chłopców i 200 dziewcząt. *Greenwich* jest nadto sławne tem, iż tędy przeprowadzona jest linja południkowa, do której Anglicy wszelkie swoje rachuby astronomiczne odnoszą. Z drugiej strony Londynu, także nad Tamizą, leży wioska *Chelsea*, sławna botanicznym ogrodem do bractwa aptekarzy Londyńskich należącym, a bardziej jeszcze sławna szpitalem dla wysłużonych żołnierzy lądowych, mniej jednak hojnie uposażonym jak szpital morski w *Greenwich*. Jest tam miejsce na 476 inwalidów, lecz daleko większa ich liczba znajduje zewnątrz szpitala należyte od rządu opatrzenie. Przy tym szpitalu jest szkoła dla 700 synów i 300 córek sierot po żołnierzach. Założył ją zmarły Xżę *York*, naczelny wódz wojska angielskiego.

Najpiękniejsze okolice Londynu widzieć można jadąc brzegiem Tamizy ku wiosce *Fich-*

mond, o 8 mil ang. od miasta odległej; minawszy zaś wieś tę jeszcze wspanialsze ukazują się widoki. W tej to czarującej krainie znajduje się *Fulham* wiejskie siedlisko biskupów londyńskich, *Kensington*, *Holland-House*, *Claremont*, *Windsor*, *Hampton*, *Kew*, *Twickenham*, *Strawberry-Hill*, miejsca znakomite pobytom sławnych ministrów, uczonych, lub królów angielskich.

Opuszczając Londyn, przed nowym rokiem 1824, na jednej z pierwszych stacji widział się autor z sławnym kapitanem *Parry*, który w ówczas wybierał się w nową do bieguna północnego żeglugę. Opowiadał on, że na wyspie *Melville* przez pięć miesięcy merkurjusz na wolném powietrzu zamarzał. Pomimo to żyły tam kaczki, gęsi i renny.

Ostatniém miejscem pobytu autora w Anglii był port i twierdza *Dover*, gdzie dla niepomyślnego wiatru cały dzień się zatrzymał. »*Dover*, mówi on, należy do liczby owych pięciu portów (*cinques ports*), które dawniej wyższość miały nad wszystkimi nadbrzeżnemi miastami. Obowiązkiem ich było dostarczać dla obrony kraju okrętów; w skutek czego udarowane były ważnemi przywilejami. Dziś kiedy utrzymywanie regularnej floty Anglja uznała za konieczną potrzebę, miasta te przestały być tém czém dawniej były. *Dover* od niepamiętnych wicków uważany był za ważny punkt wojenny, za klucz

i osłonę wyspy od napaści nieprzyjacielskiej. Znali jego ważność Normanie, kiedy wzniesli tam obronną twierdzę, która z góry nad całym portem panując, może w każdym razie czynić go niedostępnym. Zajmuje ona 35 morgów ziemi: góra na której stoi jest spadzista ku portowi, a ku morzu tak stroma, że wydaje się przepaścią która 320 stóp ang. do powierzchni morza wynosi. Jakkolwiek ta twierdza wydaje się trudna do wzięcia zbrojną ręką, nie mogła przecież oprzeć się raz podstępowi. Jeden odważny junak z dwunastu towarzyszami wgramolił się w nocy na jej wały, i krzykiem nabawił takiego strachu załogę, że ta myśląc iż całe wojsko ma na karku, bez dobytka oręża poddała się. Dochowano tego podstępnego zdobywcy nazwisko, zwał się *Drake*. Od strony morza prowadzą do niej schody kute w skale. Chowają tam ciekawe działo, zwane kieszonkowym pistoletem Anny, które ta królowa otrzymała w darze od Holendrów, a z którego, jak oprowadzający zaręczają, kula miała nieść siedm mil ang. Lecz to należy do cudów, w które nie każdy wierzy. Miasto Dover leży jak w zaciszu osłonięte z trzech stron wysokimi górami; między niemi najwyższa zowie się skałą Szekspira.«

Skoro pora sposobniejsza do żeglugi dozwoliła opuścić *Dover*, przewiózł się autor do *Calais*, i na przybyciu do tego miasta kończy Przypomnienia z podróży swojej. Przyjemną atoli

jest dla czytelnika przyrzeczenie które zamieścił w końcu, o dziele jakiego możemy się z pod pióra jego spodziewać. »Na tem, wyraża się on, kończą się moje uwagi nad Anglją i Szkocją; lecz nie tu koniec wszystkich moich przypomnień. Wiele uwag dalszy ich ciąg stanowić mogących, zostaje jeszcze nie tkniętych, a nie małej są wagi: tyczą się literatury, rządu, religji i w ogólności ducha narodowego, czego ocenienie i skreślenie ogólnego obrazu jest najtrudniejsze, bo jest wypadkiem zbiegu mnóstwa pojedynczo i wspólnie działających przyczyn, przywiązanych do klimatu, kształtu rządu i tylu innych okoliczności. Dotychczasowe uwagi moje były; w większej części tylko szczegółowe i niejako przygotowanicom do nastąpić mających ogólniejszych. Lecz ponieważ z treści swojej, jako do miejsca i czasu nie przywiązane, występują z zakresu podróży, być może (gdybym tylko za wiele nie przyrzekał), że z czasem osobne dziełko z nich ułożę, — a przynajmniej posiadane do tego materiały pod stosowniejszym, niżliby tu być mogło, kształtem ogłoszę.«

Oto jest krótki rys dzieła, które należy bez wątpienia do najcenniejszych płodów literatury naszej, i w ręku każdego jej miłośnika znajdowaćby się powinno. Jakkolwiek staraliśmy się nie pominąć główniejszych przedmiotów, o których autor więcej lub mniej obszerną udziela wiadomość, szczypty atoli zakres pisma naszego

był przyczyną, iż w treściowém zakresie nie raz może osłabiliśmy moc i koloryt obrazów tak pięknie, tak naturalnie przez autora skreślonych, nie raz może stał się oschłym najżywiej oddany przez niego opis, nie mało opuściliśmy gruntownych uwag i myśli głębokiem zastanowieniem się nacechowanych. Dla tego więc, życzymy każdemu z czytelników, iżby nie przestając na naszej treści i szczupłej wyjątków liczbie, przekonał się w dziele samem o bezstronném zdaniu naszym, które z nami wszyscy zapewne podziwiają, co już mieli roskosz czytania zajmujących Przepomnień.

II.

WIADOMOŚĆ O MIEŚCIE PONDICHERY, oraz o obyczajach i zwyczajach Malabarów.

(z Dz. Journ. des Voy.)

Przystań *Pondichery* rozpoznać można od strony północnej po wzgórkę drzewami okrytym, który znajduje się w odległości mili jednej od morza, w stronie północno-zachodniej miasta; nazywają go *Topem tamaryndów*. Przystań ta jest tylko prostym wybrzeżem, do którego przystęp trudny jest dla okrętów chcących zawijać, z po-

wodu raffy, którą można przebywać jedynie tylko na statkach krajowych zwanych *szelingami*. Krajowcy nawykli do tego rodzaju żeglugi, bardzo są zręczni w przebywaniu raffy, i byle im okazywać zaufanie oraz dobre zapewnić wynagrodzenie, można być bezpiecznym od wszelkiego wypadku.

Jeszcześmy byli o dwie wielkie *lieues* od mijsca zawijania statków, kiedy postrzeegliśmy przybywających do nas dwóch Indjan, którzy płynęli na tratwie z dwóch kawałków drzewa związanych rodzajem trzciny *rotang* zwanej. Byli oni nadzy, a ciała ich okrywała lekka warstwa soli, albo osad z wody morskiej, w której ciągle prawie zostają. Jeden odezwawszy się do kapitana naszego, oddał mu bilet, który z pod czapki wyciągnął. Bilet ten nadesłany był z lądu od kapitana portowego, który obowiązany był za pomocą tych ludzi przeglądać wszelkie okręty pod miastem przepływające. Indjanie ci byli Malajowie: są oni niezmiernie śmiali na morzu, którego niebezpieczeństwa pokonywają na tych wątych tratwach, zwanych *Hatimoron*. Wprowadzili nas oni do portu.

Miasto Pondichery leży na wybrzeżu Koromandlu, nad morzem, pod 11^o 51' szer. półn. a 98^o 7' długi. wsch. Zbudowane zostało nakładem kompanji francuzkiej Wschodnio-indyjskiej; zarządzał osadą gubernator przez króla potwierdzony, oraz tak zwana rada najwyższa z sze-

ściu lub siedmiu członków przez niego mianowanych złożona. Miasto jest piękne i dobrze zbudowane; domy Europejczyków są regularne i w dobrym guście.

Pondichery dzieli się na dwie części: jedna nazywa się okręgiem białych, druga Malabarów; ta ostatnia jest nierównie rozleglejsza i ludniejsza aniżeli pierwsza, ale źle zabudowana; trzecia część składających ją domów jest tylko nagromadzeniem chatk ulepionych z błota i liśćmi kokosowemi okrytych.

Część miasta Europejska jest regularnie poprzecinana; znajdują się w niej dwa kościoły: Kapucynów, którzy sprawują obowiązki proboszczy dla Francuzów, oraz kościół Jezuitów, którzy tu mają kolegium, i duchowne staranie nad nowo nawróconemi Malabarami. Obok tego kościoła znajduje się pagoda bałwochwalców, którzy w niej odbywają publicznie modły i obrzędy religii swojej.

Niedaleko od morza, i w obwodzie murów miasta, jest regularna twierdza o pięciu bastjonach, otoczona głębokim rowem; jest ona może najpiękniejszą z tych jakie Europejczycy w Indjach powznosili. Znajduje się w niej kaplica, którą uważają za parafję miasta, piękny pałac gubernatorów, składy dawnej kompanji indyjskiej i biura urzędników.

Osada miasta składa się z 800 Europejczyków, 700 Topasów albo żołnierzy malabarskich ubra-

nych po europejsku, i 4 do 500 Cypajów albo żołnierzy czarnych, coby nie było dostatecznym do obrony Pondichery, którego obwód jest zbyt rozległy. Nadto, mury otaczające ją są wąte i słabo bronione przez bastjony, nazbyt jedne od drugich oddalone, oprócz od strony morza, z której rozległe szaniec czynią miasto niepodobnym do wzięcia. Przed obwodem murów miasta znajduje się bardzo piękny przekop z mostami zwodzonymi u wszystkich bram, które są bardzo ozdobnej architektury.

Ludność Pondichery wynosi około 65 do 70,000 mieszkańców, między którymi jest 50,000 Malabarów. Reszta składa się z Europejczyków i Azjatów: których tam widoki handlowe sprowadzają. Większa ich część, równie jak Europejczyków żeni się z metyskami tego kraju, które mają kolor ciała brunatny. Kobiety europejskie są tam rzadkie i bardzo poszukiwane, nie tylko dla tego iż mają wielką wyższość nad kobicami krajowymi, przez piękność płci i przyjemność osoby, ale i przez przymioty serca i umysłu. Nie znam smutniejszego towarzystwa dla mężczyzny, nad towarzystwo Malabarki; jest to sama ciemnota i nieokrzesaność; żują one ustawicznie betel, co ich ustom ślinie nadaje obrzydliwy kolor krwawy; postać ich jest odrażająca, do czego przyczynia się jeszcze nie małe ich zachowanie się, gęsta, ton głosu i rozmowa. Tak są powolne i leniwe, iż jeśli która przypadkiem

upuści chustkę, woli raczej zawołać niewolnika aby ją podjął, niż się sama schylić. Nie robią nic wcale palcami; dni całe przesiadują na dywanie w postawie miękkiej i pełnej zaniedbania, rozmawiając częstokroć z nieprzystojnością lub obmawiając się nawzajem.

Niepomiarkowanym jest w Pondichery zbytek w ubiorach i ekwipażach; niezmiernie byłem zdziwiony przybywając do tego miasta, kiedy na ulicach spotykał same okazałe palankiny, okryte axamitem i kosztownemi galonami tudzież suknie jedwabne pysznym ozdobne haftem.

Przedmiotem handlu w Pondichery jest wywóz grubszych towarów. Dawna kompanja francuzko-indyjska cztery razy je wysyłała na rok, a zakup każdego wysłania kosztował ją około 200,000 franków; towary te składały się z błękitnych płócien, soleassurów, błękitnych chustek, gingamu albo płótna prążkowanego, krafiastego it. p. Kantor Mazulipatański o 100 mil ku północy na témże wybrzeżu leżący, dostarczał kompanji najpiękniejszych chustek azjatyckich, i pysznych płócien malowanych. Jannon, inny port morski, wysyłał gince czyli płótna prążkowane niebieskie i białe, oraz bardzo piękne chustki; z Europy zaś wprowadzają jedwab, połączone rzeczy, broń zbytkową, szkła, wyroby złotnicze, wina i inne napoje.

Pondichery posiada gmach menniczny, w którym biją pagody, rupje, fanony i kasze; pagoda

złota równa się 8 frankom; rupja srebrna 2 fr. 50 centimom; fanon 30 cent., a kasz 1 centimowi.

Gubernator Pondichery ma między Malabarami tytuł Nababa albo rządcy prowincji; dowodzi on pięciu tysiącami jazdy, którą rekrutuje, uzbraja i utrzymuje swoim kosztem; codziennie, kiedy wyjeżdża poprzedzają go dwie chorągwie, straż piesza i gwardja konna. W czasie pochodu uroczystego, postępuje przed nim stu lancjerów i trzy słonie, na których siedzą sztandarowi; za karetą jego jedzie tłum jeźdźców i brygadjerów.

Kompanja francuzko-indyjska posiadała około Pondichery własności, które jej przynosiły przeszło 20,000 pagód; o pół mili od miasta miała okazały dom wiejski, z wspaniałymi ogrodami, do którego od miasta prowadzi alea z tamarynów.

Liczba Europejczyków mieszkających w Pondichery jest bardzo mała w porównaniu z Malabarami. Indjanie tu są prawdziwymi krajowcami, na których Mogołowie zdobyli całą Indję. Malabarowie są zwykle czarni, oprócz tych co pochodzą z kast wyższych, których kolor jest żółtawy, albo uschłych liści. Rysy ich twarzy są dosyć piękne, kibić mają wysmukłą, chód śmiały, ale temperament słabowity; nie noszą wcale włosów, prócz małego kosmyka na środku głowy od tyłu zostawianego; zapuszczają jednakże brody. Ubiór ich składa się z kilku łokci

białego płótna, którem obwijają ciało. Kobiety zachowują włosy jako najpiękniejszą ozdobę przyrodzoną; są one w ogólności małego wzrostu, a pomimo czarnego lub miedzianego koloru ciała, rysy ich są przyjemne nawet w oczach Europejczyków.

Nieszczęśliwy ten naród zostaje w niewoli zdobywców swoich, którzy opanowali wszelkie własności, tak że dawni ich posiadacze muszą je dzisiaj dzierżawić; wolność jakiej dziś używają pod rządem europejskim i opieka jakiej im prawa użyczają, każą im przenosić towarzystwo nasze nad panowanie a raczej tyranję Mogołów.

Mówiłem wyżej, że Pondichery ma 50 tysięcy ludności Malabarskiej, pomiędzy którą bardzo mało znajduje się bogatych. Malabarowie żyją tam jak można najswobodniej; wyznają religję swoją, wykonywają jej obrządki i zwyczaje, tak jawnie jak gdyby byli panami miasta.

Ci co chcą przyjąć katolicyzm, z łatwością chrzest otrzymują; czynią to zwykle z własnego natchnienia i bez żadnego przymusu, nie tak jak w hiszpańskich i portugalskich osadach.

Liczą około 10,000 chrześcijan nawróconych pomiędzy Malabarami w samym mieście mieszkającymi. Jest wprawdzie wiele takich, co mino nawrócenia swego, zachowują wszelako szczególniejsze przywiązanie do swych dawnych zwyczajów i zabobonnych obrządków. Mało jest bardzo chrześcijan między trzema pierwszymi

kastami indyjskimi; najwięcej liczyć ich można w kaście *Parjów*.

Missjonarze przestrzegają pilnie różnicy między kastami nawróconych; odziedziczyli oni wględem parjów wstręt i wgardę jakich ci od innych kast doznają; oddzielają ich jak trędowatych w kościele i nie pozwalają im wchodzić do swego gmachu. Kiedy złożony chorobą parja wezwie do siebie missjonarza dla pozyskania sakramentów, ten ostatni nie wchodzi nigdy do domu umierającego, ale każe go przynieść na ulicę, gdzie przysposabia go na śmierć tak ostrożnie aby się go nie dotknął, z obawy zapewne skażenia, jakiego się lękają inne kasty indyjskie.

Pisano wiele o religji Malabarów, która jest może najniedorzeczniejsza i najbardziej poniżająca jaką ludzie wymyślić mogli; bóstwa które czczą pod imionami Brahmy, Wisznu itp. są haniebnymi bóstwami, a cześć jaką im oddają zgodna z przypisywanym im charakterem. Powieści jakie lud opowiada o nich trafiają zupełnie do smaku narodu. Religja ta, zmysłowa, tchnąca bezwstydem i odznaczająca się ciemnotą, przeniosła do nieba namiętności ludzkie, czyniąc bóstwa podobne do ludzi, zamiast tych ostatnich czynić podobnymi pierwszym.

Humana ad deos transtulit, divina in allem ad nos,

Ich religijne dzieje są tak śmieszne i dziecin-

ne, iż wstydem by było je przytaczać; dosyć będzie nadmienić ten jeden szczegół o *Wisznu*, który mniej od innych dziwaczny, dać jednak może dostateczne o nich wyobrażenie.

»Pewnego dnia, mówią Bramini, Wisznu »przechodząc się sam jeden, natrafił na jezioro, »w którym kąpało się kilnaście dziewcząt; zbli- »żył się do nich i wzywał aby wyszły z wody; »ale widząc że je wstydlivość wstrzymywała, i »obecność jego nie dozwalała im wyjść na brzeg, »zabrał ich odzienia i zaniósł na szczyt drzewa, »na które i sam się wdrapał. Dziewczęta zaczę- »ły go błagać aby im oddał szaty; ale on odpo- »wiedział, że tylko tym odda które wzniosą re- »ce ku niebu, co one natychmiast uczyniły, i »dobry Wisznu zwrócił im odzienie.«

Najdziwaczniejszym bożyszczem w pagodach jest wyobrażenie bóstwa *Puleyar*; postać jego składa się z głowy słonia osadzonej na ogromnym kadłubie; potwór ten siedzi z założonymi nogami; u stóp posągu znajduje się szczur, zwierzę ulubione od bóstwa, będącego zarazem *Wenerą* i *Pryapem* starożytnych; cześć jego jest nader nieprzyzwoita.

W świątyniach bóstwu temu poświęconych, widzieć się daje u drzwi figura kamienna dwie lub trzy stopy wysokości mająca, nazywają to bożyszcze *Lingam*, i na niem to siadają w o-

brzędzie, w obecności rodziców swoich, młode dziewczęta za mąż iść mające.

Pobożni czciciele bóstwa *Fuleyar*, równie kobiety jak mężczyźni mają na czole pewne godło tego kamiennego bożyszczka, odmalowane kolorami; noszą je także ze złota lub srebra na szyi zawieszane. Znajdują się poganie między Malabarami, ezczący djabła, zwierzęta rozmaite, drzewa, rośliny, góry; inni obierają za przedmiot czei swojej, to co tylko najhanicznějšíego namiętności mieć mogą.

Religja Malabarów nie zna krwawych ofiar, ponieważ zakazuje zabijać równie ludzi jak i zwierzęta. Wpagodach widać same jedynie ofiary i libacje z oliwy i masła, co wraz z odorem licznych lamp, dzień i noc gorejących, i z odrażającą nieczystością sprawianą przez ogromne nietoperze, które tam tysiącami przebywają, czyni te miejsca zaraźliwemi i często nieprzystępnemi. Nietoperze znajdują w tych miejscach tem pewniejsze schronienie, ponieważ uważane są za święte, co jednak nie wstrzymuje Europejczyków od strzelania do nich, są bowiem bardzo delikatnym przysmakiem.

Bramini, jak wiadomo, składają kastę najszlachetniejszą pomiędzy Malabarami; są oni z urodzenia kapłanami narodu, i sami tylko jedynie

mogą sprawować obrządki ku czci bogów; oni to przechowują mitologję religijną oraz wszelkie wiadomości i nauki indyjskie; posiadają zaufanie i szacunek całego narodu, ale korzyść ta z urodzenia do nich przywiązana wkłada na nich bardzo uciążliwe i przykre obowiązki, jako to: 1) nie mogą jeść niczego co było życiem obdarzone; 2) muszą sobie sami przysposabiać pożywienie; 3) nie mogą zawierać związków małżeńskich z kobietami z kast innych; 4) wdowy ich nie mogą w powtórne wchodzić śluby; golą sobie głowy, a nawet niektóre z nich palą się na stosie zmarłego małżonka,

Ubiór Braminów i Braminek jest prawem ustanowiony; mężczyźni mają głowę i brodę ogoloną; całym ich odzieniem jest kilkanaście łokci białego płótna wcale nie zszytego, które przeciągają pomiędzy udami, opasują następnie nad biodrami, a zbywającą resztę zarzucają na plecy; noszą naksztalt szarfy ułożony pęk nici bawełnianych, których liczba jest tajemnicza; jest to zaszczytny znak ich kasty właściwy. Kobiety ich noszą długie włosy splecione i ozdobione złotymi kosztownościami; szyję i uszy podobnież niemi obciążają; ubiór ich składa się z szczupłej sukni, która im osłania ręce aż do łokci, otacza piersi wcale ich nie zakrywając i dochodzi do pępka, gdzie zakończona jest prze-

paska; do téj przyczepiony jest rodzaj spodniczki z płótna w białe i niebieskie prążki, którą obwiązują do koła ud i goleni, tak iż nogi do kolan zostają nagie. Wychodząc z domu okrywają głowę muślinową zasłoną. Bramini i Braminki zbaczający od powinności swoich, wypędzeni bywają z kasty oraz skazani na niesławę i należenie do kasty parjów. Nie mając innych dochodów nad korzyści z usługiwania w pagodach i ofiary pobożnych, Bramini niczego nie zaniedbują dla zjednania wziętości swym bożyszczom; i tak, jedne z nich uleczejają niektóre choroby; inne mają moc i własności nadzwyczajne; rozgłaszają w tym względzie bajki, jakie tylko wymyślić mogą, aby tém większą sławę dla bałwanów pozyskać, a tem samem i ofiar przysporzyć.

Zatrudnieniem ich głównem jest uczenie się języka dawnych Brachmanów czyli Braminów, to jest *Samskryckiego*. Przewodniczą nadto zgromadzeniom religijnym, urządzają obchody świąt, processje i rozmaite obrzędy.

We wszystkich świątyniach znajduje się pewna liczba młodych dziewcząt zwanych *Bajaderkami*, przeznaczonych do służby bożyszcz i Braminów; własni ich rodzice oddają je na ten cel kapłanom; i dla tego uczą je czytać, spiewać i tańczyć; one to odbywają modły publiczne w pagodach, spiewają pochwały bogów i tańczą

przy odgłosie instrumentów w które uderzają Bramini; taniec ich jest lekki, rzutny i namiętny, śpiewy pełne miękkości i słodyczy, ale zbyt jednotonne; tańczą one również i śpiewają w domach prywatnych, dokąd za opłatą można je sprowadzić; zestarzawszy się służą za nauczycielki młodszym Bajaderkom.

Bramini uważają Europejczyków za klasę niższą jeszcze od Parjów i unikają ile możliwości wszelkich z nimi stosunków. (*)

Indjanie wielkie zachowują uszanowanie dla wołu i krowy, które uważają za zwierzęta niezmiernie pożyteczne człowiekowi; dla tego więc nigdy mięsa ich nie jedzą. Żyją pospolicie ryżem, jarzynami i mleczystem; robią także masło, które rostapiają na ogniu, i piją póki jest płynne, z największym smakiem i rokoszą. Zbierają oni starannie gnój wspomnianych zwierząt, dla namaszczenia nim domów swoich i dachów, oraz palenia jako wonne kadzidło w czasie obrzędów religijnych: mocz krowia służy do oczyszczenia tych co jakimś sposobem zmazaniu ulegli. Ustanowione są osobne dla tych zwierząt uroczystości.

Malabarowie żenią się zawsze z kobietami z kast

(*) Czytelnicy porównają zapewne szczegóły te o Braminach i ich religji z wiadomością jaka o nich znajduje się w Tomie III. Nrze 17. Kolumba, od stronnicy 234.

swoich, ale nie zawsze są panami wyboru swego; częstokroć rodzice układają małżeństwo jeszcze przy urodzeniu dzieci; ale związek ich wtenczas dopiero do skutku przychodzi, kiedy są w wieku do małżeństwa sposobnym. W epoce tej zgromadzają się obie rodziny i obdzielają się nawzajem grzecznosciami i podarunkami; Bramini ustanawiają miesiąc i dzień obchodu każdego zamęzcia, które odbywa się pospolicie w maju, czerwcu lub lipcu, jako w miesiącach uważają za najszczęśliwsze w roku; obrzęd ma miejsce w nocy, przy świetle pochodni i sztucznych ogniów; trwa zaś przez kilka nocy podług stanu i zamożności osób.

Naprzód udają się wszyscy do pagody, gdzie Bramini i stare Bajaderki odmawiają błogosławieństwa nad oblubieńcami; po czem ci wychodzą z tamąd dla czynienia odwiedzin w następującym porządku: 200 lub 300 niewolników na kijach niosą fajerki z ogniem, na których palą gnój ususzony od krowy i oliwę; inni znowu palą masę zwaną ogniem bengalskim, której światło żywym wszystko okrywa blaskiem; następują potem sztukmistrze puszczający ciągłe race, petardy, wężyki i t. p. za nimi dopiero jadą rodzice siedząc na koniach bogato ubranych, lub w karétach ciągnionych przez woły; nareszcie ukazuje się palankin z nowożeńcami, o toczony niewolnikami, którzy odganiają owady i rozpraszają tumany kurzu za pomocą wielkich serwet. Processję zakończają przyjaciele i Ba-

jaderki, które tańczą opiewając pochwały małżonków.

Skoro orszak przybędzie do domu w którym ma uczynić odwiedzin, nowożeńcy zstępują z palankinu i wchodzą dla pozdrowienia znajdujących się tam osób; przez ten czas bajaderki tańczą i śpiewają przed drzwiami; po skończonych odwiedzinach cały orszak postępuje dalej.

Parjowie żeniąc się idą tłumem; nie wolno im jest mieć palankinu.

Skoro umrze Malabar, krewni jego zgromadzają się około trupa i wydają krzyki; kobiety jęczą przeraźliwie włosy sobie wyrrywając. Następnego dnia obmywają ciało, ubierają je w piękne szaty, sadzają do palankinu i tak wynoszą za miasto, gdzie już poprzednio wzniesiony został stos w formie piramidalnej. Na tym kładą trupa, Bramin podkłada ogień, i ciało w popiół się zamienia. Często jeszcze widzieć można żony zmarłych palące się na stosach swych mężów.

Malabarowie są bardzo przemyślni, a szczególnie w uprawie ziemi, tkaniu materji bawelnianych i drukowaniu płócien; ale gałęź ta handlu bardzo wiele ucierpiała w Azji od czasu jak w Europie tak bardzo wzrosła. Są oni mianowicie biegli w robotach garncarskich; naśladują nawet te jakie otrzymują z Europy; okręty ich, zachowujące wybornie świeżą wodę, a które oni nazywają *garguletami*, podobne są

bardzo do *hydroceramów* egipskich. W ogólności Malabarowie celują we wszystkich kunsztach mechanicznych, a szczególniej misternie wyrabiają ozdoby złote i srebrne; nakoniec bywają oni razem krawcami, szwecami, haftarzami, budowniczymi, mularzami, i t. p.

Ze wszystkich budowli bożyszczom poświęconych, najświetniejsza na wybrzeżu *Koromandlu* jest pagoda *Charmonbru*. Jest to gmach ogromny zbudowany z kamieni ciosowych nadzwyczajnej wielkości, posród piaszczystej równiny, na której w obwodzie trzydziestu *lieues* nie ma ani kopalni, ani kamieni polnych, ani nawet rzeki do ich przewozu. Gmach ten najeżony jest wieżami bardzo wysokimi. Wewnątrz i zewnątrz zdobią go rzeźby wyobrażające dzieje bogów indyjskich; ale najciekawszym przedmiotem jest łańcuch kamienny obwodzący do koła świątynię; ogniwa jego są tak zręcznie pozakłane jedne w drugie, iż łańcuch ten zdaje się być z jednego kamienia wyrobiony; jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju i nadzwyczajne.

Zakończam na tem postrzeżenia moje. Nie będę się rozszerzał nad prawami, oświatą i rządem kraju tego, gdzie tylko sześć miesięcy zabawilem, a i tego czasu częś większą użyłem na załatwienie własnych interesów. Opuściłem Pondichery na początku marca 1817.

III.

ARHIPELAG AZORSKI.

Wyiątek z opisu niewydanego P. G...

(z dzie n. Journ. des Voy.)

... Przebywając ten archipelag, którego wszystkie wyspy noszą na sobie piętno wulkaniczne, widząc te nadzwyczajną ilość roślin morskich któremi wody mórz tych są okryte, oraz mnogie rafy w różnych z pod wody ukazujące się punktach, i będące dowodem ile morze mniej tam jest głębokie niż reszta Oceanu, przypominamy sobie mimowolnie tę wyspę atlantycką, tak rozległą i tak potężną, której kapłani egipscy odkryli istnienie lub pamięć przechowali, i która podług ich twierdzenia przez morze pochłoniętą być miała. Podaniem ich w tym względzie towarzyszyły tak oczywiste bajki, iż można śmiało przypuścić, że Atlantyk istniał jedynie w ich wyobraźni. Wszelako widok wysp Azorskich i morza które je otacza, upoważnia niektóre wątpliwości w tym przedmiocie, który z resztą przeznaczony jest na to, aby w nieprzeniknionej pozostał ciemności.

Wyspy Azorskie leżą na drodze z Europy do Ameryki, między 37^o i 40^o szer. półn. a 27^o i 34^o dług. zachodniej. Jest ich dziesięć, jako to: Terceira, Sgo Michała, Stój Marji, Pik (znakomita

górami prawie tak wysoką jak Pik Teneryfy), Fayal, Sgo Jerzego, Gracjoza, Corvo i Flores. Doznały one częstych i gwałtownych trzęsień ziemi, z których jedno wydarzone w r. 1591. trwało dni dwanaście, i zniszczyło kwitnące miasto Villa-Franca; trzęsienie d. 9. Lipca 1757, r. równie prawie okropne, spustoszyło Archipelag.— Terceira jest z tych wysp najznaczniejsza; ma ona 15 *lieues* obwołu. Angra jest jej stolicą.... Wyspa Fayal jest znacznie mniej rozległa aniżeli Piku, a wszelako ludność jej o połowę jest większa. Stolicą jej jest miasto tegoż nazwiska, które mieć może jeszcze 5 do 6000 mieszkańców, ale musiało ich niegdyś mieć nierównie więcej, wnosząc z jego rozległości i liczby domów dzisiaj niezamieszkanym. Wyspa ta, oprócz nadzwyczajnej zyzności ziemi, ma jeszcze tę korzyść, iż posiada najlepszą przystań z całego archipelagu: dla tego też jest głównym targiem i środkowym punktem handlu wysp Piku, Sgo Jerzego, Gracjozy i Flores. Całą prawie ilość win, na jaką tam zbierają, zakupują Amerykanie; Anglicy ładują okręty swoje cytrynami i pomarańczami; okręty zaś Portugalskie udające się do Brezylji, zabierają ztamtąd zwykle zboże i solone mięsiwa.

Mieszkańcy są bardzo gościnni; nie ma w Fayal oberży, w którejby cudzoziemcy mieszkać mogli. Osoby majątniejsze a szczególnie kupcy, mają przyjemność przyjmując ich u siebie i podejmując.

Pomiędzy wyspiarzami tymi dziwna panuje zgoda; zwyczaj używania herbaty, który przejęli od Anglików, daje sposobność do zgromadzania się rodzin na wieczory, na które często zapraszają cudzoziemców i przyjaciół: są to prawdziwe wieczory towarzyskie. Młode osoby zabawiają się muzyką, która pospolicie bywa im pobudką do śpiewów i tańcu. Starsze grywają w wista. Kobiety w postępowaniu mają wiele przyjemności, a przyrodzenie nie odmówiło im wdzięków płci tej właściwych. Wszystkie prawie które lepsze odebrały wychowanie, mówią po francuzku: co tём godniejsze jest uwagi, iż nietylko do wyspy tej bardzo rzadko zawijają okręty tego narodu, ale nawet, jak mnie zapewniano, nie ma nikogo w Fayal coby nauczał języka tego. Nauka więc jego rozszerza się i utrzymuje na tej wyspie przez pewny rodzaj podania i wzajemnego uczenia.

Ubiór mieszkańców jest tenże sam co i Portugalczyków w Europie. Różnice tak niegdyś wydatne między ubiorami ludów południowych i północnych codzién więcej się zacierają, równie w Fayal jak i w Lizbonie; mężczyźni, oprócz niektórych co jeszcze pozostali wiernymi wielkim sukiennym płaszczom i trójróżnym kapeluszem, przyjęli w zupełności strój angielski. Kobiety, z swojej strony, naśladują również angielskie mody; ale z pospiechem korzystają z sposobności robienia w nich zmian na sposób francuz-

ki. Co do ubioru narodowego, tego śladów jedynie jeszcze między kobietami z pospólstwa i wicjskimi szukać należy. Między pierwszymi, zdarzają się niekiedy ubrane w długie suknie z czarnej kanwy, i ukryte za zastoną z tejże materji sięgającą aż do ziemi; widziéć można jak wolnym i poważnym kroikiem postępują do kościoła. Co do drugich, wiele z nich nosi jeszcze, tak jak za króla Sebastjana, jupki z długiejwełnianej materji, głowy zaś okrywają szerokim pasem płóciennym albo muślinowym, obszywanym sznurkami i grubą koronką. Strój ten, przytwierdzony na głowie za pomocą kawałka pilśni kapeluszonej wzniesionego i spiczastego, spada z obu stron na ramiona i sięga aż do kolan. Znajduje się w Fayal kilka kościołów, niezem się nie odznaczających; Wszelako kościół Jezuitów jest bardzo piękny; klasztor ich był pałacem. Liczą prócz tego pięć klasztorów, trzy męzkie i dwa żeńskie. Pierwsze są prawie puste: inaczej rzecz się ma z żeńskimi, które są zapełnione mianowicie ofiarami podziałów majątkowych, poświęconych szczęściu uprzywilejowanych dzieci, lub ślubom rodziców, których córki doszedłszy lat szesnastu dopełniać są obowiązane.

Przebiegałem kilkakrotnie wewnętrzne wyspy okolice; widok ich jest istotnie czarujący; szkoda tylko że kamienne obmurowania które się za każdym krokiem ukazują, zakrywają często przed

oczyma najrozkoszniejsze krajowidy. Klimat, w zimie nadzwyczajnie łagodny, w czasie zaś letnich upałów odświeżany przez wiatry morskie, sprzyja wszystkim prawie roślinom. Dla tego w małym przestworze widzieć częstokrrć można płody właściwe najprzeciwniejszym temperaturom kuli ziemskiej, a owoce biegunowe dojrzewające obok zwrotnikowych. Jodła północna wznosi szczyt swój piramidalny na tem samym polu, które kokos swoim zaokrąglonym zacięcia wierzchołkiem. Pomarańcze kwitną obok jabłoni; bananas przedstawia w związkach poskupiane owoce, w tym samym czasie kiedy grusza swoje w szpalerach rozpościera; ananas miesza swój miły zapach z wonnym malin wyziewem, a nasza ogrodowa kapusta rośnie spokojnie pod cieniem majestatycznej palmy. Nieśmiertelna panuje tam zieloność, a powab jej wzmagą się jasnością zawsze czystego nieba. . . . Wyspo rozkoszna, pragnąłem na twą szczęśliwą ziemię przenieść byt mój błędny; zazdrościłem losu twym mieszkańcom, którzy mało znani od reszty świata, mało nawzajem troszczą się o niego, a szczęśliwi pośród zaburzeń wielkich ludów, nie znając ich niedoli, spoglądają na ich niezgody i klęski, i słuchają ich opisu z taką samą obojętnością, z jaką my dzieje wieków ubiegłych odczytujemy.

W pośrodku wyspy znajduje się obfity strumień z niczem nie można porównać świeżości i piękności

doliny przez niego zroszonej. Woda nim płynąca jest jedyną na wyspie nie mającą smaku wody morskiej. Na zachodnim brzegu wyspy znajduje się góra która niegdyś była wulkanem. Krater jój wygaśły pozornie od wielu wieków, ma otwór bardzo obszerny. Wydrążenie jego dochodzi prawie do poziomu morza i łatwo zstąpić można do téj otchłani, która ma przeszło 300 sążni głębokości. Dno jej jest zupełnie równe i piaszczyste; przepływa przez nie strumień bardzo czystej wody.

Wyspy Azorskie były bezludne, kiedy je Portugalczycy odkryli; oni je dopiero zaludnili, a fizognomja ich rysów zachowała się dotąd bez znacznej bardzo zmiany. Wszelako, zdziwiony byłem widząc w Fayal, a szczególnie po wsiach znaczną liczbę ludzi, których wysoka postawa, kolor włosów mglisto płowy i oczy niebieskie przedstawiały uderzającą sprzeczność z małym wzrostem i czarnymi włosami innych mieszkańców. Dowiedziałem się, iż ludzie ci pochodzili od małej osady Niemców, którzy płynęli do Ameryki na początku XVII wieku. Okręt skołatany burzą, rozbił się przy brzegach tej wyspy; uratowano jednak ludzi, i ci pozostali na wyspie która ich przyjęła. Od tego czasu, cztery lub pięć pokoleń nastąpiło po sobie; liczne zawarły się związki między cudzoziemcami tymi a krajowcami, oba wszelako rody zachowały pierwotne rysy swoje.

Godną uwagi jest ta okoliczność, iż na wyspę Fa

yal, równie jak na wyspe Piku, nie wprowadzono niewolników afrykańskich: wszystkie roboty odbywają tam ludzie wolni, a cena pracy jest bardzo umiarkowana.

ROZMAITOŚCI.

Hemus czyli Balkan — Te wielkie góry są przedłużeniem pasma gór, które od Alp, ku południowo zachodniej granicy Bośni i Serwji, równie jak ku północnej granicy Macedonji ciągną się i niedaleko od źródeł Maritzy (Hebrus) na dwa ramiona rozbiegają. Gałąź ku południo-wschodowi do ujścia Maritzy idąca, nosi nazwanie Despoti-Dagh albo Rodopy; gałąź północno zachodnia stanowi góry Hemus. Dziesięć do piętnastu mil (niem.) od Dunaju odległy, ciągnie się ten łańcuch gór w kierunku równoodległym od tej potężnej rzeki, oddziela Bułgarję (Moesia) od Rumelji (Tracji), kraj na pół chrześcijański od właściwego Moslemitów kraju, i zakończy się ostrym spadkiem przyłądka Emeneli (*Haemi extrema* u Rzymian) w zimne wody od starożytnych za niegościnne znanego morza Pontus Euxinus. — Rzymianie i Grecy porównywali Hemus z Alpami; nie podobna jednak aby tu włączać mieli owe lodowate góry alpejskich szczyty; nowsze bowiem podróże jednoznacznie stwierdzają to postrzeżenie. ~~Niz~~ ~~nie~~ ~~lecie~~ ~~nie~~ ~~gd~~ ~~dy~~ ~~na~~ ~~szczy~~ ~~dz~~ ~~ia~~ ~~to~~ ~~po~~ ~~strze~~ ~~żenie~~.

tach gór Hemus nie widziano śniegu. Dalej ku zachodowi, na południe od Sofji, widzieli dwaj wędrownicy w miesiącu Lipcu okryte śniegiem najwyższe gór cyple; ale massa ta gór nie należy do łańcucha Hemus zwanego, i tworzy główną posadę centralną gór Turcji Europejskiej, od której się gałęzie Hemus i Rodope rozchodzą i w opisach ziemi u starożytnych znane są pod nazwiskami *Seomius i Oebelus*, u nowoczesnych zaś pod nazwiskami *Dubnitza i Argentaro*. Roślinienie Balkanu potwierdza to mniemanie. Grzbiety tego gór łańcucha, równie jak północny ich spadek, okryte są gęstymi, niezmiernymi lasami, w których dęby, brzozy i lipy na przemian rosną. O porównaniu więc z wyższymi alpejskimi górami myśleć tu nie można. Natura i sztuka rozdzieliły to 50 milowe pasmo Balkanu na dwie części, którym dać by można zachodniej i wschodniej nazwiska. Linja od Ruszczuku do Edrene (Adrianopola) pociągnięta, byłaby niejako granicą obu oddziałów, z których każdy przestwór 25 mil niem. zajmuje. Część wschodnia jest niższa, ale ważniejsza pod względem wojskowym, tak dla jeograficznego położenia swego, jak dla wielu i rozmaitych przystępów. Część zaś zachodnia mniej jest interesującą od tej ostatniej. Wyższa i dziksza, zaledwie zwiedzana kiedy przez wojska i przez podróżnych europejskich, weale prawie jest nieznaną. Ze względu wojskowego Hemus zachodni nie zasługuje weale na uwagę

wodza; gdyż jeśli ten przybywa od północno-zachodu, w ówczas zamyka się przed nim (na drodze od Nissy i Sofji do Filipopola i Adrjanopola) brama Trajana (Seln Derbent), albo wysokie i urwiste głązy skalne, przez które Maritza z grzmiącym łoskotem do morza archipelagu spieszy, jego pochód do Byzantu ścieśniają. Z opisów niektórych podróźnych wnosić można, iż część Balkanu Morzu Czarnemu przyległa, zaledwie dosięga wysokości Turyngskiej góry śnieżystej, kiedy tym czasem część druga ku środkowi kraju posuniona wysokość tę przechodzi, i jak się zdaje dosięga Apeninów 7 do 8,000 stóp wysokich. Sądząc podług najlepszych kart geograficznych, żadna rzeka nie przerywa łańcucha Balkanu, i łańcuch ten nie odsadza żadnej gałęzi w prostopadłym kierunku, jak to przy wielu innych górach się zdarza. Po obu jednak stronach Balkanu płyną dwie dosyć znaczne rzeki, w tym samym kierunku jak góry, i podstawę ich nurta mi swemi podmywając, wpadają do Morza Czarnego. Jedna od strony północnej oznaczona bywa na kartach pod nazwaniem Kamtchi, Kamesik, Kameczuk, Kuecznik albo Kara Kamecze, druga na południe Balkanu ma nazwiska: Urns, Kessri, Beglideresi, Aidos, Karnabat. Pierwsza przepływa w kierunku prostym przestrzeń 20 milową i miesza swe wody z morzem Czarnym pod Ac-Buronn, na południe Warny; druga, krótką ubiegłszy drogę, bo zaledwie 15 mil niemieckich

wynoszącą, wpada do odnogi Burgas. Ujścia ich leżą o 6 do 8 mil od siebie, i tyleż wynosić może szerokość wielkiego Balkanu.

Niektóre szczegóły o murzynach w Senegalu. — Senegalczykowie są w ogólności weseli, lekey, twarzy uśmiechającej się i przyjemni w rozmowie; lubią namiętnie rokosze. Używają snu koło południa, ale zato długo w noc nie śpią. Lubią nadewszystko przy świetle xiężycza zabawiać się rozmową, śpiewać i tańczyć aż do rana; odgłos ich *tam-tamu*, czyli pewnego rodzaju bębna, i uderzenia dłonią w dłoń, dają się często słyszeć z jednej wioski do drugiej, i to jest znakiem wspólnego do rozrywki zachęcenia.

Podróżny płynący wieczorem rzeką, zdziwiony tymi nieustannymi wesołoci widokami, mnie ma zawsze że święta lub uroczystości obchodzą, ale święta te odnawiają się co wieczór.... Tańce murzynek jest bardzo nieskromny. Robią one koło i poruszeniem ciała, równie jak klaskaniem w ręce takt oznaczają. Każda z nich opuszcza kolejno miejsce swoje, i skacze pośród koła; poruszenia jej jednak tak są nieprzystojne, iż nieśmielibyśmy opisu ich przywozić. Widowisko to jest odrażające, i nawet mało do zmysłów przemawia, a żadnego ani na sercu ani na imaginacji nie czyni wrażenia. Prawda, iż tańce te nie są skutkiem rozwiązłości, jakby z razu mniemać można; jest to raczej zwyczaj

bardzo zadawniony, który przechowuje się niewinnie między tym ludem, tak iż można widzieć dzieci sześćioletnie wykonywające ten taniec, bez zastanawiania się nad jego znaczeniem. Zresztą, płci obie nigdy razem z sobą nie tańczą. Mężczyźni mniej od kobiet oddają się tej rozrywce. Poruszenia ich są nagłe i ożywione; naśladują niekiedy walki, niekiedy znowu pijaństwo lub szaleństwo; są one dziwaczne, nie mają żadnego wdzięku i przyjemności dla oka.

Murzyni Senegalsey mają również swoich królów; a ztąd znają dworzan i dwory. A chociaż te przebywają pod słomianemi dachami, zawsze wszelako są dworami. Nie mniej tam znajduje się intryg i ambicji jak w marmurowych pałacach. Mają prócz tego wielkich urzędników, książąt i faworytów. Mają szlachectwo dziedziczne, uprzywilejowane, a nawet feudalne. W oczach pospólstwa kraju tego, być unieszczonym blisko książąt, jest to być na najwyższym szczeblu szczęśliwości... Organizacja polityczna i feudalna większej części tych krain podobna jest do téj jaką miała Francją w XVII wieku. Od króla aż do niewolnika czyli przywiązanego do ziemi, jest tylko jeden łańcuch nieprzerwany powinności i podległości. Każda godność pozostaje w familji, ale bez stałego porządku następstwa. Naczelnicy przybierają nazwiska prowincji lub wiosek, któremi zarządzają. Mają pod sobą innych naczelników; zgromadzają i

prowadzą na wojnę mężczyzn swojej ziemi zdolnych do noszenia broni. Dziesiąta część zbiorów jest korzyścią *pana*, który dzieli się nimi w gminach z *marabudem* albo kapłanem. Marabuci umieją zawsze pisać i czytać. *Panowie* szukają w tém zaszczytu że swego nazwiska podpisać nie umieją. Pismo arabskie jest wyłącznie używane, język arabski bowiem jest panującym w tym kraju. Koran i niektóre ułamki z jego komentarzy są jedynymi znajomymi im prawami.... Z resztą bojaźń czarta, czarowników, wiara w amulety, łatwowierność i zabobonność są powszechne (*).

GAZETA PODRÓŻY I GEOGRAFJI.

ANGLJA. W Irlandji wykopał niedawno wyrobnik pod torfem w głębokości 10 stóp zwłoki człowieka, dobrze zachowane, do mumji egipskiej bardzo podobne, które zapewne liczne wieki w ziemi przetrwać musiały. Ubiór tego człowieka przypomina najdawniejsze czasy Irlandji, okryty był bowiem jak gdyby tuniką, skórą niewyprawną. Zęby i włosy zachowały się prawie w całości; język, palce i ciało ma stwardniałe, skórę jak gdyby wygarbowaną. Donoszący o tem dziennik, zwraca uwagę na konserwującą się łę torfu.

(*) Odsyłamy tu czytelnika do Wiadomości o rządzie, obyczajach i przesądach mieszkańców kraju Walo, w Nrze 21 Tomie 4 Kolumba zawartej.

— Kapitan Ross, który już raz odbył podróż na morzach koło bieguna, podejmuje własnym i przyjaciół swoich kosztem, podobną podróż i rozpocznie ją w kwietniu. Po raz pierwszy użyty będzie w naukowej wyprawie okręt parowy; na okręcie zwyczajnym, do wyprawy tej należącym, znajdować się będą zapasy żywności na lat trzy i materiały palne. Na obadwa okręty wsiądzie 60 osób.— Officerowie z kapitanem podróż tę przedsiębiorący, są naukowo ukształceni, i w ogólności cała ta wyprawa jest wkażdym względzie wzorową.

— Nowa osada nad rzeką Swan-River w Australji ma zostawać pod zarządem Kapit. Stirling, a na początku roku przyszłego otrzyma organizację polityczną. Nie będą tam wcale wysyłać zbrodniarzy na wygnanie. Za 15 f. szt. można dostać 200 akrów gruntu, który jednak w ciągu lat 21 w całości uprawiony być powinien, w przeciwnym razie powraca do korony.

— Na zgromadzeniu Towarz. azjat. d. 3 Stycznia r. b. w Londynie znajdowali się trzej Nowo-Zelandjanie, których Kapitan Dillon do Anglii przywiózł. Ubrani byli zupełnie po swojemu, albo raczej prawie bez odzieży. Zwrócili na siebie powszechną uwagę.

— Porucznik Maw z floty angielskiej jest pierwszym z Anglików, który dostał się aż do źródła rzeki Amazońskiej. Udawszy się z Peru przez Kordiljery, puścił się w pobliskości Moyobamba, jedną z małych rzeczek, jakie do Gualaga wpadają, i tym sposobem pod wodę płynąc dopiął celu swego.

FRANCJA — Kapitan okrętu wojennego francuzkiego odkrył niedawno między Sydnej i Moreton Beiem dwie rzeki, któremi płynąc wzdłuż tamiecznego brzegu, znalazł kraj okryty lasem, a grunta na pozor bardzo obfite, oraz klimat zdrowy. Te Kapitan dał jednej rzece nazwisko Klarencja a drugiej Richmond; te rzeki staną się nader użytecznymi dla żeglujących w tej okolicy.

NIEMCY — Według urzędowych źródeł liczyła Bawaria w r. 1826. 4,037,017. mieszkańców; między tymi 2,880,383. katolików, 1,094,633. ewangelików i reformowanych 57,574. żydów i 4,527 innych wyznań. Do klasy wojskowych należało 45,227 osób.

BIBLIOGRAFIA

W Niemczech wyszły nowe następujące dzieła.

— *Tagebuch auf einer Reise durch einen Theil von Baiern, Tyrol und Oestreich, von der Verfasserin der Erna etc.*

— *Malerische Ansichten von Schlesien, von R ö s e l.*

— *Stein's Reise durch Baiern, Salzburg, Tyrol, die Schweiz und Württemberg.*

— *Europa im Jahre 1829, ein genealogisches statistisches Handbuch —* przez kawalera Zedlitz.

— *Voyages Pittoresques etc.* Malownicze podróże około ziemi, z wyobrażeniami dzikich ludzi w Ameryce, Azji, Afryce i na wyspach Wielkiego Oceanu, przez Chorisa.

— *Vues et paysages etc.* Widoki i krajobrazy krajów równikowych, zebrane z podróży około ziemi odbytej, przez tegoż.

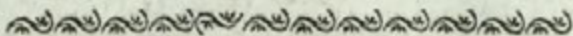
We Francji wyszły między innymi dzieła:

— *L'hermite en Russie etc;* czyli postrzeżenia nad obyczajami i zwyczajami Rossjan na początku XIX wieku.

— *Les Turques et les Grecs en 1829.*

Omyłki druku.

Str. 5 wiersz 19 poprawić Jahns on. — Str. 7 w. 11 popr. How e. — Str. 7 w. 12 popr. Grattan. — Str. 8 w. 16 popr. Dryden. — Str. 25 w. 30 popr. przyjemnem — Str. 35 w. 7 popr. kilkanaście. — Str. 40 w. 10 popr. uważanych. — Str. 46 w. 7 popr. krokiem.



K O T U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 32.

Z DRUGIEJ POŁOWY KWIETNIA 1829 ROKU.

IV.

WIADOMOŚĆ O MIESZKAŃCACH NO-
WEJ ZELANDJI;

przez R. P. Lesson.

(z *Dzien. Journ. des Voy.*)

Mało jest ludów którychby poznanie równie interesującym było jak Nowo-Zelandjan: ich umysł hartowny jest połączeniem łagodności i okrucieństwa, które z historji ludu nowy utwarza obraz. Nowo-Zelandjanie, w istocie, nie zdają się wcale dzielić tych gościnnych obyczajów jakie znamionują niektóre pokolenia tegoż samego rodu, zaludniające wyspy morza połu-

dniowego. Z pierwszego wejrzenia charakter ich zdaje się być ponury i okrutny; możnaby mniemać że nienawiść i zemsta są jedyne namiętności jakie ich ożywiają; każdy cudzoziemiec co się ich brzegów dotknie jest już tem samym ich nieprzyjacielem. Ta fizognomja moralna zasnuca wprawdzie dostrzegacza, kiedy ten ujrzy barbarzyństwo ich zwyczajów, ich ludożerstwo, skłonność do wytepiania wszystkiego, grubą przesądów tkaninę i pogardę rzeczy do uprzyjemnienia życia przydatnych; a wszelako, pośród obyczajów tak oddalonych od pierwiastkowej nawet cywilizacji, znaleźć można niektóre z tych cnót silnie rozwinięte, jakich taż cywilizacja nie dozwala jeszcze ukryć pod zwodniczą i kłamliwą barwą grzeczności. Każdy Zelandjanin zachowuje najnocniejsze przywiązanie do różnych członków rodziny i pokolenia swego; zgromadza on wszelkie uczucia swoje wewnątrz, zewnątrz przeciwnie we wszystkich widzi nieprzyjaciół, a rzadko sprzymierzeńców; a jeśli sąsiadujące pokolenia łączą się z sobą, związek ten kojarzy jedynie potrzeba życia spokojnego

Postrzegamy więc w Zelandjanach teź samą fizognomję, zwyczaje, wyobrażenia religijne i mowę, co i w mieszkańcach Taiti, wysp Markizów i Zandwichskich; pierwsi jednakże dostali w udziale ziemię mniej uposażoną w płody przyrodzone. Zachowali oni bardziej niezatarte podania przodków swoich. Nowo-Zelandjanie są

w ogólności wyżsi i silniej zbudowani niż Otai-
tjanie. Nawyknienie do wojny i pochodów przez
góry, hartuje ich członki, których postać jest a-
tletyczna; wzrost dochodzi zwykle pięciu stóp
i siedmiu do ósmiu cali, rzadko zaś bywa niż-
szy; kolor ciała nie różni się wcale od miesz-
kańców południowych Europy. Fizognomja od-
znacza się wyrazem właściwym; rzadko jest otwartą
i szczerą, ale zwykle rysy ich tchną ponurą dzi-
kością. Piętno charakterystyczne tych ludów jest
twarz owalna, czoło wąskie, oko wielkie, czar-
ne i pełne ognia, nos często orli a częściej
spłaszczony, usta szerokie i grube. Zęby mają
najpiękniejszą powleczone emalją, małe i bar-
dzo regularnego układu. Zelandjanie noszą wło-
sy długie i w gęste kosmyki na twarz spadające,
i sami wodzowie tylko zbierają je w jedną związ-
kę na wierzchu głowy. Włosy te są niezmier-
nie twarde i szorstkie, koloru czarnego, a nie-
kiedy czerwonego, co pochodzi bez wątpie-
nia ze zwyczaju namaszczenia ich prochem ochry.
Toui, naczelnik hippahu Kauerra, który nas czę-
sto odwiedzał, miał włosy spadające w długich
kosmykach, które tak układał w czasie wypraw
wojennych, iżby nadawały fizognomji jego wy-
raz okropny i przerażający. Zwyczaj, przez nie-
których krajowców używany, zapuszczania bro-
dy długiej i spadającej na piersi, przypomina te
starożytne głowy które pędzel naszych wielkich
malarzy na płótnie przedstawia. Młodzieńcy

długi czas nie mają brody: wszystkie ich poruszenia są szybkie i zwrotne, a chociaż nogi mają doskonale ukształcone, zwyczaj pospolity między tym ludem przysiadania na piętach, rodzi wczesnie zatkania w częściach kolanowych.

Wszystkie zamężne kobiety, które przybyły na pokład korwety *Coquille*, były nierównie kształtniejsze aniżeli dziewczyny niewolnice które przebywały na okręcie, przysłane tam przez panów swoich dla wyjednania rozmaitych drobnych przedmiotów. Kobiety te były silnie zbudowane i rzadko niższe od pięciu stóp i dwóch do trzech cali; niewolnice zaś przeciwnie, zwykle tylko do czterech stóp i trzech do sześciu cali dochodziły. Taka niestosowność jest bez wątpienia skutkiem rozwiązłości, na jaką zwyczaj te nieszczęśliwe istoty skazuje. Ogólny charakter twarzy, który u większej części ludów odznacza się w kobietach delikatnością rysów, jest w Nowej Zelandji zupełnie przeciwny wyobrażeniom jakieśmy sobie o piękności utworzyli. Dziewczęta, w pierwszej swój wiosnie, mają twarz szeroką, rysy mezkie, usta grube, często-kroć farbowane czarno przez nakłuwanie, szeroką gębę, nos spłaszczony, źle uczesane i w nieporządku rozpuszczone włosy, niechlujstwo w całej osobie, a nakoniec ciało przejęte odorem ryb lub psów morskich, który o mdłości przypowieć jest zdolny. Ale ten odrażający obraz zacięrają w części niektóre szacowne przymioty,

jakiemi je natura obdarzyła, i w istocie, zęby śnieżnej białości, i czarne, pełne ognia i wyrazu oczy, stanowią wdzięki bardzo zachwycające, gdziekolwiek bać napotkać się dają; moc ich podnoszą jeszcze inne korzyści, nader rzadkie między kobietami ucywilizowanymi, Młode Zelandjanki, których szczęśliwa niewiadomość nie zna jeszcze gorsetów, nie tracą kształtu i jędrności ciała. Starcy między Zelandjanami nie są liczni; wojownicze bowiem nawyknienie tych pokoleń, i częste walki jakie między sobą staczają, są przyczyną iż ludzie nie domierzają zawodu życia.

Ostrość klimatu nie dozwala Nowo - Zelandjanom używać kąpieli, i dla tego obmierzli są z powodu swój niechłujności. Kobiety a szczególnie dziewczyny niewolnice, zatrudnione wywnętrzaniem ryb do suszenia, mają ciało okryte grubą powłoką brudu, który w oddaleniu nawet śmierdzi, tem bardziej, iż namaszczają się tłustością psów i świń morskich, i posypują prochem z ochry. Zwyczaj ten przez to jest godny uwagi, iż panuje tylko między ludami z rodu murzyńskiego. Większa część Zelandjan obsypuje nawet włosy pyłem czerwonym, a wszyscy u których postrzegaliśmy tę ozdobę, pochodzili z wiosek odległych od odnogi, od wysp i od środka wyspy.

To nawyknienie do nieczystości tem bardziej jest już wkorzenione u tych wyspiarzy, iż z bar-

dzo małym staraniem mogliby się pozbyć robactwa które ich pożera i okrywającego ich brudu. Mężczyźni i kobiety umieją wybornie pływać; jednak tylko z potrzeby nie dla przyjemności rzucają się do wody, a kobiety nie zdejmują i nie odnieniają nawet i w ten czas zastłon z włókien roślinnych któremi przepasują się około bioder; nie zdejmują ich nawet udając się do spoczynku, ani siedząc w pirogach w wodzie, lub pośród głów i wnętrzości rybich; noszą je dopóki zupełnie się nie zedrą.

Ubiór Zelandjan nie wiele różni się u obu płci. Ponieważ jednak wyspy te nie posiadają owych szącownych drzew z których kory wyrabiają Otaitjanie swój papier do ubioru, bardzo lekki i miękki, ludy te używają innych roślin w to miejsce, a plecionki jakie umieją także z włókien rośliny *phormium tenax*, są rzadkiej piękności, równie z roboty jak z osobliwości rośliny. Jedna z tych plecionek zwana *tatata* unosi się niedbale na plecach, druga okręca się w pasie i spada aż do kolan. W czasie zimowym, kiedy powietrze jest nadzwyczajnie ostre na tych antarktycznych wyspach, przydają do zwierzchniej plecionki grubą i ciężką tkaninę, robioną z włókien pewnego rodzaju trzciny. Odzież ta nazywa się *Toi*; zamiast niej naczelnicy noszą płaszcz z psich skór pozszywanych razem, który nazywają *Kachuwairo*. Tkanina w plecionkach rozmaita jest stosownie do roboty, często bywa gładka i bez ża-

dnego rysunku, często znowu zaleca ją subtelność ozdób i wyszywań. Pączki rośliny *phormium* nie wytrząśnione i bardzo długie, używane bywają do ozdoby ubioru przez młode dziewczęta niewolnice, co niemało przyczynia się do nadania niezmierniej objętości ich ciała.

Znaczenie i męstwo wojowników zelandyjskich oznacza wielka liczba gładzonych i obrabianych kawałków kości lub kamyków, poprzywiązywanych na piersiach u brzegu szaty. Pierwotny i prawdziwy użytek tych kości był do drapania się w głowę, kiedy im nieprzyjemne owady dokuczały; z resztą Zelandjanie równie jak wszystkie inne ludy mają skłonność do zdobienia się, a mianowicie przez zatykanie piór między włosami, pospolicie białych i jedwabistych; pióra te zatykają niekiedy w uszy; jeśli ich zaś nie mają przywiązują w to miejsce kawałki białego płótna. Głowy niczem nigdy nie nakrywają, a włosy bez pomocy sztuki rozrzucone są niedbale po głowie; wszelako niektóre dziewczęta, pragnące więcej niż inne podobać się, nawiedziły nas, mając na głowach wieńce z mehu bardzo świeżego i ładnego.

Przedmiotem stroju u kobiet są paciorki z muszli, zwane *pire*, u których zawieszają niekiedy małe rybki suszone; ich upodobanie w paciorkach szklanych koloru zielonego z Europy, jest bardzo wydatne; i dla tego ubiegają się o nie z największą chęciwością; ale najdroższym klejno-

tem, który tylko mężczyźni noszą, i z posiadaniem którego łączą się religijne wyobrażenia, jest fetysz z zielonego kamienia, wyobrażający okropną twarz i na piersiach u kawałka kości ludzkiej zawieszony. Z zabobonu podobnież zawieszają oni przy jedném uchu zaostrzony ząb ryby zwanej żarłokiem morskim, który służy kobietom do kaléczenia sobie twarzy i piersi, dla okazania mocnej boleści po zgonie którego z naczelników lub krewnych. Wyspiarze przywiązują wielką cenę do zachowania tych przedmiotów, kiedy dostawszy się im po przodkach, stały się *tabuami* albo świętami. Mniemają oni iż od ich posiadania zależy szczęście życia całego, a zamieniają je przeciwnie z obojętnością i za fraszki, kiedy ozdoby te pochodzą od nieprzyjaciela, którego zabili i złupili.

Mieliśmy sposobność nadmienienia, iż Zelandjanie, z niektórych okolic środkowych wyspy, smarowali sobie twarz i oczy grubą farbą czerwoną z proszku ochrowego, pomieszanego z tranem wieloryba; zwyczaj ten jednak nie jest powszechny; chłopcy przylepiają sobie często szerokie czarne płatki na nosie, na brodzie i policzkach, dziewczęta zaś takież płatki jasnoniebieskiego koloru: ostatnia ta ozdoba nazywa się *para-eka-uai-ava*. Ta potrzeba robienia zmian w korzyściach od przyrodzenia udzielonych, właściwa wszystkim ludziom, daje się żywo czuć, i u Zelandjan. Nakłuwanie ciała zwane

moko, zatrudnia ich przez całe życie; corocznie poddają się tej bolesnej operacji. Nakłuwanie to tém jest godniejsze uwagi, iż pospolicie twarz okrywa; ponieważ zaś często jest odnawiane, zostawia po sobie głębokie znaki mające kształt regularnych kółek, które nadają fizjonomji wyraz niezmiernie dziki. Mieszkańcy wysp *Marki-zów* i *Nowo-Zelandjanie* są więc ludami jedy-nymi, które głęboko sobie twarz nakłuwają, kiedy tymczasem *Otaitjanie* zaniechali zwyczaju tego, i nakłuwają jedynie ciało, *Zelandjanie* zaś twarz i tył ciała, robiąc koła jedne na drugie zachodzące. Kobiety wykłuwają na biodrach figury czworokątów ukośnych połączonych, co stanowi rodzaj pasa; ale prócz tego na grubych i odrażających twarzach swoich wykłuwają ry-sunki, które wcale nie przyczyniają się do ich ozdoby: usta mają ponarzynane rowkami czar-nego koloru, paznokcie zaś i brodę nacechowane figurą podobną do żelazca od dzidy. Sami tylko niewolnicy za młodu pojmani albo ludzie z ostatniej klasy nie są nakłuwani; wszyscy in-ni krajowcy, nie mogliby się bez poniżenia wyrzekać tego zwyczaju, a im wojownik który jest sławniejszy, im liczniejsze odbył operacje nakłuwania, tém dumniejszy jest z tego rodza-ju herbów, których bez mocnego bólu uzyskać nie może.

Budownictwo domowe (przez które rozumie-my sztukę stawiania chat) dosyć dowcipnie za-

stosowane zostało przez Zelandjan do klimatu ich kraju, i do wojowniczych zwyczajów które między nimi panują. Mieszkania ich zamiast być przestronne i dla powietrza przystępne, które to urządzenie ich byłoby niekorzystne w kraju doznającym częstych nawałnic północnego półsferza, są małe i niskie, a ich wioski albo *hippaly* nigdy nie znajdują się na płaszczyznach, ponieważ mogłyby być łatwo przez podejście napadnięte, ale przeciwnie, zawsze na urwistych wzgórzach i na miejscach niedostępnych. Chaty ich są budami do których inaczej dostać się nie można, jak czołgając się na rękach i nogach, a rodziny mieszkające w nich spią bez porządku na słomie w przestrzeni niezmiernie ścieśnionej, gdzie oddech tak wielu osób utrzymuje łatwo ciepło, potrzebne aby zewnętrzne zimne powietrze się nie precisnęło. Chaty te nie mają żadnych sprzętów, oprócz kilku niekiedy skrzynek ładnie wyrzynanych, kilku naczyń z drzewa czerwonego, na których znajdują się wyrzynane rysunki, podobne do tych o jakich Cook w podróży swoich mówi. Najbardziej wydoskonalonym i najznakomitszym przemysłem ludu o którym mówimy jest tkanie różnych materji. W różności płodów roślinnych u rozmaitych ludów Oceanji, daje się postrzegać mądra natury przezorność, ponieważ na wyspach między-zwrotnikowych, których klima jest zawsze gorące, wydaje ona drzewa z korą dają-

cą się zamieniać na lekkie i miękkie materje, jak na Otaiti, Tonga, na wyspach Markizach, Sandwichskich; przeciwnie zaś na wyspach Nowej Zelandji, gdzie ostrość zimy jest bardzo mocna, wydaje roślinę *phormium*, z włókien której, przechodzących cienkością len najdelikatniejszy, kobiety a mianowicie młode dziewczęta, porwane z łona swych rodzin skutkiem gwałtów wojennych, tkają starannie swoje *mati* albo kształtne plecionki zwane *kahu*; kiedy te służą za odzienie, w ten czas od rozmaitych części ciała które osłaniają dostają osobne nazwania jako to: *kura*, *kupenga*, i t. p. — Plecionki te mają połysk ałtasu, co pochodzi z starannego oczyszczenia ich z materji gumistej którą są napojone; ozdobione są nadto rysunkami, a fałdując się tworzą ubiór mający nieco podobieństwa z dawnym obywatelskim strojem Rzymian.

Pomiędzy przedmiotami użytku jakie wyrabiają na codzienne potrzeby, wspomnieć należy grube tkaniny, któremi w czasach słotnych okrywają barki, oraz trzciniowe worki w których rozmaitą żywność przechowują. Sposób przyrzadzania do roboty włókien *phormium* jest także godny uwagi przez swoją prostotę, kiedy tymczasem w doświadczeniach które robili niektórzy uczeni, w chwalebny cel zaprowadzenia tej pożytecznej rodziny do Europy, nie otrzymano tych włókien z temiż samemi własnościami, jakie odznaczają włókna przez Zelandjan przy-

sposobiane. Ci ostatni, uciawszy długie liście rośliny *lnianej* (jak nazywa Cook też samą roślinę *Phormium* w opisach podróży swoich), moczą je przez dni kilka w wodzie, a wyjąwszy tłuką wałkiem drewnianym bardzo twardym na owalnym pieńku z takiegoż drzewa. Działanie to przygotowawcze zowie się *haronga*, i przez nie świeża żywiczna skórka zdziera się z włókien, niedoskonale wprawdzie, ale przez staranne i mocne czesanie za pomocą muszli zaostrzonej w końcu, włókna pozbywają się zupełnie cząstek twardych któreby ich giętkości przeszkadzały. Tak wyczyszczone z powłoki swojej, włókna mają kolor złotawy najprzedniejszego lnu, a obok tego miękkość i moc jedwabio- wi prawie równą.

Dwie wyspy zamieszkane przez Nowo Zelandjan, chociaż nie położone pod wysokimi bardzo szerokościami, ulegają wszelako wpływowi ostrej temperatury, z powodu wściekłych wiatrów, przez znaczną część roku panujących, oraz śniegów miejsca wzniesione okrywających; krajowcy uczuli wcześniej potrzebę zbierania zapasów na zimę, a później w czasach pogodnych poławiają wielką ilość ryb w zatokach; suszą przeto i wędzą część znacznieszą, dla wyżywienia się w porze, kiedy niepodobna jest wypłynąć pirogą na morze, i dla zabezpieczenia się od głodu, kiedy *hippahy* ich obłożone są przez pokolenia nieprzyjacielskie.

Ziemia nie wydaje tu dobrowolnie, jak na wyspach równikowych, wielkiej obfitości pożywnych istot, a głównym pokarmem Zelandjan jest drzewiasty korzeń paproci, która wszystkie płaszczyzny okrywa. Niektóre warzywne rośliny udzielone krajowcom przez Europejczyków, są im dziś użyteczne, i rosną bez żadnych prawie starań, tak stosowna jest dla nich pulchna i lekka ziemia; takimi są kartofle i rzodkiew. Inne uboczne pokarmy składają się z skorupiaków, raków morskich, niekiedy z mięsa świniego, a najczęściej psiego. Ciała nieprzyjaciół na placu bitwy poległych, które oni z taką rokoszą pożerają, nie są uważane jako przedmiot pożywienia, ale jako pokarm mający związek z tajemnicami religijnemi.

Sposób przyrządzania pokarmów jest u nich równie prosty jak naturą tychże pokarmów; nie różnią się w tém od Oceanjanów, i pieką zwykle pożywienie na węglach albo na rozpalonych kamieniach, w *umusach* czyli piecach pod ziemią wydrążonych. Rodzaj chleba z korzeni paproci *eeori* zwanej (*) wypiekany, zowie się u nich *tare*. Korzeń ten zbierają niewolnicy i suszą na słońcu, rozkładając na drewnianych kratkach; dla wypieczenia z nich chleba, tłuką je w drewnianym moździerzu, i ucierają na ciasto czerwono-żółte, klejowate i napełnione czą-

(*) *Acrosticum furcatum* podług Forstera.

stkami drzewiastemi albo korowemi; ciasto takowe ugniecone w walce podobne do tych w jakich lukrecja czarna sprzedawana bywa, bardzo ma mało części pożywnych; pod tym względem podobna być musi do chleba jaki Islandjanie robią z kory sosnowej. Widzieliśmy Zelandjan jedzących ze smakiem na pół zgniłe ryby, wydające z siebie smród zaraźliwy; godniejszym jeszcze uwagi jest zwyczaj ściskania mocno i przewiązywania nitkami w liściach wielkiej ilości małych rybek, tymże sposobem jak Otaitjanie przyrządzają swoje powidła bananowe.

Czysta woda jest jedynym napojem Zelandjan; nienawidzą oni mocnych napojów, a jeśli niektórzy z nich, a nawet młode dziewczęta, piją wódkę, zgubny ten zwyczaj przejęli w czasie pobytu na pokładach okrętów europejskich. Jedzą zwykle trzy razy r.a dzień; obiad nazywają *kaingadua*, a wieczerzę *kai-ahi-ahi*; potrawy stawiają na ziemi, i każdy bierze palcami. Często użycy używają narzędzi robionych z kości nieprzyjaciół w bitwie poległych, i tak kupiliśmy od jednego czterozębny widelec, zrobiony z kości zwanej *os radius* od prawej ręki, misternie wyrzynany i wykładany wypukło perłową macią.

Sieci przez ludy używane są zupełnie podobne do naszych, i bywają trojacie; *senny*, robione z liści *phormium*, są niezmiernie obszerne i

najczęściej stanowią własność wszystkich mieszkańców wioski. Wędkę ich, z kawałka twardego drzewa, opatrzonego ostremi i haczykami kośćmi, bywają także wyrabiane i z perłowej macicy. Szpagat na którym wędkę wisi jest dobrze skręcony i bardzo mocny.

Pirogi ich, zwane *waka*, godne są uwagi dla rzeźby jaką bywają ozdobione. Mieszkańcy północy, którzy w ciągu częstych z Europejczykami stosunków otrzymali od nich mnóstwo narzędzi żelaznych, zaniedbują dziś budowanie łodzi. Najczęściej lekkie te łodzie wydrążane bywają w jednym pniu drzewa, i mają zwykle 40 stóp długości. Mierzyliśmy z nich jedną niedaleko *Kauera*: zrobiona była z jednej sztuki, i miała 60 stóp długości, 3 głębokości, a 4 szerokości. Malują je czerwono i ozdabiają piórami ptasimi, pozawieszanemi u brzegów w regularne festony. Tył łodzi wznosi się do czterech stóp i ozdobiony jest allegorycznymi rzeźbami, nad którymi znajduje się wyobrażenie człowieka trzymającego w prawej ręce *lingam*; przód zajmuje okropna głowa z oczyma z perłowej macicy, z z której wychodzący język nadzwyczajnej długości, ma oznaczać zaczepną odwagę tych ludów i pogardę nieprzyjaciół. Pirogi te na długość pomieścić mogą czterdziestu wiosłarzy; zawsze prawie są pojedyncze, nie połączone z sobą, a wiosła których używają do ich posuwania, zwane *oe*, zakończone są bardzo ostremi

kolcami, izby w razie nagłego i niespodziewanego napadu, można ich było używać korzystnie do odparcia nieprzyjaciela. Pęd łodzi tych jest bardzo szybki, kiedy je wiatr lub spieszne robienie wiosłami popycha. Zagłę używane przez Zelandjan składają się z plecionki sitowianej bardzo grubo tkanej w formie trójgraniastej; zagłę te nazywają się *oe-hie*, i nie mogą służyć do dalekiej żeglugi.

Jakkolwiek Zelandjanie niezmiernie są skłonni do prowadzenia wojny, która jest zatrudnieniem ich całego życia, nie daje się u nich postrzeżyć wielka różnaitość środków zniszczenia. Waleczność ich zależy na uderzaniu na nieprzyjaciela z bliska, i na sile ciała; zaniedbali oni tych lekkich broni, tych strzał z nacinanemi końcami rzucanych z pozakrzaków, które dowodzą zawsze zdrady z słabością połączonej. Za pomocą swoich *patu-patu*, z kamienia zielonego, rozbijają czaszki nieprzyjaciół, albo przebijają ich długimi dziurami. Broń *patu-patu*, przy-mocowana do reki przy rękojeści za pomocą rzemienia, jest ulubioną i najzwyczajniejszą u wojowników Zelandyjskich. *Ariki*, czyli kapłani, jako oznakę duchownego charakteru swego, noszą wielką pałkę z kości wielorybiej okrytą płaskorzeźbą. Ich *toki* są to siekiery z zielonego kamienia, których rękojeści obrobione są najstaranniej i ozdobione pęczkami białych psich włosów. Maczugi ich są z drzewa czerwonego,

gładkiego i bardzo twardego. Krajobyccy mający sobie powierzona obronę *hippahów* opalisadowanych, (wiadomo że te wioski znajdują się zawsze na szczytach urwistych i niedostępnych wzgórzów), spuszcza ją na oblegających grad wielkich kamieni; ale najczęściej odpierają ich napady za pomocą długich i bardzo ostrych włóczni, które mają zwykle od piętnastu do dwudziestu stóp a niekiedy więcej długości.

Przystań wyspami napęczniona, leżąca w części północnej Nowej Zelandji, jest dogodna do zawijania dla okrętów żeglujących po Wielkim Oceanie; i dla tego bardzo jest uczęszczana przez okręty angielskie i amerykańskie trudniące się połowem wielorybów. Liczne pokolenia mieszkające nad jej brzegami, połączone z sobą związkami rodzinnymi, uczuły tę niezmierną korzyść jakoby mieć mogły z posiadania strzelb i prochu; za te więc tylko przedmioty sprzedają świeże żywności europejskim okrętom które do nich zawijają, a liczba muszkietów jakie już posiadają dozwala im prowadzenia korzystnie wojny z sąsiedzkimi pokoleniami, i napadania na *hippah* w znacznej nawet odległości do koła leżące. Ze wszystkich wynalazków europejskich broń ognista zdała im się być najszczytniejszym i najbardziej zdumiewającym; ten tylko jeden wynalazek ma u nich zaletę.

Nie rozumieliśmy nigdy tego wyrazu *dziki*, w takim znaczeniu jak jest w Europie używany;

dla nazwania ludów nieposuwających się w cywilizacji. Wszyscy ci dzicy mają religję, jakkolwiek ta jest dziwaczną i niezgrabną; uznają władzę wyższą; mają wyobrażenia towarzyskie od dawnego bardzo czasu przyjęte; uprawiają sztuki nadobne; wymieniają wszelkie płody swej ziemi i znają ich własności. Porównajmyż więc tych mniemanych dzikich z naszymi wieśniakami? — Nowo-Zelandjanie posiadają sztuki nadobne; nie te co zależą na wznoszeniu piramid, budowaniu pałaców i nadawaniu na płótnie życia najpiękniejszym historii wydarzeniom; ale te jakie są w stanie uprawiać przez podanie, przy szczupłej liczbie środków pomocniczych jakie im są znajome. Owoce te spokojnych chwil życia, to umysłu ukształcenie, to moralne cywilizacji udoskonalenie, nie zdawały się być zgodnemi z wojowniczymi obyczajami i skłonnością do niszczenia ludom tym właściwą, a wszelako postąpili oni wyżej nierównie w śpiewie, rzeźbie i poczji, aniżeli w sztukach bezpośrednio pierwszym potrzebom życia pożytecznych.

Śpiew Zelandjan jest poważny, jednobrzmienny i składa się z tonów gardłowych, powolnych i przerywanych; towarzyszą mu zawsze poruszenia oczu i gięsta taktowe bardzo wiele wyrazu mające. Ale jeśli śpiew ich nie zdołał nam się podobać, i nasz podobnie nie przypadł im do smaku: z największą obojętnością słuchali oni naj-

sławniejszych romansów naszych (*), a ich twardej fibrów nie mogły wzruszyć owe śpiewy marsowe, które unoszą i elektryzują Europejczyka. Wszelako, gdyby tym zimnym i obojętnym ludziom zanucano ich śpiew wojenny, wściekłość i dzikie uniesienie opanowałyby ich natychmiast; tak nie zbitą jest ta prawda, iż wspomnienia i wyobrażenia miejscowe łączą się z wrażeniem jakie muzyka na człowieku sprawia. Większa część ich śpiewów brzmi o przedmiotach bardzo rozwiązłych, ale mówiąc nawiasem, czyliż gust ten dosyć wydatny i powszechny pomiędzy ludźmi, nie został jedynie ubarwiony między ludami ucywilizowanemi blichtrzem alluzji i dwuznaczników? Zelandjanie, podobnie jak inne ludy Oceanji, nie przywiązują żadnego wyobrażenia nieuczciwego nazywając rzeczy właściwem imieniem, co jednak nie obudza tak jak u nas, tych poruszeń gwałtownych i nieskromnych, które potłumia wędzidło przyzwoitości, wcale ich jednakże nie niszcząc.

Taniec ich zwany *heida* jest pantomimą, w której aktorowie rzadko zmieniają miejsce, a która składa się z giestów albo poruszeń członków z największą wykonywanych precyzją; najpospoliciej jednak młodzi wojownicy stawają obok siebie długi tworząc szereg; jeden z nich śpiewa wyrazy, którym cały chór tancerzy od-

(*) Znany rodzaj śpiewu.

powiada krzykami rozmaitych akcentów; wszyscy wykonywają poruszenia szybkie głową, oczami, ramionami, nogami, a mianowicie palcami; poruszenia te są ściśle zgodne z taktem i miarą urozmaicone. Każdy taniec ma znaczenie allegoryczne i używa się tylko w okolicznościach stosownych, jako to: przy wypowiedzeniu wojny, przy ofierze ludzkiej, pogrzebie itp. Kobiety, powołane z natury płci swojej do łagodniejszych nawyknień, przeniósłły do swych rozrywek czynności jakie im są przeznaczone na tym świecie. Taniec ich składa się z poruszeń nieskromnych, których opis nie zdaje nam się być potrzebnym.

Jedynym instrumentem muzycznym jakiśmy w reku Zelandjan widzieli, jest flet zwykle drewniany, gustownie wyrobiony; używają niekiedy do tego kości goleniowej, na pamiątkę zwycięstwa nad którym z sąsiedzkich pokoleń odniesionego. Uważaliśmy także iż dzieci bawiły się bąkami podobnemi do naszych, używając do ich puszczenia biczyka, a to drobne postrzeżenie, obok większej liczby szczegółów, nie jest zapewne zupełnie obojętne.

Łagodny, przyjemnie brzmiący i muzykalny język Oceanjanów, doznał niejakich zmian w Nowej-Zelandji. Brzmienia, pełne miękkości i słodyczy u Otaitjanów, nabyły tutaj twardszego wyrazu; co przypisać należy wprowadzeniu spółgłosek, a nadewszystko głoski K, H, N, G i

W. Mieszkańcy posiadają przez podanie ustne znaczną bardzo liczbę poczji starożytnych, których ani początku ani nawet allegorycznego nie znają znaczenia. Najślawniejszą u nich poczją jest oda pogrzebowa albo *Pihe*, która zaczyna się od tych wyrazów: »*Papa ra te uati tidi* etc.« Podobnie jak Taitjanie mogą oni improwizować w rozmaitych przedmiotach, a ich kroniki są śpiewkami, w których przechowują pamięć wypadków znakomitszych, ukazanie się na ich brzegach żeglarzy, oraz rozmaite okoliczności historii, lub dzieła bohaterów. Kobiety ich z natury skłonne do wesołości, wysmiewają z szyderstwem w swych śpiewkach niepoprawne lub smieszne wymawianie cudzoziemców, i układają nawet epigrammata na zwyczaje które potracają ich przesady. Tym sposobem młode dziewczęta które żyły z majtkami korwety la *Coquille*, szydziły z nich w śpiewkach zaczynających się od tych wyrazów: »*Tayo ti taro*, i t. d.«

Dla dopełnienia przytoczonych wiadomości o poczji i umysłowém ukształceniu Zelandjan, przytoczymy tu w oryginale małą śpiewkę przełożoną na angielski język przez P. *Kendall*, misjonarza, który długo przebywał w Nowej Zelandji, i zdolniejszy jest jak którykolwiek z kolegów jego do udzielenia nam pewnych i zajmujących szczegółów o mniemaniach tych ludów.

W A I A T A (*).

E taka te e au ki te tiu marangai,
I Uiona mai ai e Koinga du anga,
Tai raua nei kei te puke ki ere atu.
E tata te uiunga te tai ki a taiua
Ki a koe, Etaua, ka niua ki te tonga
Nau i o mai e kahu e turiki.
E tahoue eo mo toku nei rongi
Ka tai ki reira aku rangi usaki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) PRZYWIĄZANIE.

„Wdrapałem się na strome szczyty gór, aby być świad-
„kiem odjazdu twego, o taua! a wichry natarczywe któ-
„re dmą od północy, płodne w nawałnice, głębokie czynią
„wrażenie na mojej duszy o twój los niespokojnej. Ry-
„czący bałwan zatacza się codziennie na ten brzeg, i zda-
„je się przybywać z odległej krainy Stivers, kiedy ty
„tymczasem płyniesz za wolą wiatrów, i wygnany z wła-
„snej ojczyzny, spieszysz ku ziemiom w których wschodzi
„słońce. Na barkach moich unosi się jako miła pamiątka,
„szata którą ty nosiłeś i którą zostawiłeś mi na zakład
„twojej miłości; w jakiegokolwiek miejsce na ziemi obrócisz
„kroki twoje, przywiązanie moje wszędzie i zawsze towa-
„rzyszyc ci będzie.“

V.

PODRÓŻ z TYFLIS do MEDJOLANU,
przez Konstantynopol, Bułgarię, Serwję,
Sławonję, Koryntję, w r. 1828 usku-
teczniona.

(Wyciąg z listu P. Scarzo do Doktora Ozanana
z Ljonu.— Przekład z Włoskiego.)

Po dwudziesto-ośmio miesięcznej podróży, powróciłem nakoniec do kraju, nie bez doznania niebezpieczeństw, utrudzenia i wszelkiego rodzaju niedostatku. Powracając z Persji do Tyflis, przejeżdżałem pośród wojsk perskich i rosyjskich, które krwawe staczały z sobą walki. Dostyć długo zabawiłem w Tyflis. Mieszkałem u Ormjanina, a jadałem u Francuza restauratora nazwiskiem *Hangevin*, żołnierza z starej gwardji cesarskiej, który dostał się w niewolę podczas kampanji rossyjskiej 1812 roku, w bitwie pod Małojarostawcem.

Tyflis, stolica Gruzji perskiej, leży pod niebem umiarkowanym i bardzo przyjemnem. Żywności są tam obfite i wybornego gatunku; wina wyrównywają w dobroci waszym nadrodzańskim. Miasto nie jest bardzo znaczne; liczy około 25,000 mieszkańców rozmaitego wyznania, ale szczególniejsz Greków, przybyłych z krajów

małometańskich. Wszelkie wyznania są tam wolne. Jest tu stolica archimandryty greckiego, który mieszka w dawnym pałacu królów Gruzyjskich, a duchowne urządowanie swoje odbywa w pięknym kościele zwanym *Kościółem Syońskim*. Napotykać można na ulicach Żydów, Greków, Gruzjan Kaukaskich, Persów, Rossjan, Ormjan, Tatarów, Małometan, Anglików, przybywających z Indji lądem od odnogi perskiej, Włochów i niekiedy Francuzów. Miasto jest bogate i prowadzi znaczny handel jedwabiem. Jest ono składem towarów prowadzonych z Europy do Persji i nawzajem. Nie uwierzyłybyś ile Francja wysyła przedmiotów rękodzielni swoich do tego kraju: oprócz bogatych jedwabnych materji na meble, i złotem przerabianych na szaty, przywożą tu z Francji mnóstwo zwierciadeł, galonów złotych i srebrnych, szkła szybowego, kryształów, porcellany, żelaztwa, blachy, rzeczy ślusarskich, zegarów, zegarków, broni, i t. p. Nie wystawisz sobie ile ostatnia wojna z Persami, równie jak obecna tocząca się z Turkami zaszkodziła waszemu handlowi wywozowemu, który był prowadzony przez Marsylję, Konstantynopol i morze Czarne. Towary wyładowywane były w Kaffie, a niekiedy w Azowie, zkąd przewożono je do Tyflis, a ztamtąd rozchodziły się po Gruzji, Mingrelji i Persji.

Okolice miasta Tyflis są powabne i we wszyst-

ko obfitujące; liczne znajdują się tam źródła mineralne.

P. Gamba Konsul francuzki w Tyflis, jest jak sądzę Toskańczyk; jest to człowiek bardzo uczony, pełen przyjemności i nader usłużny. — Kapucyni włoscy mają dom missyjny w Tyflis; świadczą oni bardzo wielkie przystęgi kupcom europejskim, w stosunkach handlowych.

Wyjechałem, jakem ci napisał, z Liwurny w miesiącu maju 1826, i przybyłem na początku czerwca do Konstantynopola, którego położenie i klimat uniosły mnie zachwyceniem. Było to na 15 dni przed strasliwą rzezią janczarów, której byłem świadkiem, a która zachwycenie moje zamieniła w uczucie zgrozy; musiałeś zapewne dowiedzieć się o jej okropnych szczegółach, których wspomnienie dotąd krew we mnie ścina; przestanę tylko na przytoczeniu ci jednego szczegółu o sułtanie Mahmudzie, dziś panującym, który nie ma jeszcze lat trzydziestu (*). Pragnąc koniecznie widzieć go z bliska, udałem się z pewnym lekarzem, ziomkiem moim, który zna doskonale turecki i arabski język, do bramy meczetu Stój Zofji, w chwili, kiedy sułtan miał tam być na modlitwie: było to w piątek z rana. Ujrzałem go w krótkce przybywają-

(*) Autor myli się co do wieku sułtana panującego; urodził on się 20 Lipca 1785 r. a wstąpił na tron dnia 28 Lipca 1808 r. Ma dziś około 44 lat. Przyp. Red.

cego konno, w towarzystwie dziesięciu urzędników serajowych, oraz orszaku spahów i gwardji pieszej. Pułk janczarów uszykowany był na placu. Sułtan zsiadł z konia i wszedł do meczetu, gdzie zostawał około 20 minut. Jest on średniego wzrostu, twarz ma białą i bladą, oczy wielkie, brodę czarną i postawę majestatyczną.

W chwili wyjścia sułtana z meczetu, urzędnik który mu podawał strzemię kiedy ten siadał na konia, rzucił się przed nim na ziemię i rzekł: *»Panie, Janczarowie szemrzą i są nieukontentowani!«* — *»I ja nim jestem«*, odpowiedział Mahmud z żywością i dzikim tonem, a wskoczywszy na konia przydał donośnie: *»i nie będę zaspokojony, dopóki ich krew aż do tych strzemion nie dojdzie.«* Ruszył natychmiast i objechał wolno szeregi janczarów, rzuciwszy na nich straszliwe wejrzenie. Wytłumaczenie wyrazów jego udzielone mi przez ziomka mego, przejęło mnie drżeniem, a w czterdzieści dni później, to jest 16 czerwca, ujrzelśmy spełniające się groźby sułtana, rzezią 20,000 ludzi, która trwała przez dni piętnaście.

Dopiero w Wrześniu opuściłem Konstantynopol i udałem się do Odessy. Po miesięcznym pobycie w tem mieście nowo powstałem, które już dziś przez swój handel jest jednym z najwięcej kwitnących w Rossji, wypłynąłem do Kaffy, a ztamtąd udałem się do Tyflis. Pozostałem tam tyle czasu ile mi potrzeba było na po-

wzięcie wiadomości o podróży którą miałem odbyć do Szyrwanu i Szamarkji, z kąd miałem następnie ruszyć do Ardellu, gdzie się znajduje główny skład najpiękniejszych jedwabów perskich, których miałem znaczną ilość zakupić dla naszego domu handlowego w Londynie.

Dopiero w końcu lipca 1828 mogłem powrócić do Konstantynopola, i miałem nie mało trudności w wysłaniu towarów swoich, i obmyśleniu środków powrotu do Włoch. Wojna z Rosją zamknęła wszystkie porty, związki morzem z Grecją były przerwane, a w Konstantynopolu nie było żadnego kupieckiego okrętu europejskiego. Najbliższa dla mnie droga była udać się do Grecji, ztamtąd zaś do wysp Jońskich, i przepłynąć morze Adrjatyckie; ale przekonano mnie, iż projekt ten równie był trudny do wykonania jak niebezpieczny w okolicznościach obecnych. Postanowiłem więc udać się przez Romanję, do Adrjanopola, dostać się do Bułgarji, następnie do Serwji, Sławonji, jadąc prawym brzegiem Dunaju, i uniknąć obu wojsk teatr wojny zappełniających. Przebyłem następnie Karyntje, wsiałem na okręt w Tryjescie udając się do Wenecji, z kąd nakoniec przybyłem do Medjolanu, gdzie myślę zabawić kilkanaście miesięcy.

Opuściwszy Adrjanopól, wielkie i piękne miasto leżące pośród niezmiernej i nadzwyczajnie zyznej równiny, przytykającej do morza Czarnego, zapuściłem się w najzachodniejszy przesmyk

przerzynający góry Bałkańskie, które są dla Turcji tarczą od północy. Pięć najprzykrzejszych dni kosztowała mnie ta przeprawa. Nie byłbym mógł jechać dwiema innymi drogami które do Bułgarii prowadzą, niedaleko ujść Dunaju, zawałone bowiem były wojskiem, artylleryją, transportami żywności i potrzeb wojennych.— Przybyłem do Nikopolis nad Dunajem; jest to miasto źle zbudowane; ale bardzo bogate i dosyć znaczne; ma mieć jak mi mówiono 20 do 25,000 mieszkańców. Wiadomo ci że to na tej niezmiernej równinie od południa leżącej, pomiędzy Nikopolis i ostatnimi gór pokładami, cesarz Bajazet odniósł w 1396 r. nad Zygmuntem królem Węgierskim zwycięstwo, stoczywszy najkrwawszą z bitew o jakich dzieje wspominają; zginęła tam znaczna liczba rycerzy francuzkich, którzy przybyli dla przyłączenia się do tej krucjaty nieszczęśliwego króla Węgierskiego. W owej to epoce uczeni greccy, którzy zamieszkiwali w Konstantynopolu, przewidując zagładę swej ojczyzny, schronili się do Italji, gdzie z sobą zamiętowanie nauk i sztuk pięknych ponieśli.

Z Nikopolis udałem się do Widdinu, dokąd nie mogłem się dostać. Jest to twierdza nad Dunajem, któraby stanowić mogła znakomity punkt obrony, gdyby szanse jej były lepicj rozłożone i w lepszym znajdowały się stanic. Opuściłem Bułgarję okrytą oddziałami wojsk tureckich, które zmierzały ku brzegom Dunaju,

dla udania się do Sylistrii, Szumli i Warny. Wjechałem do Serwji i przybyłem do Belgradu, którego szanice w części większej zniszczone, zaświadczejają dawną ważność tej twierdzy leżącej nad Dunajem, przy ujściu *Sawy*.

Belgrad jest miasto znaczne, liczące przeszło 60,000 ludności; prowadzi rozległy handel. Port jego okryty jest statkami idącymi już z morza Czarnego już z Węgier, Sławonji przez Sawę Drawę i Dunaj; mieszkańcy są w większej części wyznania katolicko-greckiego, mniej zaś jest chrześcijan łacińskich. Przedmiotem handlu Belgradu jest zboże, wino, ziarna rozmaite, konie, bydło, wełna i drzewo budowlane. Znajduje się tam znaczna liczba fabryk materji pospolitych wełnianych, oraz płócien bawełnianych białych i niebieskich.

Serwja liczy około miliona mieszkańców; Serwjanie są silnej budowy ciała, wzrostu średniego, bardzo zręczni w załatwianiu czynności handlowych i bitni; dowiedli męstwa swego w ciągu dwudziestoletniej przeszło walki z Turkami o niepodległość. Kraj cały jest bardzo zyzny, ale uprawa gruntów na niskim stopniu się znajduje; grunta te przez innych rolników uprawiane wydawałyby dwa razy tyle co dzisiaj.

Widok Serwji przedstawia jeszcze pomniki feudalizmu średnich wieków; pełno w niej dotąd znajduje się powznoszonych na wyniosłościach obronnych zamków, których wieże

w połowie rozburzone wystawiają bardzo malowniczy widok dla podróżnego co tę krainę przebiega; pastwiska są obfite, mianowicie nad brzegami rzek; liczne stada owce, wołów i koni, stanowiące główne Serwjan bogactwo, tu i owdzie postrzegać się dają.

Przypominasz sobie bez wątpienia historję Jerzego Czernego, który był przez czas niejaki niepodległym naczelnikom Serwjan; dla tego nie sądzę być potrzebnem wspomnieć tu o nim.

Brzeg lewy Dunaju był strzeżony przez wojska austrjackie, które w liczbie 40,000 rozciągnęło nad tą rzeką kordon obserwacyjny.

Przebyłem Sawę w Belgradzie, i znalazłem się w Sławonji; kraj ten jest rozległą doliną, poprzerzynaną dolinami mniejszemi, i skropioną przez rzekę Sawę. Rzeka ta odgranicza ją z jednej strony, Dunaj zaś z drugiej. Od południa ciągnie się pasmo gór Karjewickich, mających bardzo wyniosłe szczyty, a szczególnie góra *Papuk*, której Taube naznacza 2,760 stóp wysokości nad poziom morza.

Ziemia Sławonji jest bardzo zyzna, roślinnie najświetniejsze; góry uwieńczone są niezmiernemi lasami, w których rosną dęby, modrzewy, kasztany, buki wysokości i grubości zadziwiającej. Pastwiska są obfite i bardzo pożywne dla bydła. Chodują tam gatunek wołów białych, rosnących, których rogi mają przeszło trzy stopy długości, a które widziałeś w Wę-

grzech i w kraju papieżkim; stada owice są tam nieprzeliczone. Zaprowadzono od lat czterdziestu owce z cienką wełną i te wybornie się udają.

Sławonja obfituje w pszenicę i mais; uprawiają tam także roślinę zbożową podobną do prosa; jest to *festuca fluitans* podług Linneusza.

Wzgórza nadbrzeżne nad Sawą, Drawą i Dunajem okryte są winnicami, które wydają wina dosyć podobne do sławnego Tokajskiego, i które za to wino sprzedają; są one mocne, stare zaś mają ten smak gorzkawy win węgierskich, i ognistość waszych win Langwedockich.

Pola na płaszczynach Sławonji zasadzone są znaczną bardzo liczbą drzew owocowych wszelkiego rodzaju, a mianowicie brzoskwiń, śliw, drzew migdałowych, figowych i kasztanów, tak iż podróżnemu zdaje się że jest w ogrodzie europejskim. Ze śliwek robią dosyć przyjemny i mocny napój zwany *Rachy* albo *Slivowicą*. — W okolicy *Possega* znajdują się niezmiernie płan-tacje tytoniu, który w dobroci równa się rumi-lijskiemu. Uprawiają w Sławonji od lat blisko czterdziestu białą morwę, z której zbierają wyborny jedwab, nie ustępujący w niczem pic-montskiemu, gdyby był lepiej przedziony. Mar-zanna farbierska rośnie tam samowolnie; a gdy-by Sławianie chcieli ją uprawiać, znaczne mogliby mieć korzyści, szczególnie wysyłając ją do Adrjanopola i Belgradu. Zbierają oni wiele lu-

krceji. Żywność prawie nie kosztuje w tym kraju; świnie, drób, ryby, napoje, a nawet trufle czarne w obfitości się znajdują.

Sławonja liczy około 500,000 mieszkańców: jest to lud dobry, łagodny i spokojny, zahartowany do trudów, i wyborny na żołnierzy w wojnie powstania. Język sławiański, który uważają za jeden z pierwotnych, używany jest w Węgrzech(?), Karyntji, Dalmacji i Albanji, oraz w znacznej części Rossji europejskiej; udzielił ci próbki poczci w téj mowie, z przekładem włoskim: jest to sielanka Gondoli, poety który znakomitą pozyskał sławę. Nie ma w Sławonji żadnego miasta godnego uwagi, oprócz *Possegi*, które nie ma 10,000 mieszkańców, i leży wśród okolicy uprawnej całkowicie tytuniem, którym mieszkańcy znaczny prowadzi handel.

Opuszczając Sławonję, i przebywszy wąwozy gór Karjewickich, wkroczyłem w granice Kroacji, krainy przerźniętej wysokimi górami, dolinami i płaszczynami, podobnej bardzo do Sławonji. Sawa, Drawa i Kulpa skrapiają jęj ziemię obfitą w zboże wszelkiego rodzaju; góry Kroackie wyższe są nierównie aniżeli Sławiańskie; góra *Pliwsiwica* ma około 1,000 sążni wysokości, a *Wellebit* tyleż prawie jest wzniesiona. Dają się w nich postrzegać najciekawsze fenomeny natury: wzniosłe cyple w obłokach ginące, głębokie doliny do których promień słońca nigdy nie dochodzi, jaskinie napełnione sta-

laktytami, i okropne przepaści w które wpadają i giną potoki, spuściwszy się pierwej po licznych progach, jak np. *slinkioza*, który 45 progów tworzy zanim w otchłań zapadnie. Góry te zawierają w sobie kruszcze miedziane, srebrne, a niektóre i merkurjusz, które rząd austriacki z korzyścią wydobywa. Kopalnia miedzi w *Sabowarze* wydaje 8,000 centnarów rocznie; wydobywają również od strony zachodniej marmur dość piękny, szczególnie w dolinach Korbawji, których mieszkańcy są na pół dzicy.

Kroacja posiada wyborne pastwiska, na których karani się mnóstwo wołów; równiny napełnione są drzewami owocowymi, a średnie góry regjony zarosłe są lasami tak jak świat starożytnymi; stoją one nie tknięte dla braku środków przewozu drzewa.

W innym liście doniosę ci o obyczajach i zwyczajach Kroatów, ludu osobliwszego i mało znanego.

Nakoniec, spuściłem się z gór tych drogą *Karoliny*, tak wyborną iż Rzymian godnąby być mogła. Strudzony przybyłem do Tryestu, zkąd, po ośmiodniowym wypoczynieniu, wsiadłem na statek parowy, który po raz pierwszy widziałem, a który w przeciągu dziesięciu godzin przewiózł mnie do Wenecji.

VI.

PODRÓŻ Z CRUCERO, STOLICY PROWINCJI
CARABAY W DEPARTAMENCIE PUNO W PE-
RU, NA DOLINY PIARA AŻ DO RZEKI PAL-
COBAMBA ALBO INAMBARI

w *Listopadzie* 1826 (*), *odbyta przez Niem-
ca tam osiadłego.*

(z *Dzien. Jour. für Land und Seer.*)

1.

Sandi — Niebezpieczeństwa w Kordyljerach — Mury wysta-
wione przez Indjan przeciwko napaści Hiszpanów — Tam-
bo Huarancani — Wieś Limbani — Gorące źródła.

Opuściłem *Crucero* w towarzystwie obezna-
nego z miejscowością metysa, dla zwiedzenia dolin
Carabaya, obejrzenia niektórych brzegów
rzecznych (*Playas*), i poznania własności ziemi.
Był to dzień 2 listopada 1826. Droga prowadziła
prosto przez puste *pampasy*; po ujechaniu 3 le-
guas przybyliśmy do *Leymi*, wioski między wyso-
kimi *lamas* łączącej. Znajdowałem się więc
u spodu głównego łańcucha najwyższych An-

(*) W opisie tym znajduje się wiele obcych lnb w szcze-
gólnem znaczeniu używanych wyrazów, których objaśnie-
nie nie będzie tu ile nam się zdaje zbyt cennym.

Arachas albo Jukas, jest to rodzaj korzenia sma-
cznego w jedzeniu.

dów, kiedy innie napotkała okropna zawierucha śnieżna, a do tego droga przechodziła przez wyniosły pagórek. Ku wieczorowi dostaliśmy się do innego *ranchos*, zwanego *Sandi*, gdzieśmy przenocowali, o 2 leguas od Leymi. — Sandy leży w romantycznej okolicy na wyniosłości Andów, na wazkim języku ziemi, spuszcającym się ku niezmiernej *lagunie*, która dokoła otoczona jest czarnymi, wysokimi skałami. Mil-

Aventaderas — Góry mające w sobie żyły złota.

Bayeta — Rodzaj grubego sukna z wełny owczej.

Brisma — Małe ziarnko złota.

Chalona — Solona baranina.

Chirimayas, *Gaytas*, *Bananas* — Owoce peruańskie lepszego gatunku.

Coca — Znana roślina którą Indjanie żują.

Cocal — Płatanacja rośliny *Coca*.

Collao — tak nazywają się prowincje *Asangaro* i *Lampa* w Departamencie *Puno*.

Ensayas — Poszukiwania w kopalniach i *playasach* (zob. *playas*.)

Escalera — Stopnie naturalne lub wykute na skałach do włączenia.

Gentiles — Dawni Peruanie pod Inkasami.

Gerga — Tkanina.

Homillo. — Siodło krajowe.

Jukas — (zob. *Arachas*.)

Laguna — Jezioro

Lama — płaska spadzistość pagórka.

Legua — Mila peruańska, równa $\frac{2}{3}$ mili niemieckiej.

Liglia — Rodzaj płaszczyka u kobiet.

Manco Capan i *Mama Cellau* — Brat i siostra, pierwsi z Dynastji Inkasów.

czenie śmierci panuje w tej okolicy, a Kordyljery ukazują swe wyniosłe szczyty odwiecznym ubielone śniegiem. Straszliwe burze zalegają wąwozy, przepaści skaliste i zwieszają się nad martwemi, czarnemi wodami jeziora, a okropne zimno wszędzie rozpościera swe panowanie; orły bujają w tej przerażającej pustyni, a ich gwar-

Mantera — Okrągły kapelusz z Bayety.

Mestiza — Metys, potomstwo z krwi europejskiej i amerykańskiej.

Mina, Minero — Kopalnia, Górnik.

Mita — Epoka zbierania rośliny Coca, trzy razy do roku.

Onza albo Gato mantes — Lampart.

Pampá — Nieuprawna równina.

Panchita — Skrócenie imienia Francisca.

Pazo — Szyb albo otwór do wydobywania złota.

Pepitas — Żyłki albo kawałki złota.

Playas — Brzeg rzeki w którym złoto znajdują.

Polecas — Sandały Indian.

Pollera — Spodnica.

Poncho — Rodzaj płaszcza de llama, z Lamy — do puli z owezej wełny.

Pueblo — Wieś.

Quichua — Język peruański.

Rancho — Chata Indianina.

Soga — Sznurek z wełny od lamy.

Tambo — Dom odosobniony i pusty w Peru, dla schronienia podróżnych.

Vara — Łokieć peruański; 88 varas — 100 łok. brańskich.

Venado — Drobną zwierzyzna.

liwe krzyki przerywa jednobrzmiący i piskliwy świst Wikunów (rodzaj ptaków). Nazajutrz z rana wyruszyliśmy bardzo wczesnie.

Droga ciągnie się ponad brzegiem drugiej, owalnej, większej jeszcze laguny, otoczonej górami śnieżnymi, które się od północy otwierają i wielkie pampasy *Acucunca* i *Crucero* ukazują oku. Śnieg na tych górach był często mocno niebieskiego koloru; jest to znak iż tam obficie znajdują się kruszce. W końcu tej laguny znajduje się na prawo małe *rancho*, które w razie potrzeby może służyć podróżnym za miejsce noclegu. Droga staje się odtąd coraz straszliwszą i coraz wyżej postępuje. Na lewo daje się widzieć zawarta w zakłębnięciu trzecia laguna, mająca wodę czerwonawą; tuż nad nią wznosi się wysoka góra, której śnieżysty szczyt ma postać młota. Coraz wyżej pnie się skalista droga; na lewo widać piątą i ostatnią lagunę, małą i podchodzącą pod nadbrzeżne skały. W lagunie tej spoczywają niezmierne skarby, które tam przed 30 laty górnik pewien z Aparama zatopił, będąc ścigany od powstańców Indyjskich. Jezioro to zdaje mi się być bardzo małe i z położenia swego do osuszenia łatwe, przez wyrżnięcie kanału, którymby woda z góry do czwartej laguny spływać mogła. — W tém miejscu znajdują się dwa mury, które poprzecznie przez drogę od jednej góry do drugiej przechodzą, i tym sposobem drogę przecinają. Oddalone są od sie-

bie około 100 kroków; a długość pierwszego 200 drugiego zaś 300 kroków wynosi. Kiedy Puma-cauva w r. 1814 podniósł oręż przeciwko Hiszpanom, przyłączyli się również do powstańców mieszkańcy z drugiej strony leżącej wioski, i wzniesli owe mury, aby nieprzyjaciół, w razie gdyby się tam dostali, zatrzymać; na górze zaś leżącej w lewo na wejściu do wąwozu nad czwartą laguną, przysposobili ogromne głazy, dla roztrącenia nimi ciągnących Hiszpanów. Środki te wszelako niepotrzebnymi się okazały; kiedy bowiem P a m a c a u v a w krwawej bitwie pod Umaviri pobity, wzięty w niewolę i powieszony został, Indianie nie mieli dosyć odwagi do bronienia się za pomocą obmyślonych sposobów; Hiszpanie więc przebyli bez przeszkody Kordyljery i wszystko przemocy ich uleż musiało.

Nakoniec dostałem się na szczyt góry. Co za widok! Cisza grobowej równa, zimno, samotność, jak gdyby natura obumarła w tych miejscach!— Oddychanie staje się trudnem; nagle zrywa się zawierucha śnieżna; odgłos piorunów odbija się o niebotyczne skał wierzchołki. — Tak prowadzi droga przez cztery leguas aż na szczyt Andów, z którego zacząłem się nakoniec spuszczać. Ztąd postrzegłem za pomocą perspektywy tu i owdzie ukazujące się przez wąwozy i skał rozpadliska zielniące się w odległości doliny. U stóp Andów leży Tambo Huarancani, o 6 leguas od Sandi; miejsce to uważać można za pierwszy

wstęp i klucz do Peru z tej strony Andów. Odtąd przyjemniejsze zaczynają się ukazywać widoki. Na jednej i drugiej stronie drogi rozciągają się pola kartosflami zasadzone, tu i owdzie widać drzewa, i wznoszące się krzakami zarośnięte pagórki. Droga idzie wzdłuż rzeki, obok czworogrannej sztuki kamienia, na którego cyplu stoi krzyż; na lewo widać idącą od Usicayas ścieżkę, która zbiega ku dolinom. Coraz zieleniejsza staje się okolica; na prawo widać liczne domy, zalegające dolinę ponad rzeką.— Ku wieczorowi dostaliśmy się do Limbani, o 3 leguas od Iluarancani. Limbani leży w zachwycającej dolinie, przeczniętej rzeką tegoż nazwiska. Góry są bez wątpienia jeszcze nagie, ale pagórki wszystkie zarośnięte krzakami; w dolinie widać uprawę, a gdzieś niegdzie sztuczne drzew sady; mnóstwo rzadkich kwiatów i roślin kwitnie między leżącymi dokoła skałami, a powietrze jest bardzo łagodne. Wioska należy do Phara, ma 200 domów i 800 mieszkańców; w całej dolinie znajduje się 800 domów i 1,500 mieszkańców, którzy żyją z uprawy roli i z plantacji kokalu, i uchodzą w okolicy za Indjan zamożniejszych. Kościół w tej wiosce zawalił się, mieszkańcy więc na nabożeństwo chodzić muszą do odległej o dwa leguas wioski *Phara*. W prawo na spadku góry, znajdują się gorące źródła uzdrawiające, które zlewają się do zaniedbanej sadzawki, drzewami otoczonej. Wody te mają być nadzwyczajnie skuteczne na

choroby syfiliczne. W całej okolicy znajduje się wiele zwalisk, co dowodzi, że kiedyś tysiące ludzi tutaj żyło. — Nazajutrz z rana ruszyliśmy dalej; poprzedzającej nocy musieliśmy pilnie strzedz naszych mułów, tutaj bowiem znajdują się już *Onzy* (lamparty). Najbliższa droga do Phara przechodzi naprzeciw Limbani prosto przez górę, ale ma być niezmiernie spadzista; a ponieważ mi się wcale nie spieszyło, udałem się więc drogą zwyczajną. Przebywa się na niej przez most, nad rzeką zawieszony, i idzie się ścieżką w prawo, która zwolna w górę postępować zaczyna. Wkrótce ukazuje się inna, na lewo w dolinę prowadząca; przy ich zejściu się z sobą wspomnę o niej znowu. Coraz przyjemniejszym staje się tutaj roślinienie; w oddaleniu ukazują się góry, które na innych wznoszą się górach. Droga idzie ślimakowato pod górę, po lewej stronie urwiste przepaści drzeniem przejmują. Dostawszy się na górę ujrzałem leżącą na prawo wioskę Phara. Nie najlepiej spuszczać się z góry; tu i owdzie ujrzyć można pierzechliwą drobną zwierzynę; nakoniec przybywa się do Phara.

2.

Wieś Phara— xiądz tamtejszy— niemiecka gospodyni pośród Andów— kopalnie złota— obyczaje i język Indjan.

Phara leży w szczupłej ale nader przyjemnej dolinie, skropionej rzeką, i ma razem z leżącymi do koła odosobnionemi *ranchos*, 400 domów i 806

mieszkańców. Powietrze jest tam łagodne; rolnictwo dosyć kwitnące. — Zostaliśmy przyjęci bardzo uprzejmie przez rodzinę mego dobrego i dawnego przyjaciela Don Zuana Baptysty Calvo, i zatrzymaliśmy się tam przez dwa dni, dla otrzymania świeżych mułów do podróży przez równiny; tylko bowiem nawykłych do tego zwierząt używać można. Phara uważane być może jako drugie wejście i pierwszy klucz do równin; wieś sama jest tak nędzna, iż z Crucero wszelką żywność, wódkę, tytoń i t. p. z sobą przywozić trzeba; wyjąwszy bowiem dobry stół gubernatora Calvo, nie tam więcej nie znajdzie oprócz korzenia *jucas*, *arachas* i *mais*. Phara ma kościół z nędznymi organami i jedną tylko ulicę, która pod górę idzie. Cura (duchowny) jest człowiek łączący w sobie dobrotliwość, z nieszczerością. Wspólnie z gubernatorem Calvo rozpoczął był roboty około poszukiwania kruszców w rzece Pulli-puli niedaleko Aparama, i z tego spodziewa się wielkie zebrać bogactwa. »Tak, »tak, mówił on, mógłbym udać się do Rzymu, »ucałować nogi ojca Sgo, ofiarować mu kilka »*pepitas*, a razem udzielić niektórych projektów »i rad względem obecnego stanu kościoła peruańskiego.« — Zona gubernatora, prawdziwa niemiecka gospodyni, rządzi całym domem, całą wsią i interesami kopalnianymi; jedyna jej córka (prócz której ma siedmiu dorosłych sy-

nów), w 17 roku życia będąca, jest nader przyjemna panienka. — Nakoniec 6 listopada dostaliśmy żądane muły i kilku indjan do nich. Nie wiele rzeczy brać z sobą należy, iżby pociągowe zwierzęta lekko iść mogły: dosyć jest wziąć kilka przykryć, nieco chaloma (solonej baraniny), chleba, kartosli, ryżu, świec, wódki i dwa garnki do gotowania; obejdzie się bez siodeł, mantelzaków, ostróg i t. p. Trzeba także mieć lekką odzież flanelową, *polecas* (sandały indyjskie), aby bezpiecznie chodzić można; długi nóż przeciwko dzikim zwierzętom, oraz dla wycinania krzaków i robienia sobie w niektórych miejscach drogi; kapelusz słomiany, poncho (płaszcz) jeden *de llama* drugi *de puli*; a mianowicie trzeba mieć odwagę w przestawaniu na nędznym pożywieniu, w niezrażaniu się złą drogą, i w lekceważeniu upału, deszczu, węźów, żmii, pajaków i mrówek. Wzięte z Crucero muły odesłaliśmy tam nazad z Phary, którą to wieś opuściliśmy podczas mocnego deszczu po południu. Droga ciągnie się wzdłuż rzeki, którą się przebywa i zaczyna pod górę postępować. Skalista i niebezpieczna jest ta droga, a w wielu miejscach trzeba było piąć się po skałach, które z powodu deszczu były niźmiernie śliskie. Musiałem zleść z muła i z jednego kamienia na drugi skałać; dostałem się nakoniec znużony na wierzeh góry; zwierzęta wlekły się z trudnością za mną. Na wierzchu znowu musiałem iść pod górę, spu-

szczać się i tak ciągle do góry i na dół postępować. Okolica jest dzika; postrzegłem wiele otworów w górach w kierunku ukośnym od drogi: są to kopalnie złota, z których tym sposobem *Gentiles* ten drogi kruszec wydobywają. Wejścia te miały tylko $1\frac{1}{2}$ vara szerokości a $\frac{1}{2}$ vara wysokości, tak iż człowiek jedynie czołgając się mógł do nich się dostać; przez 4 varas idą one w kierunku prostym, następnie zaś rozdzielają się na nieprzeliczone chodniki wewnątrz, które coraz głębiej się zapuszczają, ale każdy chodnik nie jest dłuższy nad 4 do 6 vara. Kopalnie te dawniejszych Peruanów mają niekiedy do 10,000 chodników (?), które krzyżowo i ukośnie się ciągną i w porównaniu z którymi labirynt kreteński jest dziecinną igraszką; dziś większa ich część jest zawałona i napełniona wodą. Ku wieczorowi dostaliśmy się do *Palleca* i postanowiliśmy tam przenocować, deszcz bowiem padać zaczął. *Palleca*, o 3 legua od Phara odległa, znaczy w hiszpańskim języku *rozdzielenie*, złąd bowiem rozbiegają się rozmaite drogi w doliny. Znajduje się tu wiele *ranchos* i jeden *tambo*, do koła zaś widzieć się dają liczne zwaliska, oraz rozburzona przez czas kaplica; co jest dowodem, iż tu niegdyś mnoga mieszkała ludność. Była to właśnie trzecia *mita*, i ze wszystkich wiosek po drugiej stronie Andów leżących, dążyli tutaj Indjanie z żonami i dziećmi, na zbiór kokalów. Wszystkie *tambo* na całej drodze są w tej po-

rze żniwa napełnione ludźmi; tutaj gotują pożywnie, tam śpiewają, śmieją się, gawędzą, a wszystko w języku *Quichua*, hiszpański bowiem jest tutaj równie obcy jak angielski albo niemiecki. Obyczaje, zwyczaje, ubiory, wszystko jest dawne peruańskie, tak jak było przed lat 350, i znajdowaliśmy się między prawdziwymi potomkami *Manca Capau* i *Mama Cellau*. Rozłożyliśmy się między gadatliwą rzeszą, i wraz z nią gotowaliśmy, kurzyli tytoń, pili i śmieli się; Indjanie żartowali z mowy hiszpańskiej, Indjanki naśladowały obce tego języka wyrazy, wszystko jednak było uprzejmie i wesoło, tak że w krotce zdawaliśmy jedną z nimi tworzyć rodzinę. Ponieważ postąpiłem już nieco w ich mowie, mogłem więc żartować i śmiać się z młodemi Indjankami, które okazywały wiele dowcipu i figlarności. Nazajutrz wyruszyliśmy bardzo rano; mocna mgła zwieszała się nad ziemią. Droga okręcała się około wysokiej góry, po jednej legua rozdzieliła się: w prawo szła na dół do *Aparana*, my zaś pozostaliśmy na wysokości. Deszcz znowu zaczął padać, i znowu musieliśmy iść pieszo. Góry zarośnięte były wysoką indyjską trawą i różnemi ziołami. W krotce ujrzelśmy drugie *Tambo Uccu*, o 3 legua od *Palleca*; niedaleko od *Uccu* droga schodzi z góry na lewo, taż sama o której przy *Limbani* wspomniałem. Droga ta jest zwyczajną na tych równinach dla wszystkich wiosek, z téj

strony Phara i Andów, powyżej bowiem Phara okrążyć trzeba 2 legua. Droga od Limbani do Uccu ma 6 legua. Uccu leży na lewo pośród małej zielonej łąki. Odtąd trzeba się spuszczać, i przez 2 legua iść pieszko; droga ta jest prawdziwie okropna, skalista, nierówna, już wniesiona, już spadzista, w niektórych miejscach ledwie na jedno *vara* szeroka, mająca po obu stronach straszliwe przepaści. Ziemią stała się śliska od deszczu, co powiększało niebezpieczeństwo; zrzuciłem wszystko z siebie, na ciżmy moje włożyłem inne z tkaniny Inianej (*gerga*), i szedłem tylko w koszuli i spodniach. Z obu stron drogi widać było miejsca zarosłe drzewami które zakrywały niezmierzone okiem przepaści,

3.

Huaturo — mały w górach — niebezpieczne przepaści — podróżujący Indianie — ich ubiór — Tambo Mamata — sławne schody skaliste,

Zaczęliśmy wreszcie spuszczać się na dół: przed nami leżało Huaturo, trzecie *Tambo*, pośród przyjemnej łąki, po lewej stronie drogi, 4 leguas od Uccu. Przenocowaliśmy tutaj. Huaturo jest drugim kluczem w doliny, tutaj bowiem zaczyna się nieustanna wiosna; klimat jest niezmiernie łagodny, góry okryte gęstymi lasami, łąki obfitują w czyste strumienie i dziwnie pięknymi ubarwione są kwiatami. Nazajutrz opuściliśmy wczesnie Tambo; droga szła na dół, a w spadających zewsząd wodach postrzegłem

wiele *brismas* — szczęśliwa wróżba! Z wysokości mieliśmy widok najokazalszy na środkowe krainy południowej Ameryki; góry ciągnęły się na górach, najbogatszym okryte roślinnictwem. Wzrok gubił się na szerokich pasach kwitnących łąk, niezliczonymi przetrzęsanych strumieniami; tam oto, mówił mój przewodnik, jest cel naszej podróży. Zaczynamy zwolna spuszczać się z góry i tak postępujemy aż do *La Mina*. Na innej *Escalera* trzeba było spinać się z trudnością; po dwóch legua przybyliśmy do czwartego Tambo *Pattalayuni*, gdzie rzadko który podróżny nocuje, w miejscu tem bowiem znajduje się roślina, która zjedzona od zwierząt, natychmiast śmierć im zadaje.— Skoro tylko droga spuszcza się cokolwiek, pewnym być można że z drugiej strony trzeba będzie piąć się po straszliwym *escalera*; to na którym się znajdowaliśmy miało do dwóch legua długości; naturalnie szliśmy przez nie pieszo, już to dla bezpieczeństwa, już dla oszczędzenia biednych zwierząt, które stękając z utrudzenia pięły się po gładkich skałach, i co trzy kroki bez tchu w milczeniu stawały; łatwo więc można wyobrazić sobie, jak długo tę złą drogę przebywać trzeba. Po obu stronach widać stuletnie drzewa, które ciągną się z obu stron drogi; pnie ich nachylają się ku sobie, a ich gęste gałęzie najprzyjemniejszym uwieńczone kwieciami, ciągną się ponad drogą, tak iż często idzie się pod zielonym naturalnym da-

chem. Tu i owdzie zdarzały się miejsca otwarte, przez które ze drzeniem postrzegaliśmy najstraszliwsze otchłanie, które drzewami zastłonięne były. Widzieliśmy tam palmę Inkasów, świecznik koronny, aloes i tysiąc innych rzadkich i nieznanych drzew i roślin, nad wszystkimi jednak niebotyczna palma Inkasów wspaniałe wznosiła czoło; na kwiatach unosiły się nieprzeliczone rzesze najpiękniejszych motylów; gdzie niegdzie przesunął się wąż przez drogę, albo pajak olbrzymi, i muły zaczęły sapać nozdrzami. Widzieliśmy w wielu miejscach nieżywe gady przez wodę naniesione. Niezliczone, różnofarbne ptaki okrywały drzewa, a papugi za nami z całych sił wrzeszczały; tłumy małp wykrzywiały się przed nami i igrając rzucały na nas gałązkami. Jedna z nich trafiła mnie w udo tak dużym kawałem drzewa, iż straciłem równowagę, i ledwie nie wpadł w przepaść; zastrzeliłem ją na miejscu z fuzji; spadła z drzewa, a spieszna ucieczka i przenikliwe krzyki jej towarzyszek, niepodobne były do opisania.— Rodziny indyjskie napełniały często ową ciasną drogę, zawsze z wraskiem i z gwizdaniem, aby naprzeciw idących uprzedzić, gdzie niegdzie bowiem tak ciasne były ścieżki, iżby niepodobieństwem było minąć się. Nasz Indjanin szedł zawsze naprzód, dla oznajmienia nadchodzącym iż ścieżką idą zwierzęta; w ówczas Indjanie ustępowali na stronę,

skoro tylko miejsce dogodne upatrzyli, i włązili na drzewa, a kiedyśmy koło nich przechodzili, wołali na nas: »*Imeynacanqui-allinllanques queni*« — (jak się macie? — dziękuję, bardzo dobrze) — *maymanta hamunain* (z kąd przybywasz) *may tadau rinqui?* (dokąd dążysz). — Dzieci nieraz nas strachem nabawiły, biegły bowiem za mułami, które lękały się krzyku ich matek; przelęknione dzieci uciekały z niebezpieczeństwem wpadnięcia w przepaść, wszystko krzyczało razem, i nieraz drżałem z obawy, i dziękowałem Opatrzności, że nam się jaki okropny nie wydarzył przypadek. — Indianie ci odbywają drogę w obiadową godzinę, zawsze z całemi rodzinami, a można powiedzieć że i całym majątkiem swoim, ten bowiem składa się z nędznego ubioru, dwóch glinianych garnków, nieco *maisu*, czasem kartofli, i sztuki solonej baraniny, z worka rośliny coca, noża, różańca około szyi i psa; przez ten czas chaty ich zostają próżne bez żadnej straży; na drzwiach tylko zawieszają sznurek wełniany zwany *soga* (nie znają bowiem ani zamków, ani ryglów); znak ten oznajmuje przychodzącym, że niema nikogo w domu, a kradzież u tych dzieci natury jest nieznana i nie słychana. — Ubiorem ich jest *mantera*, kaftanik, kamizelka, mały fartuszek kolorowy z *bayeta*; kobiety mają podobneż *mantera*, kaftaniki i tak zwane *pallera*, z tejże materji; najmłodsze dziecko przywiązane jest na plecach

płaszczem kobiecym zwanym *liglia*. Naprzód idzie mężczyzna, dalej kobieta z dziećmi, na końcu pies; wszystko to boso biegnie i skacze z kamienia na kamień, często żując *coca*, nie mówiąc słowa i tylko kiedy niekiedy wrzaskliwie się odzywając, dla ostrzeżenia nadchodzących, aby się mieli na baczności przy mijaniu. Jeśli nocują w jakim *Tambo*, naówczas mężczyzna rozciąga się na ziemi a biedna żona musi dzwigać wodę i drzewo, gotować, podać mu jedzenie do ręki, dawać baczenie na dzieci, słowem jest jego niewolnicą, i bywa nawet często przez małżonka i pana pobitą, szczególnie w przypadku zazdrości, do której z powodu melancholicznego charakteru swego Indjanie są bardzo skłonni. Częstokroć mąż wspiera głowę na kolanach żony która mu musi przyśpiwywać. Równie smutne i ponure są ich śpiewy, jak oni sami; tony ich są wysokie i przeciągane. — Kobiety indyjskie są z początku nieprzystępne dla białych, ale kiedy kto otrzyma ich wzajemność, może być pewnym wierności; ze swymi są bardzo wolne i niestałe, co też jest właśnie przyczyną ich niewolniczego stanu.

Ku wieczorowi dostaliśmy się do piątego *Tambo Mamata*, o 3 legua od Patalaguni. Leży ono na zielonej płaszczynie, dokoła lesistemi i wysokimi otoczonej górami, z których bystre potoki na dolinę spadają. *Tambo* to było podobnie ludźmi napełnione. Każde *Tambo* ma

swoich alkadów, przestrzegających porządku, jedności i całości budowy, na którą Indianie obowiązani są dostarczać materiałów, jako to liści palinowych i t. p., oraz przyczyniać się pracą do budowania. — Każde pueblo (wieś) ma jedno lub więcej Tambo, które musi utrzymywać w porządku, i które wspólne jest dla wszystkich podróżnych; wieś Usicayos utrzymuje tym sposobem Tambo Mamata. — Gato mantesy mają tu być bardzo liczne. Wyruszyliśmy nazajutrz rano w dalszą podróż. Droga schodzi na dół w lewo i jest równa, a przy niej widać drewniany krzyż, gdzie sławne *Escalera Mamata* zwane zaczynają się. Schody te wyrobione przez krajowców, są bez wątpienia jednym z najznakomitszych pomników cierpliwości i czynności dawnych Peruanów. Pną się aż na grzbiec najwyższej góry, i spuszcza ją się z niej po drugiej stronie; szerokość drogi dochodzi do dwóch vara; kamienie na 1 vara długie a $\frac{1}{4}$ szerokie, kolorem niebieskawym przez czas powleczone i jak szkło wygładzone tworzą te *escalera*. Dwa takie kamienie leżą obok siebie w podłuż w ziemi utkwione; każdy stopień jest tylko o $\frac{1}{4}$ vara od drugiego oddalony, a całe schody zawierają przeszło 1,000 stopni. Na prawo i na lewo, jak zwykle, okropne widać przepaści, które gesty las przed okiem podróżnego zakrywa. Zeszliśmy wreszcie do końca tych zadziwiających schodów, ale zawsze spuszczaaliśmy się na dół,

otoczeni szumem gwałtownych potoków, i łoskotem do grzmotu podobnym, powstającym z spadania porwanych przezwode odłamów skalnych któremu towarzyszyły wrzaski ptaków, ważących się na gałęziach lub z głośnym krzykiem unoszących się nad głowami naszymi. Natrafiliśmy na mały mostek, który zakrywa przerażającą rozpadlinę w skałach, i przez Indjan z największą starannością jest ciągle utrzymywany. Droga szła następnie po pochyłości wielu gór, a niedługo doszliśmy do szóstego Tambo nazwiskiem *Catani*, o 2 legua od Mamata. Roślinie nie doszło tu do najwyższego stopnia siły i piękności. Postępujemy ciągle w lewo; droga w niektórych miejscach zwęża się do jednego vara, a z powodu wałów z ziemi usypanych które z obu stron ją osłaniają, jeszcze węższa niekiedy bywa. Ukazały nam się drugie *Escalera*; przez gałęzie drzew ujrzelśmy przyjemną dolinę, a z rana przybyliśmy do *La Maina*, o 5 legua od *Catani*; jest to siódme i ostatnie Tambo w tych dolinach.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI

Niektóre szczegóły o Lady Stanhope ()* — Wielu bardzo podróżujących Europejczyków którzy w ostatnich czasach zwiedzili Syryję, przytaczało szczegóły rozmaite o Sady Stanhope i o jej mieszkaniu w którym resztę życia przepędzić postanowiła. Przebywa ona w Mar-Eldas, na Libanie, o $1\frac{1}{2}$ godziny pochodu od Scidy. Klasztor dawny zajmował to miejsce, w którym ona zamieszkała; leżał on na szczycie pagórka; część wiec jego, połączona z niektórymi przybudowaniami przez nią uskutecznonemi, stanowi dziś jej siedlisko. Mała liczba drzew otacza dom, który jest bardzo odkryty, a za nim wznosi się kilka rzędów nagich pagórków; ale od przodu posiada wspaniały widok na ogrody Scidy i na zatokę która się poniżej rozpościera.

Podróżny Carne przybył dla odwiedzenia Lady Stanhope; przez szczególniejsze względy, byłby może przypuszczony do niej, gdyby nie był zapomniał w Scidzie polecającego listu, który mu miał wnijsć ułatwić. Oddał on jój drugi list który miał z sobą, ale ten był bezskuteczny; przeczekał wiec czas niejaki w sali w której zawieszona była nadzwyczajnej długości dzida, na wzór tych jakich Arabi używają, ale Lady Stanhope wynowiła się od przyjęcia go, przez

(*) W Nrze 2 Tomu 1go Pamiętnika Kolumb znajduje się wzmianka o tej sławnej kobiecie.

pokojówkę jedyną angielską którą przysobie zostawiła, oświadczaając mu iż bardzo zażąda że nie może przełamać prawidła jakie sobie przepisała, aby żadnego podróżującego Anglika nie przyjmować. Ma to być, jak mówią, skutkiem złego postąpienia jednego z panów jej kraju, który u niej czas niejaki przepędził. Po opuszczeniu jej, wysmiał on ten szczególniejszy rodzaj życia; wiadomość o tém doszła do Anglii, a ztamtąd do Lady Stanhope, która postanowiła odtąd nie wystawiać się na podobne niebezpieczeństwo, i zabronić do domu swego wstępu wszystkim swym ziomkom.

Okazywała ona niekiedy podobnąż niechęć i względem innych cudzoziemców. Pewien baron niemiecki, który uchodził za wielkiego znawcę koni, prosił o pozwolenie widzenia się z nią; za całą odpowiedź kazała ona swemu koniuszemu, aby wszystkie jej konie wyprowadzono ze stajni i pokazano baronowi.

Lady Stanhope do usług swoich, oprócz pokojówki o której już mówiliśmy, ma tylko samych Arabów; odprawiła wszystkich Anglików, którzy z jej Arabami nie mogli żyć w zgodzie. Doznaje ona wielkiego poważania pomiędzy wszystkimi krajowemi władzami, i widziano nieraz najsamowładniejszych paszów zezwalających natychmiast na wszystko, czego tylko przez prosty bilet od nich żądała. Tylko przez przypadek obrała ona sobie zamieszkania na Libanie: okręt na którym płynęła rozbił się przy

brzegu tej góry, a widok kraju tak jej się podobał, iż postanowiła w nim osiaść.

Zdaje się zresztą, iż skłonność do życia przygodowego jest wrodzona w jej familji, P. Carnebowiem widział w Konstantynopolu, w pałacu ambasadora angielskiego lorda Strangford, młodszą siostrę Lady Stanhope, świeżo przybyłą z Persji przez Gruzję, której to drogi część większą odbyła na koniu. W Tauris ofiarowano ją wprowadzić do haremu Abbasa-Mirzy, ale nie przyjęła tej grzeczności.

P. Carne znajdując się w Beirut, znalazł tam Anglika, który skutkiem jakichś okoliczności, przypuszczony był do Lady Stanhope, i rozmawiał z nią przez kilka godzin. Była ona ubrana zupełnie po turecku, i w ciągu rozmowy okazała wielką znajomość interesów Wschodu, stanu Otomańskiego państwa i jego polityki. Zacząwszy następnie mówić o polityce Wielkiej Brytanji, w epoc kiedyś interesów kraju posiadał wuj jej, dla którego pamięci religijny zachowywała szacunek, wpadła w nadzwyczajny zapał, i przez dwie godziny bez przerwy mówiła.

Większą część nocy poświęca ona czytaniu lub pisaniu; korespondencja jej jest bardzo rozległa; nie udaje się prędzej na spoczynek jak około piątej godziny z rana.

Wiadomo iż została przez Arabów ogłoszona królową Pałmyry; pośród zwalisk albowiem miasta tego wyprawiała dla nich ucztę. Beduiini

tęj prowincji z największém tylko uszanowaniem mówią o niej. Jedyne postępek monarszy, jaki wykonała musiał jej skarbić najmocniejsze przywiązanie ludu tego, i nie dziw że jej są ciągle ulegli; ponieważ wielkiemu szekowi tych Arabów, którzy się uważają za właściciele owych wspaniałych zwalisk, oddała papier własną pisaną ręką, w którym zaleca mu wymagać 1,000 piastrów od każdego wędrownika, któregooby chęć oglądania szczątków starożytnej świetności stolicy Zenobji do tych pustyń sprowadziła.

Lady Stanhope, przez słabość dosyć nadzwyczajną w kobiecie tego charakteru, zdaje się przywiązywać wiele znaczenia do marzeń astrologji, i z zupełną ufnością przyjmować przepowiedzenia wróżka pewnego, który pochlebia jęj miłości własnej i znakomitą w tym kraju pozyskał sławę, przepowiadając na rok przed wydarzeniem owe trzęsienie ziemi, co przed lat kilku prawie do szczętu zniszczyło miasto Alep.

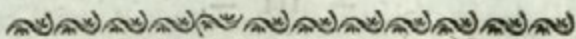
(*Ann. des Voy.*)

Dawny i obecny stan ludności w Sycylji i w Hiszpanji. — Za czasów Rzymian wyspa Sycylja miała 10 miljonów, Hiszpanja zaś 15 do 20 milionów ludności. Dziś liczą w Sycylji 1,600,000 a w Hiszpanji zaledwie 10 milionów mieszkańców. W całej Italji, a nawet i w Portugalji ludność nadzwyczajnie się zmniejszyła. Można przeto przyjąć, iż obecny stan ludności, jaki

podług mniemania niektórych uczonych istnieje, jest tylko urojeniem.

Nowe budowle w Londynie. — Wszystko co przedsięwzięte w Londynie, ma na sobie zwykle cechę olbrzymich pomysłów. W części miasta *Charing Cross* i około kościoła Sgo Marcina znajduje się znaczna liczba wąskich i ciasnych ulic, mających domy stare i niekzemne, które żadnego zaszczytu stolicy W. Brytanji nie przynoszą. Zakupiono więc i rozrzucono niedawno 500 podobnych domów; w tem miejscu zaś wytknięte zostaną szerokie ulice i założone piękne budowle. Na ten cel zakupiono i rozburzono prócz tego 100 innych przyległych domów. Podług planu, część ta miasta ma się stać jedną z najpiękniejszych. Magistrat miejski w Londynie nie ma żadnej własności, i wcale budowaniem się nie zajmuje; wszelkie podobne przedsięwzięcia czynią prywatni ze złożonych na to akcji.

Ogrody Maurytańskie. — Mało w tym kraju widzieć można ogrodów, ale w nich (ponieważ ziemia bywa starannie zwilżana) znajdują się rozmaite drzewa owocowe i warzywa, często nawet ogród jest kjoskiem ozdobiony. Budowla ta jest mała, i posiada dywan, który tylko dwie osoby przyjąć może, oraz wiele zwierciadeł, iżby ten który tam daje posłuchanie, nie mógł być nieznanym sposobem zamordowany; na ścianach nawet wiszą zawsze ostre pałasze i ponabijane strzelby.



K O L U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.
N^{er} 33.

Z PIERWSZEJ POŁOWY MAJA 1829 ROKU.

VII.
WIADOMOŚĆ O MIESZKAŃCACH NO-
WEJ ZELANDJI;
przez R. P. Lesson.
(*Dokończenie.*)

Snycerstwo zdaje się być pierwszym do cywilizacji krokiem, jeśli z niej dopiero nie wypływa; a ponieważ jest przedstawieniem materjalnym przedmiotów, znaleźć je można więcej lub mniej niezgrabne, u ludów jak najbliższych nawet tak zwanego stanu natury. Pierwiastki tej sztuki u Zelandjan zapowiadają smak i zasady stałe, też same bowiem rysunki, też same kształty w je-



dnychże powtarzają proporcjach. Ileż czasu wymagać musiały snycerskie ozdoby ich pirogów? Sposoby przez które doszli do gładzenia bardzo twardego kamienia *nefrytu*, i kształtowania z niego jakkolwiek niezgrabnych i okropnych bożyszczy, dowodzą wszelako zręczności mechanicznej i wcale nam nie są znajome, chociaż wątpić nie można iż są owocem cierpliwości i czasu.

Cały ogół wyobrażeń Zelandjan o Istocie Najwyższej, nie jest nam zupełnie znajomy. Ile jednak sądzić o nich możemy z różnaitości ich dogmatów, zdaje się iż religja ich jest niezmiernie starożytna, i składa się z licznego szeregu wydoskonalonych bardzo pomysłów, które w ich podaniach zostały nadwerżzone jedynie przez odosobnienie, od tego czasu jak lud ten oddzielił się od rodu, którego jest gałęzią. Zelandjanie mają dawne podanie, które naucza iż naddziadowie ich opuścili jakąś wielką wyspę dla zamieszkania na Nowej Zelandji; ale zaślona pokrywająca głęboką ciemnością ich pochodzenie równie jak ich zwyczajów, rozdartą by jedynie być mogła przez gorliwe badania człowieka uczonego, któryby zamieszkał na tych wyspach, a być może iż missjonarz Kendall wyświadczyłby był znakomite pod tym względem przysługi, gdyby go nie była zupełnie zajmowała myśl ta wszelkie inne domysły przemagająca, iż religja Nowo-Zelandjan pochodzi od systematu potrójnego bóstwa Pitagorcsa, oni zaś sami od E-

gipejan. Lingan, zdający się tak ważną rolę grać w ich mitologii, a nakoniec, wielka część ich wyobrażeń należy do Sabcizmu, i wypływa z starożytnych mistycznych podań Braminów.

Znakomitsze bóstwa Nowo-Zelandjan są: *Bóg ojciec*, *Bóg syn* i *Bóg ptak* albo *Duch*. Bóg ojciec jest najpotężniejszy i nazywa się *Nui Atua* (pan świata). Inne bóstwa są względem niego podrzędnymi; ale każdy krajowiec ma swego *Atua*, rodzaj bóstwa drugiego rzędu, które podobnym jest do anioła stróża w religii chrześcijańskiej. Kapłani nazywają się *Ariki*, a niekiedy dają im nazwanie *Tane Tohonga* (ludzie uczeni); ich małżonki zaś, pełniące obowiązki kapłanek, nazywają się *Wahine Ariki* albo *Wahine Tohonga* (kobiety uczone). Każdy *hippah* (wioska) posiada chatę, większą od zwyczajnych pomieszczeń krajowców, którą nazywają *Ware Atua* (dom boży); przeznaczona jest do odbierania świętego pokarmu (A O Kai Tu), i w niej odbywają modlitwy (Karakia).

Najpospolitsze obrzędy religijne odbywają *Arikiowie*, których głos błaga głośno *Atuy* o opiekę nad ludem. Zelandjanie wierzą najmocniej w sny, które uważają jako zsyłane przez bóstwo, a wszelkie ich sprawy załatwiają kapłani, jedyni tłumacze woli nieba. Rozmaite pokolenia, podczas nieustannych walk jakie z sobą prowadzą, nie rozpoczynają nigdy kroków nieprzyjacielskich, nie wzywawszy poprzednio pomocy *Oai-Dua*

albo Ducha świętego przy uroczystości zwanej *Karakia-Tanga*.

Zdaje się iż Zelandjanie uświęcają przez religijne obchody najznakomitsze epoki życia; i tak przy urodzeniu dziecięcia krewni zgromadzają się na wyprawioną z tego powodu uroczystość rodzinną, na której dają słyszeć swe zdania i przepowiednie względem przyszłego losu nowo narodzonego. P. Kendall porównywa obrzęd ten zwany *Toinga*, z chrztem chrześcijan, a nawet twierdzi, iż dzieci skrapiają wodą poświęconą (*Uai tapa* albo *Uai toi*). Małżeństwa ich stwierdzane bywają poświęceniem religijném, a przy zgonie odprawiają modły żałobne. Nawet ich uroczyste uczty, na których mięso ludzkie pożywają, znajdują u P. Kendall swoje porównanie, ale ograniczymy na tém przytoczenia nasze, z obawy zbłądzenia w udzielaniu wiadomości które nam tak niedokładnie są znajome.

Zelandjanie mają wiele podobieństwa w charakterze z dawnymi Spartanami: życie jest dla nich obojętne; na śmierć poglądają z odwagą, a nawet, możnaby powiedzieć z wielkością. Wszelkie myśli ich odnoszą się do walk i trudów wojennych; są one roskoszą całego ich życia: od najmłodszego przeto wieku, nie przestają zapalać umysłów dzieci opowiadaniem walecznych czynów ich krewnych lub przyjaciół, i obudzać w ich sercach tej nienasyconej żądzy niebezpieczeństw i przypadków. Młodzieniec wcześniej

umie znać osobistą godność swoją; wie on iż żadna kobieta nie może podnieść ręki na niego, iż może nawet matkę swoją uderzyć, co ona bez użalenia się znieść powinna; że może zaprawiać się przez surowe z niewolnikami postępowanie, do wraźania tego postrachu jaki ma nieść w czasie bitwy pomiędzy sąsiedzkie pokolenia. Dziwna rzecz wszelako, iż dziecięciem jest znakomitsze, im świetniejszy jest stan jego matki, od niej bowiem spływa na niego cały blask urodzenia. Wychowaniem synów naczelników trudnią się zwykle starcy szanowni przez swą mądrość i wiadomości, albo kapłani (ariki); oni to udzielają im stopniowo tajemnic teologii. Podobnie jak u dawnych Skałdów północnych, nauki ich, zawarte w pewnym rodzaju rymowanych zwrotek, opiewają dzieła rycerzy, liczbę ich ofiar i szczęście jakiego doznają w Ata-Mira albo rajy niebieskim. Około roku dwunastego życia, młodzieńcy adepci obecni są na zgromadzeniach naczelników i słuchają ich narad; charaktery ich nabywają tym sposobem skłonności do rozmyślenia i zastanawiania się głębszego, równie, jak pragnienia iżby się wstawić świetnymi dziełami. Zdziwieni byliśmy często, widząc młodych chłopców wchodzących na pokład, i przebiegających cały okręt pomiędzy majtkami, bez okazania żadnej obawy lub podziwienia; postępowanie ich miało już w sobie śmiałość i pewność. W osmnastym lub dwudziestym roku, należą do poko-

lenia wojowników; budują sobie natenczas chatę obok ojcowskiej; przybierają małżonki, i władza ojcowska nad nimi ustaje.

Małżeństwa odbywają się za pośrednictwem kupna; przyszły małżonek powinien złożyć dary rodzinie swej przyszłej. Większa część krajowców, a nadewszystko z najniższej klasy, na jednę żonę przestaje; zdaje się jednak iż wielożeństwo jest dozwolone naczelnikom, ponieważ sławny Songhi ma żon kilkanaście. Tooni, naczelnik hippahu, w pobliżności którego korweta *la Coquille* stała na kotwicy, kupił był żonę swoją za dwa muszkiety i jednego niewolnika, lubo do znakomitej należała rodziny; wraz z nią dostał pewną liczbę plecionek z lnu nowozelandzkiego, oraz trzy niewolnice przeznaczone do jej usług. Mieszkańcy klasy niższej dają podarunki mniejszej wartości; i dla tego też jedną tylko niewiastę żonę. Cudzołóstwo surowo karane bywa, jeśli nie jest skutkiem woli męża; ale ten łatwo przekupić się daje podarunkami. Co do dziewcząt, są one paniami osób swoich w tym względzie. Młodsze dziewczęta niewolnice są nawet przez swych właścicieli wystawiane na rozpustę; *Ariki* uświęca małżeństwa przez pewny rodzaj religijnego obrzędu. Missjonarze protestantscy znajdujący się w Nowej Zelandji, powiadają nawet, iż w chwili urodzenia się

dziecięcia, rodzaj pewny chrztu na niém odbywają. Lubo kobiéta w oczach tych wojowniczych wyspiarzy jest tylko stworzeniem drugiego rzędu, i przeznaczoną do zachowania rodu, wszelako we wszystkich ważnych okolicznościach zasięgają jej rady, a żona *ariki*, podobna do Druidyssów, podziela kapłańską władzę małżonka swego.

Nie będziemy tu mówili o lekceważeniu przez te ludy tego co my *wstydem* nazywamy; cnota ta jest wypadkiem cywilizacji; a obraz jakibyśmy mogli skreślić obyczajów jeszcze grubych człowicka w pierwiastkowym stanie natury, byłby często bardzo może zabawny, ale oburzyłby mógł najłatwiejsze nawet umysły.

Przyjaźń jaką dla siebie zachowują krajowcy jednegoż pokolenia jest bardzo mocna, i często byliśmy świadkami sposobu okazywania jej wzajemnie. Jeśli naprzykład który z nich przybywszy na pokład zastał tam przyjaciela, którego dawno nie widział, zbliżał się w głębokiem milczeniu, dotykał nosa jego końcem swego nosa, i zostawał tak przez pół godziny mamrocząc tonem posępnym niezrozumiałe wyrazy; rozdzielali się następnie i postępowali przez resztę czasu jak ludzie zupełnie sobie obcy. Kobięty zachowywały między sobą toż samo postępowanie. Więcej jeszcze aniżeli ta nosowa ceremo-

nja zadziwiła nas obojętność, jaką krajowcy okazują tym którzy pośród nich wynurza sobie w ten sposób przyjacielskie uczucia. Dostyć jest godnem uwagi, widzieć ludy azjatyckie zachowujące we wszystkich zycia okolicznościach, tę twarz spokojną i uroczystą, która tak jest przyzwyczajoną do godności człowieka.

Jeśli Zelandjanie okazują tym sposobem przez wzruszenia, iż są czuli na łagodne namiętności, historia ich całego życia przekonywa z innej strony, iż żaden lud nie zachowuje i nie żywi w sobie dłużej pragnienia zemsty. Zelandjanin zdaje się mieć za zasadę, iż czas nie może zatrzymać żadnej zniewagi, ale zemsta sama jedynie zdolna jest ją wynagrodzić. Z tej mylnej zasady, którą każdy krajowiec jest przejęty, i która stanowi prawo postępowania politycznego pokoleń, wypływają owe nienawiści i owe wojny nieustanne, co te wyspy pustoszą. Strata krewnych lub naczelników znakomitszych daje się żywo uczuwać całemu pokoleniu; mieszkańcy w żałobie dopełniają obrzędu pogrzebowego, który trwa zwykle dni kilka; a jeśli stopień zmarłego jest znakomity, poświęcają zawsze cieniem jego niewolników, przeznaczonych do służenia mu na drugim świecie. Kobiety, dziewczęta i niewolnice kalęczą sobie łono, ręce i twarz, rozdzierając skórę ostrym zębem psa morskiego, uważanym jako świętość i wiszącym zawsze u

ucha; im bardziej krew ciecze z ich ciała, tem ofiara ta przyjemniejszą ma być zmarłemu; w różnych czasach później, i w oznaczonych epokach odnawiają one te żalu oznaki. Kiedyśmy się zapytywali dziewcząt o przyczynę tego zwyczaju, odpowiadały nam: »*Antona chce abyśmy płakały.*« — Ludy te zachowują dla zmarłych szacunek religijny; namaszczają ich sposobem nigdzie nie naśladowanym i nierównie doskonalszym od tego jakiego używano w Egipcie do przechowywania mumji. Chowają zwykle umarłych w grobach dla każdej rodziny osobno urządzonych; niekiedy zaś ludzi pospolitych kładą w pirogę i puszczają na morze, co się u nich nazywa *tutere* i *Waką - atu*.

Każde pokolenie Zelandjan stanowi rodzaj rzeczypospolitej, i każdy mieszkaniec jest niezawisłym od nikogo innego. Obwodami zarządzają naczelnicy, których godność uznawaną bywa tylko podczas wojny. W wiosce swej naczelnik nie ma żadnej władzy oddzielnej, ani może rozkazać cokolwiek najlichszemu z wyspiarzy; ma jednak ten przywilej, iż nie robi i pobiera w naturze dziesięcinę z zasobów innych rodzin; z resztą nie posiada, oprócz niewolników których sam pojma w czasie wojny, i nie ma innych oznaków godności oprócz nakłuwania, które wskazuje jego dostojność, i którego nikt inny nosić nie może. Nie okazują mu żadnych względów, żadnych osobnych dowodów uszanowania,

kiedy przybywa pomiędzy swych wojowników. Dzieci naczelnika nie dziedziczą godności tej po jego śmierci, ale bracia jego podług porządku starszeństwa. Zwykle mianują tego naczelnikiem, kto posiada najpowszechniejszą sławę z męstwa, niculękości i roztropności. W wojsku, zdanie jego przeważa inne co do sposobu uderzania na nieprzyjaciela. Do zgromadzenia wojowników swoich i prowadzenia ich na wojnę nie ma on innych bodźców oprócz hańby, która okrywa tych coby się wahali dzielić niebezpieczeństwa; rzadko się zdarza aby pobudki jakie ogłasza do wyprawy i rady co do jej prowadzenia, nie były dostateczne do zgromadzenia wojska. Kiedy *Atax* (Bóg) żąda wojny, nie ma nigdy różności w zdaniach. Naczelnicy wszystkich pokoleń składają radę, do której przypuszczeni są kapłani, a nawet i prości wojownicy, którzy posiadają sławę w czasie wypraw nabytą. Ciała zabitych naczelników, których głowy zachowują jako znaki oddziałów, służą za przedmiot ofiary. Zony ich oddawane bywają nieprzyjaciółom i ulegają takiemuż losowi, lub poświęcają się same. W razie śmierci naturalnej którego z naczelników, na grobie jego czynią ofiarę z ludzi.

Najokropniejszy zwyczaj o jakim wspomnieć musimy, jest ludożerstwo, którego żaden lud nie dopuszcza się ani tak otwarcie, ani w sposób tak oburzający jak Zelandjanie. Chciwi zemsty i mordów, ci okrutni ludzie jedzą z rozkoszą drga-

jące członki nieprzyjaciół poległych pod ich ciosami. . . . Skutkiem tych obrzydłych zwyczajów, nabrali oni gustu do mięsa ludzkiego, i uważają za szczęśliwe i za uroczyste te dni w których mają sposobność niemi się nasycić. Naczelnik hippahu Kauri, na wyspie *U-Motu-Arohia* wyznał nam nawet iż czuje największą rozkosz pożerając trupa. Mózg uważał za najdelikatniejszy, a tylną część ciała za najposilniejszy przysmak; ale widząc jaką to w nas zgrozę sprawiało, oświadczył że nie jedli nigdy Europejczyków (Pateka), ale jedynie złośliwych ludzi od rzeki Tamizy i odnogi Merkurego, a przybieraając pieszczotliwy prawie wyraz twarzy, przydał, iż Europejczyków uważali za swych ojców, ponieważ ci dostarczali im prochu do zabijania nieprzyjaciół. Trupy krajowców zabitych na polu bitwy, bywają zawsze pożerane; nie ma jednakże pewności czyli jedzą i mięso niewolników, których w rozmaitych okolicznościach poświęcają.

Zdaje się iż zwyczaj te, bezprzykładną nacechowane srogością, panują od dawnych bardzo czasów pomiędzy tymi ludami, które jedynie wojną oddychają, i że stanowią rodzaj kodexu pomiędzy nimi, którego bez zwałenia praw honoru przekroczyć nie można. Wojna zajmuje wszystkie prawie chwile ich życia: najłżejszy powód dostateczny bywa do jój wydania; ale najłżejsza klęska, lub zadosyć uczynienie może skłonić nieprzyjaciół do zaniechania napaści. Któż

tnie trwają przez wiele lat nawet, a pokolenie obecne napada często nieprzyjaciół dla pomszczenia klęski przez ojców swych poniesionej. Widziano ich walezących w niektórych obwodach, o okoliczności które się wydarzyły od lat kilkudziesięciu. Nienawiść ich bywa skryta: każdy dzień, zamiast zacięrać w nich pamięć zniewagi, zażywia jeszcze pragnienie zemsty, którą tylko śmierć nieprzyjaciela zaspokoić jest zdolna.

Wojny ich są wypadkami nienawiści, i mają za cel rabunek i chęć pozyskania żywności której żołądek ich chciwie pragnie. Uderzają w ówczas na nieprzyjaciół w jak największej liczbie, i starają się podejść ich i w pień wyciąć. Niekiedy przesyłają sobie wyzwanie, które ma się załatwić w miejscu oznaczonym. Przed rozpoczęciem bitwy, arikowie odbywają modły i składają swym bogom ofiary dla pozyskania ich przychylności. Tym celem poświęcają im kilku niewolników, a po dopełnieniu tych formalności, wojownicy odśpiewują pieśń wojenną, pokazują języki na znak wyzwania i pogardy, wydają ogromne krzyki i uderzają na siebie z wściekłością. Rzadko się zdarza iżby zamieszanie trwało długo, i za pierwszym wystrzałem z broni, kiedy liczba zabitych jest dosyć znaczna, zwyciężeni się cofają; albo, jeśli walka odbywa się z większą natarczywością i zawziętością, walczący uderzają na siebie osobiście, i w ówczas liczba zabitych jest znaczniejsza.

Strona zwycięzka śpiewa na placu bitwy pieśni na znak tryumfu, i w ten czas przysposabiają okropne ofiary które swym obmierzłym bożyszczom poświęcić mają. Ciała poległych naczelników przysposabiają także do ofiary, a kiedy arikowie i bożyszcza swój udział otrzymają, głowę dostaje naczelnik zwycięzki, który ją zachowuje jako godło tryumfu swego. Mięso zabitych zjadają, kości zaś rozdają na rozmaite narzędzia. Jeśli nieprzyjaciele tak zacięcie trzymali się na placu bitwy, iż cofając się zdołali unieść zwłoki poległych z swej strony, równie jak naczelnika swego, obowiązani są zwrócić je niezwłocznie, albo powtórnego oczekiwać uderzenia. Jeśli ich klęska przeraziła, łatwo skłaniają się do oddania ich zwycięzcom, równie jak żony i dzieci naczelnika; pierwsza bywa zabita i pożarta, dzieci zaś zamordowane lub obrócone na niewolników; wszystkie prawie żony naczelników, w razie zgonu swych mężów, sądzą się być obowiązane zrobić z życia swego ofiarę ich ciciom, i oddają się dobrowolnie nieprzyjaciółom, pewne będąc że żadnej nie mogą się spodziewać łaski: jest to rodzaj fanatyzmu podobny do przesądów indyjskich.

Przez ten czas leżący na ziemi żołnierze bywają dobijani maczugami zwanemi *patu-patu*, i pokrajani na części, które zwycięzcy pieką i pożywają. Głowy ich, jeśli zwłaszcza zabici sławą się okryli, po oczyszczeniu sprzedawane by-

wają Europejczykom za proch i inne potrzeby wojenne. Pokolenia pozostają tak długo na placu bitwy, dopóki im wystarczy do jedzenia mięso ludzkie. Pozywienie to, które krajowcy uważają jako zdolne przelać w nich odwagę tego co został zabity, wzmaga fizycznie ich siły trudami i głodem wycieńczone. Przez cały czas trwania tych uczt okropnych, wojownicy oddają się największej radości; aby zaś nie sami tylko używali owoców zwycięstwa, posyłają rodzicom swym przysmaki z uczy; ale kiedy, oddalenie nie dozwala iżby te dostały się im bez zepsucia, dotykają ich poświęconą laską, i tę przesyłają przyjaciółom, aby nią dotknęli swego pożywienia, mniemając że tym sposobem pokarmy te nabiorą własności i smaku mięsa ludzkiego.

Ludy te zabierają niekiedy jeńców, dla trzymania ich w najokropniejszej niewoli. Oni to trudnią się rybołostwem, uprawiają pataty (rodzaj kartofli), i kopią korzenie paproci. Życie ich nigdy nie jest bezpieczne; bywają zamordowani w każdej chwili kiedy się panu ich podoba, i służą pospolicie za ofiary, kiedy właściciel ich umiera. Trzech takich niewolników zamordowano po śmierci *Korokoro*, a siedmiu na grobie *Songhi*. Córka tego drugiego naczelnika, której mąż zabity był w jednej potyczce, pomściła się śmierci jego, zamordowawszy za pomocą brata dwudziestu trzech śpiących niewolników swoich. W czasie pobytu naszego na wyspie, je-

den z krwiożerczych wodzów pokazywał nam kilkunastu jeńców których własną ręką pojmał, i prosił nas usilnie, abyśmy przyjęli silnego i pleczystego młodzieńca, za którego żądał tylko jednego muszkietu. Okręty angielskie potrzebujące majtków, dostają często pewną liczbę niewolników za proch i strzały.

Głowa naczelnika służy niejako za sztandar dla jego pokolenia. Ile zwycięzka strona dumna jest z jej posiadania, tyle zwyciężeni, a szczególnie rodzina jego, w smutku są pogrążeni. Głowę tę zachowują starannie, a kiedy zwycięzkie pokolenie żąda pokoju, posyła głowę naczelnika pokoleniu któremu on dowodził. Jeśli to na jej widok wydaje wielkie okrzyki, okazuje tym sposobem że chce wniknąć w układy i przyjmując podane warunki; jeśli zaś przeciwnie, patrzy na nią okiem ponurym i zachowuje głęboke milczenie, oznacza to że pragnie pomścić się jego śmiercią, że wszelkie układy mu się nie podobają, i że nakoniec chce rozpocząć kroki nieprzyjacielskie, a w ówczas walka odnawia się z zaciętością. Jest to wszelako wielką pociechą dla zwyciężonych, kiedy wiedzą że nieprzyjaciele zachowują głowy ich poległych naczelników; spodziewają się bowiem kiedyś je odzyskać. Kiedy im są oddane, zachowują je z religijną cześcią i uszanowaniem; ale od czasu jak je korzystnie mogą pozbywać Europejczykom, mało zostaje głów nie sprzedanych. *Tooni* po-

kazywał nam głowę jednego z naczelników od rzeki Tamizy, którą zachowywał dla oddania jej swemu synowi.

Powiedzieliśmy już wyżej iż Zelandjanie niezmiernie obojętni są na śmierć; znoszą ją z zadziwiającą spokojnością, i żaden z nich zapewne nie pomyślał, iż kiedyś może doznać takiego samego losu jaki gotuje bliźnim swoim; zagrzani raz wyobrażeniem mordów, mniej są łagodni od tygrysów z pustyni afrykańskich; jeden tylko cel mają, jedną myśl, to jest ukarania nieprzyjaciela, a jedynym ich żalem jest kiedy nie mogą go pozrzeć ciesząc się jego męczarnią i jękami.

Zwyczaj zachowywania głów nie jest samym tylko Zelandjanom właściwy; daje się on postrze- gać na wyspach *Ceram* i *Borneo*; używają oni jednak sposobu zachowywania ich bardzo prostego, który jak się zdaje nigdzie nie jest naśladowany. Balsamowanie to nazywają *moko-mokai*; dają nawet rozmaite nazwiska dymowi który wychodzi przez otwory nosa, oczu i uszów trupa w czasie operacji. Dla zachowania głowy odcinają ją w wyższej części szyi, i odpowiadającą część czaszki wyłamują robiąc w niej szeroki i okrągły otwór. Wyjmują również części kostne z wnętrza głowy, jako to kości stanowiące osadę oczu, oraz kości nosowe i podniebienne; nie zostawiają w reszcie z kości nic więcej oprócz części zewnętrznych, które stanowią pokrywy twarzy; obdzierają zupełnie mięso i błony we-

wnętrzne, a nadewszystko wyjmują mózg i należące do niego części. Kiedy tym sposobem głowa jest wewnątrz dokładnie wyczyszczona, zaszywają powieki lub zamykają je sklejjając pewnym rodzajem gummy; w nozdrza wkładają konopie, i otaczają otwór zewnętrzny obwódka z materji jakiej lub z drzewa. Głowę tak przysposobioną składają gdzie w miejscu bezpiecznem wystawioną na dym i wolne gorąco, przez co wysychają nareszcie wszelkie włókna i nerwy. Kiedy już wysuszą ją należycie, namaszczają olejem i zachowują w miejscu najsuchszem pomieszczenia, pamiętając wystawiać ją niekiedy na otwarte powietrze, aby nie naciągnęła wilgoci. Tak przyrządzone głowy tem są bardziej poszukiwane, im dłuższe są na nich włosy, doskonalsze nakłuwanie, i im od znakomitszego pochodzą wojownika. Z mniejszą jednakże cześcią je zachowują od czasu jak Europejcykowie ten towar zakupują; zdarza się nawet często iż zabijają umyślnie niewolników, dla sprzedawania ich głów oczyszczonych.

Litość, jak mówi trafnie pewien autor francuzki, zdaje się być uczuciem nie mającém nigdy przystępu do serca Zelandjan: każdy cudzoziemiec, którego burza na ich brzegi wyrzuci, lub którego ciekawość na nie sprowadzi, okropną zwykle ginie śmiercią. Jedynie mieszkańcy północnych brzegów cierpią pomiędzy sobą Europejczyków których potrzebują; ale

mieszkańcy części południowej wyspy są nieprzystępni. Wszyscy podróżni którzy tylko żeglowali przy owych brzegach, byli po nieprzyjacielsku przyjęci od tych dzikich wyspiarzy, zdradliwych i podstępnych, którzy innego nie znają prawa nad przemoc i gwałty.

Tasman w 1642 r. utracił czterech ludzi i nazwał *Zatoką morderców*, miejsce to w którym zawiął. Surville, w 1769 był napadnięty i zmuszony do użycia wyższości swej co do środków obrony. Kapitan Furnaux, z okrętem *A-venture*, utracił dziesięciu ludzi w zatoce Cooka. Cook nawet sam był ciągle wystawiony na zniewagi i groźby najstraszliwsze krajowców; ale przez umiarkowanie, które umiał zachować pomimo gwałtowności charakteru swego, dał im tylko uczuć swą wyższość i nie kazał im obrzyznać uszów, jak to uczynił z mieszkańcami na *Wyspach towarzyskich*. Cook zwiedził te wyspy w 1769 i 1770. Kapitan Marion przebywał w przystani wysp, którą Francuzi nazywają *Zatoką Marjona*, około r. 1772; wiadomo że tam został zamordowany wraz z dwudziestu dziewięciu ludźmi z osady okrętowej. Od tej epoki, krajowcy zabrali różnej czasy znaczną liczbę statków na połów wielorybów wyprawianych, których osady wymordowane przez nich zostały; spis Europejczyków przez tych ludożerców pozabijanych utworzyłby mógł długą martyrologję. Między najznacześniejszemi tego rodza-

ju wypadkami, nadmienimy tylko o zabranii w 1816 r. okrętu *Boyd*, pod dowództwem kapitana *Tompson*, oraz statków kapitana *Howel*, któreśmy widzieli w Port-Jackson; szczegółów tych udzielił nam sam kapitan. Żeglarz ten który dowodził brygiem *Trial* i golettą *la Felicité*, zapuścił kotwice 30 listopada 1815 na rzece Tamizie: krajowcy korzystając z nicostrożności kilku majtków, którzy mieli zlecone uważanie ich poruszeń, wycięli wszystkich ludzi znajdujących się na pomoście, poprzecinali liny, a żagle na brzeg wyrzucili; osada która się znajdowała na dolnym pomoście została uratowaną, przez to jedynie, iż w tej części okrętu umieszczono strzelby. Przez otwory więc i szpary majkowie mogli spokojnie celować do wszystkich wyspiarzy, którzy się tylko pokazali i strzelali do nich bez obawy chybienia; spędzili ich więc z niższych pomostów brygu i odparli aż na sam przód, gdzie mocny i ciągły ogień zmusił tych co ocalili do rzucenia się w morze.

Więcej lub mniej oświeceni ludzkości przyjaciele, pisali obszernie o sposobach wytępienia ludożerstwa; większa ich część zaprzeczała iżby ten obrzydły zwyczaj istniał rzeczywiście, a uważając to od natury zboczenie za fikcję wymyśloną przez podróżnych, mniemali iż ród ludzki został nią zpotwarzony; nie będziemy starali się zbijać ich wyobrażeń, będących wypadkiem marzeń ludzi spokojnych, łagodnych i szczęśliwych

na łonie rodzin swoich, w zaciszach których nigdy nie zdarzyło im się opuścić. Powiadają iż Szkot pewny, którego chęć uobyczajenia Nowo-Zelandjan zapalała, wypłynął w 1782 r. z sześćdziesięciu wieśniakami i wszelkimi przedmiotami niezbędnymi do uprawy roli potrzebnymi; zamiarem jego było osiąść nad brzegami rzeki Tamizy, albo w zatoce Merkurego i nauczać tam krajowców karczowania gruntów; ale nie miano już później żadnej o nim wiadomości.

Wyobrażenia Zelandjan o sztuce lekarskiej, nie zdają nam się być bardzo rozległe; chociaż wojownicze ich skłonności powinny by im były wskazać potrzebę przykładania lekarstw na szerokie rany pochodzące od ciosów *patu-patu*. Małą liczbę blizn na ciele ich wojowników przypisać bez wątpienia należy zwyczajowi dobijania rannych i pożerania zwyciężonych. W chorobach wewnętrznych, które ich w hippahach udręczają, leczą się jedynie przez surową dietę i piją sok roślin które zowią *rongoa* albo wzmacniającymi; w przypadkach niebezpieczeństwa, jedyną pokładają nadzieję w modłach arików, chociaż mają między sobą takich co się trudnią przysposabianiem lekarstw, którzy zwani są *tangata-rongoa*. Ich choroby albo *Mate* najpolsze są: elephantiasis (*), suchoty płucowe,

(*) Choroba szczególnie w starożytności znajoma, nazwana tak od tego, iż skóra chorego stawała się pogarbioną, twardą i chropowatą tak jak u słonia.

i katary rozmaitego rodzaju. W razie strzaskania kości ściskają je oni za pomocą wiązadeł z kory drzewnej, a dwa razy na dzień trzymają członki chore nad parą wodnistą z odwaru roślin, rzucając na rozżarzone węgle liście wodą przesiąknięte. Dzieci chorują często na gruczoły, a starcy na ślepotę, wole zwane *keke*, i na kamienie w pęcherzu. Rany nazywają się *Ope nga rara*; ciężą *apu*; zdrowie zaś albo zupełna równowaga wszelkich działań życia nazywa się *ora*. Nakłuwanie wykonywane na ciele w kształcie szerokich rysunków, które tak wiele u nich znaczy, sprawia pospolicie febrę trwającą przez dni kilkanaście, po której następuje obfite ropienie oraz strupy długie i grube z wolna odpadające. Na częściach ciała nerwistych i delikatnych nakłuwanie nie bywa bez niebezpieczeństwa np. w kątach oczu, na powiekach i w innych miejscach. Częściami więc tylko i kilka razy w roku wojownicy zelandyjscy znoszą bolesną operację nakłuwania; dla tego też uważają ją za dowód odwagi i stałości, pogardzając jako zniewieściałymi tymi co nie śmieją się jej poddać.

Choroba której okropności nie można było dotąd przytłumić, jest *syfliczna*, którą tam osada okrętów Cooka w r. 1769 i 1770 wprowadziła. Dla zastonienia się od jej ciosow, wyspiarze przeszkadzali z surowością zbliżaniu się swych kobiet do okrętów europejskich. W skutku za-

sad religijnych równie jak dumny nie mieszkają oni nigdy razem z niewolnikami. Choroba ta odnawia się nieustannie dotychczas przez stosunki z Port-Jackson, z kąd bezpośrednio udziela się Zelandjanom.

VIII.

WIADOMOŚĆ O SZCZAWNICY W KARPATACH i o znajdujących się tamże wodach mineralnych (*).

Niezbyt dawno odkryte wody mineralne kwaśne w *Szczawnicy*, wsi w Karpatach Galicyjskich, oprócz swej skuteczności, t \acute{e} m s \acute{a} jeszcze dogodne, i \acute{z} na znaczne nie nara \acute{z} ają koszta, a nawet w miejscach na granicy kraju polskiego le \acute{z} ących, nieposiadający j \acute{e} zyków obcych, ojczystym rozmówić się tam mo \acute{z} e. Przedsiębiorcy t \acute{e} podr \acute{o} z z prowincji polskich p \acute{o} lnocnych, udawać się naprz \acute{o} d powinni do Krakowa, z kąd, zasi \acute{a} g-

(*) W nadziei uczynienia przysługi nie jednemu z prenumerat \acute{o} rw, zw \acute{l} aszcza przy zbli \acute{z} ającej się porze u \acute{z} ywania w \acute{o} d mineralnych, Redakcja wiadomoś \acute{c} powy $\acute{z$ szą z przesz \acute{l} orocznych poszyt \acute{o} w *Dzien. Wil.* wyj \acute{e} tą w pisma swoim umieszcza.

gnąwszy rady tamecznych lekarzy, z własnościami wód tych dobrze obeznanych, przejadą Wisłą w *Podgórzu*. Dwa gościeńce prowadzą do Szczawnicy, która od Krakowa o mil 16 jest odległą: pierwszy na *Wieliczkę* i *Bochnię*, ma przedstawiać widoki zachwycająca, lecz mniej jest bezpieczny, z powodu skał i przepaści; drugi, nierównie wygodniejszy, idzie na *Mogilany*, *Myślenice*, *Pcin*, *Łubień*, *S. Sebastjan*, *Zabornią*, *Klikoszowo*, *Nowy targ*, *Maniowy*, *Czorsztyn* i *Krościenko*. Położenie tych miejsc nader jest przyjemne, a w bliskości Nowegotargu i Czorsztyna ukazuje się coraz wspanialszy widok Tatrów. Rzeki, które z nich bystro płyną, a mianowicie: Rabę, Dunajec czarny i biały, z ostrożnością przebywać radzę; bo za każdym nagłym deszczem, mosty na nich bywają zniesione, a słabe płyty goralów, z kilku świerkowych belek zbite, niebezpieczną czynią przeprawę. Podróżny natenczas zatrzymany bywa na dni parę, bo nagłe wód wezbranie zalęwa gościeńce, który w wielu miejscach dla gór i skał w koryto rzeki zamienia się. Mając na celu późniejszym czasem opisać podróż od Dzwiny do Tatrów, tą razą podam, co może być pożyteczne dla tych, którzy tę podróż przedsiębiorą. Nie radzę przeto nikomu jechać do Szczawnicy własną uprzeżą i ciężkim pojazdem: bo prócz kosztu utrzymania koni na miejscu, byłoby to narażać je na kalectwo, a pojazd na zepsu-

cie. Najlepiej jest najmować w Krakowie lekkiego koczka lub bryczkę, a inny powóz pod kuchnię i rzeczy, jako też konie furmańskie, które w ręku zręcznego Krakowiaka, drugiego dnia bez wątpienia dostawią do Szczawnicy. Za przybyciem na miejsce, konie zwyczajnie odprawują się, a na powrót najmuje się w Szczawnicy, albo co lepiej jest, w pobliskim miasteczku Krościenku. Winieniem tu ostrzedz, iż za przybyciem do miasteczka tego, mieszkańcy zwykle zalecają wodę mineralną tamiczną, do picia i kąpeli. Woda ta podobna jest wprawdzie do Szczawnickiej, nie może jednak być zdrową, z powodu, iż w czasie mojej tam bytności w r. 1826, ze źródła Krościenkowskiego wydobyto znaczną ilość czystego żywego srebra: a chociaż mieszkańcy mieli podejrzenie na sąsiadów Szczawnickich, iż przez zazdrość kruszcem tego do ich wody wrzucili; jestem atoli przekonany, że kruszec merkurjalny istotnie w tamtych górach znajdować się może. Przeprawiwszy się z ostrożnością za Krościenkiem przez bystry Dunajec, nad szumiącym potokiem Szczawnickim do niego wpadającym, odkrywa się piękna dolina, z obu stron wyniosłemi ścieśniona górami. Minąwszy pierwszą wioskę *Niższą-Szczawnicę*, dalej cokolwiek leży *Miedzius*, wioska złożona z kilku chat, i dla tego tak nazwana, iż leży między *Niższą* a *Górną Szczawnicą*. Tu mieszkania są prawie najwygodniejsze; lecz że nieco odle-

głe od źródła, nie życząc przeto osobom nie mającym własnych koni tam się lokować. O ćwierć mili ztamtąd rozlega się pod górą, nad tymże samym potokiem, obszerna wieś *Górna Szczawnica*. Dom pierwszy od przyjazdu, położony na skale porfirowej, był naówczas jednym z najwygodniejszych, i najbliższym obu źródeł, do picia i kąpeli. W tej wsi znajduje się dostatekiem innych domów, chociaż mniej wygodnych, które mieszkańcy tameczni na czas kąpeli oczyszczają. W wyborze domu trzeba mieć wzgląd na jego ochędństwo: bo częstokroć bywają zabrudzone nieprzyjemnym owadem. Chałupa każda z jednej strony ma zwykle jedną światłą izbę z kominkiem i piecem, oraz mały skład na rzeczy; z drugiej zaś strony piekarnię bez komina, w której mięścić się muszą służący i kuchnia. Osoby z liczną familją zmuszone są kilka takich najmować mieszkań, a kto ma z sobą pojazd i konie, z trudnością ledwie może dla nich znaleźć miejsce. Chcąc mieć lepsze mieszkanie, trzeba je wcześniej zamówić, albo przybyć na miejsce zaraz po St. Janie. Za mieszkanie zaś płaci się na dzień po jednym ryńskim papierowym dla gospodarza, i po pięć czeskich na kościół, który zostaje bez funduszu. W to jednak liczy się i kąpiel, którą gospodarz, raz lub dwa razy obowiązany jest sporządzić, przywożąc wodę ze źródła z pod Miedziusia. Wannę zwyczajnie daje gospodarz swoją; lecz bezpieczniej jest kupić lub

kazac zrobić nową, która nad 3 lub 4 reńskie papierowe nie kosztuje. Źródło, w dolinie nad potokiem Szczawnickim niedaleko *Miedziusia* położone, zwane przez mieszkańców Szczawą, zdaje się być w rzeczy samej żyłą wody Szczawnickiej: nieco się jednak od niej różni; zawiera mniejszą ilość gazu, smak ma słonawy, i zostawia subtelny, lekki, żółtawo-rdzawego koloru osad. Ta woda jedynie rozwożoną bywa do kąpeli: ale że nie ma przykrycia, przeto często z wodą deszczową bywa zmieszana. Trzeba zaś mieć na uwadze, żeby gospodarz wodę do kąpeli każdego razu przywoził świeżą, bo kilka przywiezionych beczek wody, częstokroć trzymają aż do zupełnego ich wypotrzebowania.

Niemasz podobno nigdzie tańszego życia, jak u wód Szczawnickich: bo, nie trzymając koni, nad 3 lub cztery reńskie wydać niepodobna. Żywność jednak dla koni jest droga: korzec owsa kosztuje 4 reńskie, a mała wiązka siana 10 krajcarów. Kuchnię trzeba mieć swoją; bo chociaż od lat kilku w górnej Szczawnicy zaprowadzoną została traktjernia, jednakże zbyt niewygodna aby się stołować można. Dostarcza ona przecież niektórych żywności, jako to: mięsa wołowego, pszennego chleba, wina węgierskiego i austriackiego i t. p. Inne wiktuały przynoszą mieszkańcy z cyrkułowego miasta *Nowego Sącza* czyli *Sandecza*. Mleka, masła, jaj, niektórych włośczyzu dostarcza gospodarz u które-

go się mieszka; w dalsze zaś produkta, jako to: kawę, cukier, mąkę, kasze i t. p. bezpieczniej jest zaopatrzyć się wcześniej w jakimkolwiek inném mieście. Ryby, jako to: łososie, pstrągi drobniejsze, tam zwane brzanami, świnkami, marynkami, miejscowi rybacy tanio sprzedają. Zwierzyzny w tej porze roku dostać niepodobna.

Zródło górne, czyli woda mineralna Szczawnicka, położone jest na spadzistości wysokiej góry, a od wsi przynajmniej na 1,000 kroków odległe. Wstępowanie do źródła krętą i małą ścieżką, po gruncie gliniastym, jest przykre. W deszcz i czasy słotne, dla uniknięcia zamoczenia nóg, chorzy zmuszeni są pić wodę w domach. Pojazdem prawie niepodobna do niej się dostać; a pieszo, pod górę, zwłaszcza w czasy gorące iść niebezpieczno: przy źródle bowiem silne wiatry mogą nabawić kataru i bólu gardła. Należy się jednak spodziewać, iż rząd troskliwy o dobro publiczne, zajmie się uprzątnieniem tych niewygód.

Nad samym źródłem wody mineralnej, wystawiony jest kiosk, opatrzony ze trzech stron ławkami, dla wygody przybywających, w środku którego, o kilka gradusów niżej, znajduje się źródło, a woda do picia czerpie się szklankami do kijów przywiązanemi. W rogu tej budowy, jest druga studnia, gdzie się napełniają butelki, które zakorkowane i zasmolone pakują się do skrzyni na sprzedaż. Woda w źródle niższym

zdaje się słońszą i słabszą; w studni zaś nicco mocniejsza, więcej się burzy, jest bardziej kwaśna, a niekiedy gorzkawa: czasem smak nawet siarki czuć się w niej daje; kolor zaś wody tej sinawo-biały. Obie wszakże bywają używane stosownie do skutków, jakie na kim sprawiają.

Plac przed źródłem wazki, i niedłuzszy nad trzydzieści kroków, dla braku gruntu i równego miejsca, jest jedynie sposobny do przechadzki dla pijących wodę. Drzewka niedawno posadzone nie dają jeszcze pożądanego cienia. Z boku tego placu, nad głębokim rowem, niedawno, kosztem właściciela, postawiono domek z balkonem, w którym mieszka strażnik miejscowy i znajduje się kilka pokojów do zabawy, oraz kuchenka w której grzeje się mleko lub serwatka oweza dla tych, co za jej pomocą ogrzewają wodę mineralną. Balkon, w czasy dżdżyste służy razem za miejsce przechadzki.

Wody te (*) zwane *Szczawą*, zapewne od

(*) Rozbiór wody Szczawnickiej długo nie było. W Krakowie r. 1823, cztery funty tej wody po odparowaniu wydały masy suchej drachm 2, skrupułów 2, w których znajdowało się: soli kuchennej granów 40. — Węglanu żelaza 3. — Węglanu sody 17. — Węglanu wapna 12. — Gazu węglowego cali kub. 6.

P. Radius fizyk Lwowski miał także robić jej rozbiór, lecz żelaza wcale nie, a gazu węglowego znalazł więcej niż w powyższym rozbiórze. Rozbiór uskutecznił w Wilnie r. 1826, przez Ignacego *Fonberga*, za staraniem

wyrazu sławiańskiego, znaczącego kwas, od dawnych czasów były znajome mieszkańcom *Szcza-wnicy*, którzy jej używają za napój i do gotowania potraw, a razem cieszą się dobrem zdrowiem. Od lat siedmiu lub ośmiu zaczęły się wstawiać w stronach odleglejszych, chociaż mi powiadał szanowny doktor *Wotzelko*, przybyły tam ze Staszowa, dla ich doskonalszego rozpoznania i ratowania własnego zdrowia, iż od lat 14 wody te były mu znajome, że je uważał za bardzo skuteczne i wielu chorych niemi ratował. Nazywa on je dubeltowemi selterskimi, trzymającemi środek między wodą selterską i karlsbadzką, dla tych którym ta ostatnia jest za mocną. Skuteczne są te wody na wszelkie defekta wątroby, na hemoroidy, niektóre gatunki su-

Dra i Profesora Mianowskiego, wydał rezultat następujący: Na 1000 części wody mineralnej znajdowało się:

Czystej wody	995,000.
Kwasu węglowego w stanie rozpuszczenia	1,956.
Soli kuchennej	1,353.
Solnika potassu	0,194.
Węglanu sody	0,898.
Kredy	0,111.
Węglanu magnezji	0,032.
Gipsu ze śladem krzemionki	0,248.
Ukwaszonego ekstraktu, cząstkę wilgoci w sobie zamykającego	0,132.
Ślad ekstraktu natury żywicznej straty	0,076.

R a z e m 1000,000.

choć, na cierpienia płucowe, piersiowe i nerwowe, jako też na zatrzymanie uryny, rozpuszczając piasek czyli zwir pęcherzowy. Od przybyłych tam osób słyszałem nawet, iż za pomocą tych wód słuch odzyskały, i że są jedynym lekarstwem przeciwko wolu, a to przykładając błoto czyli muł przez tę wodę osadzony. To zaś pewna, iż tej choroby, tak powszechnej w Karpatach i okolicy Szczawnickiej, mieszkańcy tameczni nie znają.

Ponieważ w samej Szczawnicy nie masz osiadłego lekarza, dotychczas przeto nie było należytego przepisu używania wód i kąpeli. Każdy postępował w tym względzie według swego widzieli się. Najwłaściwszy jednak porządek, za mojej tam bytności, przepisany przez Doktora *Wotzelko*, jest następujący: z rana, i to na czczo, raz na dzień, potrzeba używać kąpeli z pod *Miedziusia*; wypocząwszy na łóżku, w godzinę, po lekkim śniadaniu, należy iść do źródła, jeśli pozwala pogoda, i tam po niejakiu czasie należy pić wodę, podług możliwości, co godzina, co pół godziny, lub co kwadrans, zaczynając od 4 do 10 lub szklanek, jeśli żołądek te ilości znosić będzie. Przyjmowanie wody zimnej sprawia zwykle oziębienie żołądka, wydęcie, czasem i ból gardła: wypada przeto mieć z sobą świeżą serwatkę owczą, zwaną *zetycą*; przygrzać ją i wlawszy trochę na dno szklanki, zmieszać z wodą mineralną i tłuczonym cukrem, i pić w

czasie burzenia się. Tym sposobem przygotowana woda staje się letnią, a użycie przechadzki wszelkiemu zapobiega niebezpieczeństwu. Niektórzy piją wodę tę z mlekiem, inni z winem i cukrem, a ci którzy chorym towarzyszą, mięszają ją z rumem. Z samym cukrem woda ta mocno się burzy, a umieszana z winem nabiera smaku wina szampańskiego. Używanie wody szczawniczej niejednostajne sprawia skutki: jednym bowiem żołądek rozwalnia, i na ten czas mniejszą jej ilość używać należy, innym sprawia zatwardzenie, a w ostatnim razie dodaje się do niej trochę soli karlsbadzkiej lub glauber-skiej. W początkach, przez pierwszych dni kilka, wszyscy prawie doznają bicia krwi, bólu głowy, lub zawrotu, jak od wina; powszechnym atoli skutkiem tych wód jest obfite pędzenie uryny, albo pomnożona transpiracja.

Wiele osób udaje się do źródła i po obiedzie. Zdaniem jednak lekarza, po obiedzie używanie wody może być szkodliwe, przeszkadzając dobremu trawieniu pokarmów. Użycie zaś tych éstatnich powinno być umiarkowane: strzedz się trzeba potraw tłustych, kwasów i surowizny; sam albowiem byłem świadkiem szkodliwych skutków z użycia owoców, przez osobę pijącą te wody. Jeżeli wody po obiedzie nie biorą się, należy czas ten poświęcić przechadzeć. Tym celem zbiera się razem całe towarzystwo, powiększej części złożone z obywateli krakowskich, galicyjskich i

węgierskich: a że mało jest cienia, przechadzka kończy się zwykle na przebieżeniu wsi i Szczawnickich gór, z których widok bardzo wspierała na Węgry i Tatry. Nie masz tam wprawdzie zabaw podobnych tym, jakie się w zagranicznych miejscach kąpieli znajdują; lecz te, zdaniem mojem, mniej są dla chorych potrzebne, a zbierania się wieczorne małych lecz dobrych towarzystw, nader są przyjemne. Wreszcie, za wodę nie się wcale nie płaci; chyba by kto życzył sobie pewną jej ilość zabrać z sobą.

Nie od rzeczy będzie uwiadomić osoby udające się do Szczawnicy, iż za przybyciem na miejsce, obowiązane są okazać paszport w mieście cyrkułowem, co się ułatwia przez tamecznego dozorcę lub pisarza, za małą nagrodą. Podobnież się postępuje z listami, które on na pocztę posyła. Chcąc mieć częstszą komunikację z miastem cyrkułowem Sączem czyli Sandeczem, najmuje się górala albo dziewczynę, idącą na targ dwa razy na tydzień, za 1 lub 1½ ryńskiego bankocetlami, którzy ścieżkami przez góry rychło drogę te odbywają, i razem dają zręczność łatwiejszego sprowadzania świeżych zapasów.

Niektóre osoby po wodach Szczawnickich, zwykły udawać się do wód Bardjowskich (Bartfeld) w Węgrzech położonych; w tej mierze jednak należy zasięgać rady lekarzy.

IX.

WIADOMOŚĆ O PODRÓŻACH P. RIFAUD,
*Odbywanych w rozmaitych krajach, a szczegó-
ólniej w Egipcie.*

P. Rifaud, który przez lat dwadzieścia dwa podróżował po różnych krajach ziemi, przebywał ciągle przez lat trzynaście w Egipcie. W ciągu tego czasu, poświęconego badaniom starożytności oraz historii starożytnej i nowszej, zgromadził znaczną bardzo ilość szacownych dla nauk materiałów. Liczba uskuteczniionych przez niego rysunków wynosi przeszło 6000 sztuk; zebrane wiadomości obejmują 14 tomów w rękopiśmie, a zbiory jego z wszelkiego rodzaju przedmiotów nauk przyrodzonych, starożytności, sztuk i rozmaitych osobliwości krain które zwiedził są również bardzo liczne.

Wędrownik ten przedstawiony był kilku uczonym towarzystwom, które mianowały komisarzy do rozpoznania materiałów przez niego zebranych. Akademia umiejętności, Akademia napisów i nauk pięknych, Akademia sztuk pięknych, towarzystwo jeograficzne, towarzystwo azjatyckie, z zajęciem rozbierały prace i odkrycia P. Rifaud. Każdemu z tych towarzystw ma być przedstawiony rapport. Zanim jednak takowe ogłoszone zostaną, umieścimy ten wyciąg

z przedmowy, którą P. Rifaud ma zamiar na czele dzieła swego umieścić; wyciąg ten jest rzutem oka na jego prace i podróże, i został przez niego samego udzielony wyznaczonym komisjom.

»Opuściłem Francję, mówi P. Rifaud, w r. 1805, udając się do Włoch i do tego Rzymu, kolebki tyłu osobliwości, gdzie uprawa sztuk pięknych w tak wielkiem zostaje poszanowaniu.

»Ztamtąd, udać się miałem do Hiszpanji, która zada tylko mieć drugiego Ludwika XIV, aby również chlubić się mogła podziwami wielkiego wieku.

»Zwiedziłem wyspy Balearskie i Maltę, a w 1809 przybyłem do Smyrny, z kąd udałem się do niektórych innych części państwa tureckiego, jako to Rumelji i Anatolji, krain nieszczęśliwych, gdzie pendzel malarza nie ma dla siebie żywiołu, gdzie od dawnego czasu nie zabrzmiała luttia poety, gdzie człowiek, że tak powiem zzwierzęcony przez wpływ miecza i alkoranu, martwym jest na wszelkie natchnienia gienjuszu.

»Chroniąc się w r. 1812 przed powietrzem, które pustoszyło Smyrnę, wsiałem na okręt w towarzystwie wielu innych Franków; nie uniknęliśmy wszelako tej okropnej klęski, którą na pokład nasz przynieśli z sobą żołnierze albańscy, udający się w służbę paszy Egiptu.

»Jeszcześmy nie doptynęli do Chios, a już siedmnastu z tych nieszczęśliwych rzucono w

morze. Przepływając obok tej sławnej wyspy, zostawiliśmy na niej dwóch innych bliskich zgonu. Jakaż sprzeczność przedstawia dzisiejszy stan barbarzyństwa, z uśmiechającą się epoką, w której podług twierdzenia mieszkańców tych brzegów, Homer nauczał i zachwycał ich przodków, szczytnością śpiewów swoich. Jakież rozkoszne wzruszenie powstaje w duszy na widok przysposobień na które patrzymy, a które mają na celu przywrócić cywilizację téj Grecji, której ją winni jesteśmy!

»Niedopuszczeni do Czesme, gdzieśmy wylądować mieli, udaliśmy się do Rodu, który przez waleczność Villaretów, Villiersów tak drogo Turków kosztował. Zniewoleni do przebywania w koczowisku na tej ziemi, również pustoszonej przez okropną chorobę, która na nas tym sposobem zastawiała swe sieci, obmyśliliśmy wkrótce środki udania się do Cypru i Alexandrji.

»Pośród tylu okropności, nie mogłem na Rodzie spuścić z uwagi okoliczności, którą postrzeżałem i w innych posiadłościach sułtana: chęć mówić o tej filantropji względem *rodu psiego*, jeśli tak wyrazić się można, skłaniającej niektórych wyznawców proroka do rozdawania każdego poranku błakającym się psom chleba, którego bliźnim swoim odmawiają. Widziałem nieszczęśliwą matkę z dwojga dziećmi, błagającą napróżno o cząstkę z uczty która innych biesiadników zajmowała. Pocieszano ją tylko nadzie-

ją że dostanie co w ten czas, jeśli nie wszystkie psy się zbiegną. Niestety! ukazały się wszystkie, a nędzna matka byłaby odeszła bez żadnego zasiłku, gdybyśmy jej nie byli rzucili *szeląga wdowy*, który podjęła błogosławiąc rękę co ją wsparła, kiedy stojący obok niej Turek śmiał się z naszego czynu, na który zapewne z politowaniem spoglądał.

»Było nas sześciu Europejczyków przy opuszczeniu Rodu; dwóch wysiadło na ląd w *Larnaca*, trzeci zaś P. Frederyk Catati, również dotknięty zarazą, wolał się udać do Damjetty, gdzie odzyskał zdrowie.

»Wkrótce, ostatni który pozostał z towarzyszków moich, był zagnany przyspieszyć podróż swoją, i zostawił mię samego, w tej krainie niegdyś przez Luzynjanów podbitej, na wyspie Cyprze, gdzie dostałem febry miejscem tym właściwej, której stałbym się był bez wątpienia ofiarą, gdyby nie życzliwa pomoc braci Calimeri, Pana Fourcade, konsula austriackiego i doktora Grolo; lub gdybym był dla większej jeszcze pewności nie udał się do Alexandrji, miejsca mego pierwszego pobytu, w ojczyźnie Ptolomeuszów, nad którą miałem ciągle przez lat trzynaście robić badania.

»Uniknąwszy, jak gdyby przypadkiem tylko, niebezpieczeństw które poprzedziły tę epokę, tem większy uczułem zapał w dążeniu do zamierzonego celu przedsięwzięcia mego: sądziłem, iż mogę śmiało stawić czoło nowym niebezpieczeń-

stwom; serce drżało z chęci przydania nowych materjałów do nabytych już wiadomości o tym kraju, który zasługuje jeszcze bez wątpienia na liczne badania, ale w którym, jak jestem przekonany, nikt aż dotąd nie poruszał ziemi i nie rozpatrywał się w jej szczątkach starożytnych z taką jak ja stałością.

»Guirchy w Nubji; Carnak w Tebaidzie; Medineh, Lawuara, Banquis w Fayum; Telebaste, Muquedam w Charquieh; Comlarmar nakoniec w Delta, są miejsca w których kolejnie rozbijałem namioty moje.

»Siedmdziesiąt pięknych posągów, których część zdobi już muzeum Turyńskie, odkrycie w Carnak i w Tebaidzie szczęściu pomników nie znajdujących się w wielkim katalogu Instytutu, oraz innych równie szacownych w San, małych świątyń, odosobnionych krużganków, szczątków rozmaitych pomników, zbiór znacznej ilości nowych napisów, hjeroglifów w charakterach greckich, saraceńskich i łacińskich i t. p. oto są owoce długich prac moich.

»W papierach moich znajduje się przeszło 6000 rysunków, w których widzieć można przedmioty zupełnie rozwinięte, tak ze starożytności niedawno odkrytych, jak z szczegółów do dzisiejszego Egiptu ściągających się, którego wszelkie zwyczaje zbadałem. Przebywając między krajowcami, których nauczyłem się języka i ubiór przyjąłem, mało szczegółów spuścić mogłem z uwagi.

»Nawet hygiena ich zwróciła na siebie pilną uwagę moją. Uderzony ślepotą, po cztery razy w rozmaitym czasie, szukałem bezskutecznych lekarstw w podaniach ludu tego, który ciemnota bardziej jeszcze udręcza niż nieszczęścia. Iluż tam nieszczęśliwych wzrok traci, który przez lepiej zrozumiane postępowanie odzyskać by mogli. I ja bym pewnie był został go pozbawiony, gdyby nie to, iż wiedziony jedynie przez instynkt, użyłem środków łagodzących, i gdybym był później nie wzmocnił osłabionych oczu nieco spirytusowymi kąpielami.

»Zamierzyłem dać poznać mądre urządzenia, które Pasza nowo zaprowadził w administracji swoich obszernych posiadłości; jak umiał uwolnić się od tej legji Albańczyków, którzy tak gwałtownym byli ciężarem dla poddanych jego; wspomnę o szczęśliwych ulepszeniach jakie poczynił w organizacji wojska na sposób europejski, o jego dowcipie, odpowiedziach tak zręcznych częstokroć na niewczesne pytania, jego popularności wyrachowanej celem poznania bliżej prawdy, której zdaje się szczerze wyszukiwać. Widziałem go często, a mianowicie raz kiedy przejeżdżał do Teb, których właśnie oglądałem zwaliska. Przypuszczony zostałem do złożenia mu hołdu; częstował mnie owocami które jadł, a rozmawiając ze mną, zapytywał o zebrane z pracy mojej korzyści, od czasu jak w tych skwarnych przebywałem krainach. Zdawał się słu-

Chać mnie z przyjemnością i zajęciem, i nazwał mnie *Cravaji françauvi, a obou antique* (kupecem francuzkim, ojcem starożytności). Przybywał on, z częścią orszaku swego, odwiedzić mnie w miejscu samem mych odkryć, którym z uwagą się przypatrywał.

»Obdarzony wielkim charakterem i pełen energii, władca ten zdziwiłby niezmiernie swych dworzan, którzy mniemają że mają wielkie wpływy u niego, gdyby im otwarcie wyznał jak mało ceni ich podłe pochlebstwa: tym to sposobem wyszydził on przesadzone pochwały, które mu oddawał P. Boeti, wynosząc go razu pewnego nad wszystkich zdobywców świata.

»Przytoczę niektóre wiadomości, które uważam za nowe, o Arabach Fellahach, którzy zawsze są rolnikami, tak jak było przed nastaniem obecnego rządu, których jednak los znacznie się polepszył, i których łatwo by było uczynić zupełnie szczęśliwymi. Przywiedzeni do ostateczności przez zbytnią panów swoich chciwość, widziałem tych nieszczęśliwych uniesionych nieraz pierwszym szaleństwem buntu, który oznaczają odgłosem *hiala, hiala*, rzucając w górę nieco kurzu lub piasku; nie mają w tém jednakże żadnego innego widoku, oprócz pomszczenia się za nędzę na tych co są jej sprawcami; wpadają znowu w zwykłą bezwładność swoją, i wracają pod jarzmo, które z nową cierpliwością znoszą. Ludność ta rozsądniej prowadzona, przy-

wróciłaby Egiptowi dawną jego obfitość, i uczyniłaby go znowu najpiękniejszym i najpierwszym krajem świata. Dostrzeżenia te nie są obce widokom Mehemeda Alego.

»Opiszę podróże moje po stepach; dam się w nich widzieć poufałym z Beduinami i Arabami wszelkich pokoleń zaludniających te pustynie. Naśladowałem ich obyczaje, ich ubiory, i rozmaite rodzaje ich przemysłu. Od roku 1820 wakeyana przecisnęła się między Beduinów, gdzie wprowadził ją majtek z Tryjestu, który przez dwa lata znaczny zebrał majątek. Żeglarz ten, którego okręt rozbił się przy brzegach *Bourlos*, znajdował się w najbiedniejszym stanie, kiedy się dowiedział przybywając do Alexandrji, że doktor Dusap był w ówczas w Kairze. Przypomniawszy sobie że od niego doznał niejakich dobrodziejstw w Adrjanopolu, udał się powtórnie do jego dobroci. P. Dusap, zatrudniony na ówczas z polecenia Paszy rozszerzaniem szczęśliwego odkrycia Jennera, mniemał iż nie może mu lepiej dopomódz jak wtajemniczając go w naukę szczepienia ospy, tak aby majtek sam mógł z tego ciągnąć korzyści. Wyjednał mu następnie firman, do udania się między Beduinów i pasterzy arabskich, dla rozszerzania tej wakcyny która go tak zbogaciła. Od owego czasu, kobiety nawet, w rozmaitych pokoleniach które on zwiedził, trudnią się szczepieniem i pielęgowaniem ospy, kiedy tymczasem Fellahowie, odrzucają jeszcze wszelkimi siłami nieba; jest to

nieoddzielnej ciemnoty w której lud ten jest pogrążony. Niestety! nie widzimyż tego samego dotąd jeszcze na łonie nawet cywilizacji, i ileż ofiar poświęconych bywa codziennie okropnemu przesądowi, którego nawet ciągła wytrwałość przewyciężyć jeszcze nie zdołała!

»Arabowie z pokolenia Awuasem, ci dawni mieszkańcy wyższego Egiptu, którym niegdyś władali, posuwają dziś namioty swoje ku wschodnim pustyniom od Quesneh do Syeny; są oni zamożni w bydło, a szczególnie w wielbłądy; poznamy kiedyś może przez jakie wstrząśnienia utracili potęgę swoją. Waleczni i gościnni, nie dali mi nigdy powodu do żalenia się na ich postępowanie; jak tylko zdala postrzegają obcego, idą na jego spotkanie, zapraszają aby się zbliżył, i ofiarują mu mleko i kawę, których przyjęcia odmówić im nie można, gdyżby to ich mocno zasmuciło. Przychodzień zaproszony zostawać musi z nimi przez cały czas skwaru dziennego, dopóki słońce nie zajdzie za horyzont; nie pozwalają mu wtenczas używać własnych żywności, ale musi posilać się wraz z nimi. Przyjęciem gościa w namiotach zwanych *Bet*, zajęte są pospolicie kobiety. W zamian za gościnność nie lubią przyjmować podarunków, chyba że podróżny ofiaruje je najmłodszym ich dzieciom, co im bardzo pochlebia.

»Botanika nie była również obcą badaniom moim, a zielnik który posiadam, udowodni dokła-

дноść opisów moich i ułatwi chemikom rozpoznanie przez rozbiór tego czegoś się mógł dowiedzieć o użyciu znacznej liczby roślin i ich skutkach lekarskich w niektórych przypadkach.

»Nubja, Libja, wszystko co za dni naszych przystępne jest dla podróżnych, wszystko to było przedmiotem badań moich, nie przepomniałem ani o Szeikach, ani o obłudnych Santonach, żyjących z łatwowierności ludu, zpodłonego przez najobrzydliwszy fanatyzm. Wiadomo na jakie niebezpieczeństwo naraziłby się mógł tam ktoby śmiał znieważać te święte osoby.

»Dosyć obszernie rozwodzę się nad Koptami, którzy przez mnogie posty innicmają okupywać niestychane występki, do których ich pobudza chciwość pieniędzy i władzy. Nic zresztą, com tylko widzieć mógł, nie uszło mej uwagi.

»Na tem zakończę ten rozbiór pism moich, do których Henryk Salt jeneralny konsul angielski w Alexandrji, jenerał Melkom, szanowny Banks, Lord Belmord, jenerał Minutoli, Hr. Medon, i kilku innych uczonych z którymi miałem stosunki, zachęcili mię swemi pochwałami; a jeśli, w nagrodę dwudziestoletniej uporczywej pracy, w nagrodę niestychanych utrudzeń, którem znosił z tą stałością jaką tylko prawdziwy zapał natchnąć może, pisma moje otrzymają u ziomek moich dobre przyjęcie, do którego największą przywiązuję cenę, epoki tej życia mego która mi nagrodę taką zjednała, nigdy

bez uczucia szlachetnej dumy na pamięć nie przywiodę.«

ROZMAITOŚCI

Obchód małżeński w Atenach. (Wyjątek z opisu bezimiennego autora.)— ...Znajdowałem się u rodziców narzeczonej, miano wkrótce ruszyć do mieszkania przyszłego jej małżonka. Dom miernej powierzchowności zapowiadał wszelako zamożność. Goście zalegali kamienne schody urządzone zewnątrz, a prowadzące na pierwsze piętro. Odgłos cymbałów i bębenków mięszał się z wiewatami i przygrywał obrzędowi. Nieliczni aktorowie tak dobrze oddawali swe role, iż trudnoby było zrozumieć jeden wyraz w tym chaosie i zamieszaniu. Z trudnością przecisnąłem się przez tłum aż do sali, gdzie ujrzałem nowozamężną siedzącą pośród orszaku jej przyjaciółek. Dokończano ją stroić; matka jej robiła ostatnie poprawki na ogromnej budowie która jej głowę zdobiła. Przekonana, przynajmniej dla siebie, o marnościach świata tego, całą zalotność swoją w ubiorze młodej swój pani mieściła: radość błyszczała w jej oczach za przydaniem każdej nowej ozdoby do dziwaczного tego stroju; a niekiedy klękała przed ukształtowanym swemi rękami wzorem, i w rozśmieszającym uniesieniu, oczekiwała pochwał obecnych gości. Po

wierzchowność młodej małżonki była jeszcze komiczniejsza: miała ona lat ośmnaście, rysy twarzy zimno regularne i wyraz zamyślenia. Oczy jej były czarne i małe; ale mniemano iż je powiększą i więcej im nadadzą charakteru, przedłużając oba końce jej powiek, i powłócząc rzęsy czarnym kolorem. Jej naturalna cera znikła pod warstwą białej i różowej farby, a trzypiętrowe ubranie głowy dźwigało amfiteatr z kwiatów, papieru złotanego, nawłóczonych na sznurki cekinów i t. p. Ubiór ten ma oznaczać posag małżonki. — Po skończeniu toalety, zaczął między zgromadzeniem krążyć półmisek przeznaczony na zbieranie dla niej składek od biesiadników, które ona do rąk odbiera. Z zachodem słońca, całe zgromadzenie zaczęło się poruszać. Zaledwie nowozameżna przyciśniona ogromnym rusztowaniem które na jej głowie zbudowano, i utrzymywana pod rękę przez dwie z swych towarzyszek, ukazała się w górzeschodów, zaśpiewano epitalamjum, czyli rodzaj dialogu, nóczonego głosem nosowym, przy towarzyszeniu najdziwniejszych gości. Przed zstępującą ze schodów bohaterką obrzędu, szło dziecię niosące podniesione w górę zwierciadło, aby mogła mieć rokosz przypatrywania się powabom swoim. Uważałem iż bardzo mało korzystała z tej pobudki do zalotności; zdawała się tylko być uciążoną niekształtnym swym ubiorem. W czasie postępowania orszaku, tak porządnie uszykowanego,

jak tylko pozwalała ciasność ulic które przebywano i huczna biesiadników radość, rzucano przed idącymi kwiaty, a z odgłosem instrumentów łączyły się pełne nadętości wynurzenia zwyczajnych w takich zdarzeniach życzeń, których podanie długą zachowało litanję. Orszak, poprzedzony pochodniami, przybył po wielu zboczeniach z drogi, do domu małżonka.

Domowy despotyzm dawnych Greków, docho-
wuje się jeszcze pomiędzy ich potomkami. Su-
rowe prawa *gynecców* przeżyły obyczaje i reli-
gje które je ustanowiły. Wchodząc na dziedzi-
niec domu tego, zdziwiony zostałem widząc za-
miast spodziewanych oznaków radości i hucznych
życzeń, jakąś martwość i nieruchawość, której-
bym między siedmdziesięcioletnimi metafizyka-
mi nie znalazł. Pan młody, brązowej cery,
którego wiek zdradzało nieco marszczek, siedział
pod cieniem wiązów i kasztanów. Rozmyślałże
o sonecie na pochwałę wdzięków swej przyszłej,
lub o jakiej teatralnej scenie na którą wprzód
przygotować się trzeba było? Nie, był on w zachwy-
ceni u pod brzytwą balwierza swego, a przyjacie-
le jego chwalili na wyścigi biegłość artysty. Po
skończeniu operacji i namaszczeniu pana mło-
dego wodą różaną od stóp aż do głowy, zbiera-
no pomiędzy zgromadzeniem takąż samą składkę
jak dla oblubienicy jego; wszystko odbywało się
z oziębłością, i nie ujrzałem najlżejszego uśmiechu
na ustach młodzieży weselnój. Nowozamężna

która w czasie tych przygotowań, zostawała wraz z towarzyszkami w jednym zakątku dziedzińca, z przykładną bardzo cierpliwością, widząc swego małżonka i pana gotowego na jej przyjęcie, powstała z siedzenia swego i postąpiła ku domowi małżonka: poruszenie to żadnego na nim nie uczyniło wrażenia; nie raczył jej nawet powitać, i zachował ciągle niezachwianą obojętność, dopóki orszak niewiast nie przebył progu mieszkania. W krótko (nie zrozumiałem wcale tej sceny) wybiegł z pośród tłumu co go dotąd przed wzrokiem oblubienicy zastał, a kiedy na nowo zaczęto śpiewy weselne, wszedł do domu, zostawiwszy nóż swój we drzwiach.

Wszedłszy do sali z resztą towarzystwa, bardzo byłem zgorszony widząc małżonkę siedzącą o trzy piędź niżej od męża, na krześle które dla obojgu było przeznaczone. Krewni i przyjaciele zasiedli obok nich, i przez kilka minut ogólne panowało milczenie. Małżonek nadymał się i puszył; ona zaś zdawała się być pokorną i zadowoloną swym stanem; w jej rysach wszelako nie było widać żadnego wyrazu szczęścia: co do osób składających towarzystwo weselne, każdy zamiast zajmować się nowożeńcami lub im zazdrościć, zdawał się raczej wieszować sobie, iż się w ich miejscu nie znajdował. Tymczasem miano rozpocząć obrzęd religijny, kiedy spojrzenie przyjaciela mego oznajmiło mi że wypadało abym wyszedł. Widząc że i inni goście

wynosili się kolejnie, po złożeniu owych powin-szowań, wyszedłem za nimi, i ujrzałem się pośród tłumu który na otwartém powietrzu napełniał dziedziniec wrzaskami swemi.

Odkrycie szczeki skamieniałej największego ze zwierząt znanych. — Na jednym z przeszłoro-cznych posiedzeń Akademij umiejętności w Pa-ryżu, Radea Stanu Cuvier przedstawił rysunek nadesłany mu przez P. Schleier — Macher, dy-rektora w hrabstwie Darnestad, wyobrażający szczekę ogromnego i nieznanego zwierza. Znaj-dowano już nieraz dawniej zęby dosyć podobne do tych jakie są w owej szczecie. Zęby te, kwadratowe i z dwoma prostopadłemi wzniosło-ściami, podobnie jak u tapira, doprowadziły na przypuszczenie przedpotowego istnienia olbrzy-miego rodzaju tych zwierząt. Odkrycie P. Schle-ier — Macher wywiedzie z błędu naturalistów. Zwierz którego on znalazł tak szacowne szcząt-ki należał do rodzaju nowego, a wymiary jego były istotnie nadzwyczajne. Przypuszczając w istocie iż ciało jego było tak małej objętości względem głowy jak u hippotama (u którego ze wszystkich czworonożnych zwierząt najmniejsza jest proporcja głowy do całego ciała) długość jego całkowita wynosiłaby stóp 19. Aż dotąd znany najogromniejszy zwierz czworonożny był olbrzymi leniwiec *Megalonix*, który jednak tylko 12 stóp miał długości.

Szczeka o której mówimy, znaleziona została w Eppenheim, kantonie Arrey, na prawym brzegu Renu w kraju Barmstadt.

Rysunek przesłany P. Cuvier jest wykonany w czwartej części wielkości naturalnej. P. Cuvier kazał go przerysować w wielkości naturalnej.

Harem maurytański w Kabot na przeciwko Sale (w Ces: Marokańskim).— Harem ten leży nad morzem na skale, równie jak i letnie mieszkanie sułtana, i podobny jest raczej do psiarni, aniżeli do miejsca przez damy zamieszkanego. Pokoiki kobiet mają tylko po 8 stóp długości, a 6 st. szerokości. Co wieczór zamyka drzwi czarny eunuch na żelazne rygle, i otwiera je znowu rano. Na środku dziedzińca znajduje się wodostryk, z którego wodę prowadzą do wielkiej sali. Tam w ogromnej kamiennej miednicy umywają się z rana, kąpią i ubierają uroczyście piękności Haremu.

Palące się pola.— W Azji znajdują się podobnie jak we Włoszech *Campi Phlegraei*. Niedaleko od Ouirnisti, miasta u stóp gór czerwonych w małej Bucharji leżącego, znajduje się pole mające 100 Li obwołu (*). Pole to okryte jest

(*) Li, jest taka odległość z której jeszcze słyszeć można głos ludzki.

lekkim popiołem; rzuciwszy tam kawałek drzewa, ukazują się natychmiast płomienie i drzewo pali się bardzo szybko. Rzuciwszy zaś kamień, powstaje w tēm miejscu dym czarniawy. W zimie nigdy tam śniegu nie widać; a ptaki nie odważają się tamtędy przelatywać. Miejsce to nazywają mieszkańcy *Palacem się Polem*.

Rzeka Kara-Suh.— Jest to bez wątpienia *Choaspes* starożytnych, przeto sławny iż dostarczał wody, której tylko persey królowie używali. Zwyczaj ten zachowali tak ściśle, iż nawet wybierając się na najdalsze wyprawy, wodę tę brali z sobą. I tak Herodot świadczy: iż Cyrus przeciw Babilonowi miał z sobą na wozach wodę z Choaspesu w srebrnych naczyniach zachowaną. Milton żartuje z tego, ale popełnia błąd lub dopuszcza się samowolności poetyckiej, utrzymując, że tylko za napój dla królów służyła, zamiast, iż królowie tę tylko wodę pili; i godnem jest uwagi, iż kiedy wszyscy mieszkańcy Kermanszahu z *Aub-Dedungu*, gdzieśmy konie poili, i że źródła Aubi-i-Hassan-Khan wodę pili, syn królewski i harem jego, miał wodę z rzeki *Kara-Suh*. Kosztowaliśmy jej razu pewnego: była tak smaczna, iż musi być przyjemną nawet rozpieszczoneму gardłu szachów.

(Z podr. *Buchinghama do Azji*.)

List pewnego Anglika o podróży P. Caille. — Z Londynu 1828. Dziwią się powszechnie, dla czego dzienniki paryzkie umieszczają tak mało szczegółów, i to szczegółów nie wiele zajmujących o podróży P. Caille do Tombuktu. Samo nawet towarzystwo jeograficzne, na posiedzeniu publiczném, przestało na pochwaleniu odwagi wędrownika, na powinszowaniu mu pomyślnego skutku podróży, i zawiadomieniu o jej kierunku; ale na tém wszystko skończono. W braku zatem więcej zajmujących wiadomości, udzielę ci o ziomku twoim niektórych ciekawych szczegółów, które nam nadesłane zostały przez korespondenta angielskiego w Paryżu. Będziesz je czytał jak się spodziewam z przyjemnością. Zabawnie to jest, że ja ci donoszę o tém, co się dzieje w twoim własnym kraju, i uwiadamiam o rzeczach, które mogą pochwlebiać miłości własnej narodu waszego, albo wpływać na pochwałę waszą. Oto jest co mi donosi nasz korespondent.

»P. Caillé przedstawia uderzającą niezmiernie sprzeczność z wielu innymi wędrownikami, postępowanie bowiem jego jest proste i bezinteresowne. Urodzony w Roszelli, użyty on był przy brzegach Afryki jako kommissant kupiecki, kiedy powziął zamiar odbycia podróży, za którą towarzystwo jeograficzne wyznaczyło nagrodę. Zaczął się uczyć po arabsku, i zasięgał jak najściślejszych wiadomości o rządzie i obyczajach

ludów które chciał zwiedzić. Dowiedział się, że tylko pod względem religijnym były one dzikimi. Fanatyczni ci muzułmanie uważają za swój obowiązek nawracać do islamizmu każdego cudzoziemca, któryby przez przypadek wpadł w ich ręce; a w razie niedopiecia zamiaru bez miłosierdzia go zabijają.

»P. Caillé ruszył z nad brzegów Afryki i zagłębił się w jej środkowe kraje, wioząc z sobą mały ładunek towarów. Przybrał on ubiór krajowy, i kiedy już daleko był od osad europejskich, zaczął wyznawać islamizm; pragnąc bowiem koniecznie dopiąć celu zamierzonego, nie wahał się nad przyjęciem i stroju i zwyczajów mahometańskich. Dla zjednania sobie większej ufności, opowiadał on następujące szczegóły Afrykanom: Miał się urodzić w Egipcie, i w młodym wieku uwieziony został z armją Bonapartego; Francuzi zawiedli go do Europy, i nie dozwolili wyznawać religji ojców, a nawet zapomnieli języka ojczystego. Okoliczność tę przydawał dla usprawiedliwienia niebięgłości swojej w języku arabskim. Mówił następnie, że pan jego, bogaty kupiec francuzki, wziął go z sobą na brzegi Afryki, i że tam dopiero znalazł sposobność do ucieczki. Największą jednak zawsze miał obawę aby niepopaść w ręce niewiernych, i dla tego postanowił przebyć środkową Afrykę, aby się dostać do Egiptu.

»Powieść ta zwykle pożądaną sprawiła skutek; ale rozbójnicy zabierali się niekiedy do małego ładunku jego. W ówczas otwierał on koran i zaczynał odczytywać który rozdział téj świętej księgi; uważano go więc za świątobliwego człowieka, i nieważono się łupić jego własności. Krótko mówiąc, przezwyciężył on niezliczone trudności, wycierpiał długą i niebezpieczną chorobę, i nakoniec przybył do Tombuktu pełen najżywszej radości. Wiedząc jak przesadzone były wieści o tém tajemniczém mieście, nie zdziwił się bynajmniej, znalazłszy w niem około 12,000 ludności. Domy wszystkie składały się tylko z dolnego pomieszkania, na wzniesieniu wystawionego. Mieszkańcy składają się z dwóch rodów, Maurów i Murzynów: pierwsi są oświeceni jak ostatni. Uderzył ich naprzód mocno widok człowieka białego; widząc go jednak czytającego koran, zbliżyli się i okazali mu wiele względów,

»P. Caille pisał notatki swoje pomiędzy wierszami exemplarza koranu którego używał: ale te białe przestrzenie wkrótce się zapełniły; w ówczas zaczął pisać na kawałkach papieru, które kładł między karty swej księgi. Postrzeżono go czasem piszącego, i w ówczas wszyscy obecni najmocniejsze okazywali zadziwienie.

»W środku Afryki lud jest mało ucywilizowany, i niedokładne tylko ma wyobrażenie o krajach i narodach obcych. Mniemają tam, że

w odległych krainach znajdują się potężni czarownicy, sprzymierzeni z djabłem, co im nadaje moc odkrywania ukrytych skarbów, nade wszystko w okolicach Tombuktu, gdzie takowych, jak oni utrzymują, ma się wiele znajdować; dla tego każdy cudzoziemiec jest w ich oczach czarownikiem, przybywającym dla wykradania im skarbów. Podług ich rozumienia koranu, jest to uczynkiem chwalebny zabić każdego niewiernego, który się nie chce nawrócić. Oto są przyczyny niebezpieczeństwa, na jakie był narażony P. Caille w Tombuktu.

»Zapewnia on, iż okolice tego sławnego miasta są niezmiernie nieurodzajne. Woda jest przedmiotem pierwszej potrzeby w klimacie tak gorącym, a przecież miasto leży o 5 mil od rzeki. P. Caille mniema, iż Tombuktu może być uważane jedynie jako miasto składowe. Nie wątpi on, iż gdyby handel miał upaść w tej części świata, lub gdyby karawany zmieniły drogę, Tombuktu wkrótce by upadło, ponieważ mieszkańcy oddalili by się na brzegi rzeki. W mieście tém znajduje się tylko woda deszczowa, którą zachowują w cyternach, a która ma smak najniegodziwszy. Zamiast drzewa do opał, używają gnoju wielbłądziego. W przechadzkach swoich około miasta, P. Caille ściągał na siebie ciekawość niektórych zamożnych kupców, i wkrótce odkrył, z pytań jakie mu zadawano, pobudki tej obawy, jaką obecność jego sprawia-

ła. Miano o nim podejrzenie że jest ajentem kupców nadbrzeżnych, i że dla tego tylko przybył, aby poznać stan czynności hadlowych Tombuktu.

»Podróżny nasz powziął także niejaki wiadomości o nieszczęśliwym majorze Laingu. Podług twierdzenia mieszkańców Tombuktu, major był najpiérwszym białym człowiekiem, jakiego w tém mieście widziano. Zabawiwszy tam przez miesiąc, opuścił Tombuktu, wracając na brzegi Afryki, ale w drodze umarł. Co do rodzaju śmierci jego, nie udzielono Panu Caillé żadnego objaśnienia. Później dopiero dowiedział on się, iż oddaliwszy się około 48 lieu od Tombuktu, P. Laing został nagle obskoczony przez bandę muzulmanów, którzy go zmusili do odmówienia modlitwy na cześć proroka; kiedy zaś major nie chciał tego uczynić, porznięto kawał materji na wazkie pasy, pozszywano je i tak nieszczęśliwego wędrownika uduszono. Zdaje się, iż P. Caillé zebrał te szczegóły w tém samym miejscu gdzie zbrodnia popełnioną została.

»P. Caillé przepędził miesiąc blisko czasu w Tombuktu. Bussola, jedyne narzędzie jakie mu pozostało, służyło mu za przewodnika w jego wycieczkach, i nawet dopomogło mu do ułożenia mapy swojej podróży, którą odrysował na kartach koranu. Gdyby rysunki te odkryto, wziętoby je bez wątpienia za znaki magicznych

operacji, i byłby niezawodnie śmiercią ukarany, albo zatrzymany przez resztę życia.

»W jedném wielkiém mieście niedaleko od Tombuktu, P. Caillé widział ajentów rządu który pobiera podatki od wartości sprzedawanych w kraju towarów. Podróżny widział także rzekę, która podobnie jak Nil, zalewa i uziuznia swe brzegi.

»Powrót P. Caillé niemniej jest ciekawy jak reszta podróży jego. Ładunek który miał z sobą, stał się w końcu bardzo szczupłym. Przebył on pustynie na wielbłądzie, i wiadomo, że przybył do konsula francuzkiego w Tangerze, pod postacią ubogiego derwisza. Oto są główne szczegóły, jakie mogłem zebrać z kilku rozmów, które z nim miałem, lub jakie słyszałem go udzielającego ciekawym, którzy zapytywali go czasem nawet aż do natręctwa. Wszystkie odpowiedzi jego oznaczają człowieka obdarzonego znakomitym rozsądkiem, i dalekiego od szarlatanerji tylu innym podróżnym właściwej. Zajęty jest teraz opisem podróży swojej, który jak się spodziewają powszechnie, udzielony będzie publiczności w całej prostocie pierwszej redakcji swojej.

(*Universel.*)

GAZETA PODRÓŻY I JEOGRAFJI.

ROSSJA. Wkrótce otworzoną będzie w Odessie szkoła języków wschodnich.

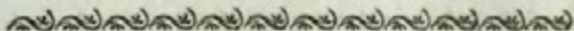
— W obwodzie Tomskim w Syberji znaleziono w 30 miejscach ślady złota.

— Na tegorocznem posiedzeniu komitetu górniczego w dniu 12 kwietnia, naczelny dyrektor hutnictwa P. Mensch, mówił między innemi o zasługach Wenera i Alex. Humboldta w geognozji; z tego powodu zawiadomił towarzystwo, że P. Humboldt w przeciągu bieżącego miesiąca przybędzie do Petersburga, i że z nim w towarzystwie Berlińskiego profesora Rose, zwiedzi Ural aż do Tobolska, we względzie geognostycznym. Górnik naczelny Sobolewski uwiadomił towarzystwo w piśmie swoim o platynie, że teraz w Rossji nierównie więcej dobywają tego metalu, nizeli we wszystkich dawniejszych osadach Hiszpańskich w Ameryce.

ANGLJA. Podług doniesień z przyłodka Dobrej Nadziei, przed rokiem pisanych, potwierdza się wiadomość o zamordowaniu króla Szakka. Zamordowali go bracia jego Dingaan i Unslangaan, a zwłoki rzucili wilkom do pożarcia. Trzeci brat Unguati ogłosił się niepodległym, ale zginął z 2,000 wojska, pobity od brata Dingaana.

— Donoszą z Madagaskaru, że wyspa ta znajdowała się na początku r. b. w smutnym stanie; od śmierci ostatniego króla Radama, wszystko otrętwiało, nawet szkoły podupadły. Między sądownictwem i wojskiem panuje zawiść. Królowa wydaje okrutne rozporządzenia.

PRUSSY. Spodziewany w Warszawie uczony Alexander Humboldt, przeprowiwszy się przez Haf, udać się miał w podróż do Rossji Przez Kłajpedę.



K O T U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.
N^{er} 34.

Z DRUGIEJ POŁOWY MAJA 1829 ROKU.

X.
WIADOMOŚĆ O OBECNYM STANIE TRYPO-
LI W BARBARJI.

(Wyciąg z London Magazine.)

Od lat kilku, miasto Tripoli zajęło szczególnie u-
wagę podróżnych, jako służące za punkt wyruszenia
dla zwiedzających Afrykę środkową, i dostarczające
najłatwiejszych sposobów komunikowania się z
temi tak jeszcze mało znanymi okolicami. Isto-
tnie, położenie tego miasta jest przyjazniejsze,
niż któregokolwiek innego na brzegach Afryki. Zda-
je się także, że stan towarzyski mieszkańców wy-
żej się nosował, a rząd utrzymuje się tam na

pewniejszych i stalszych zasadach, niż w innych krajach barbarzyjskich. Podczas, kiedy Algier, zawsze pierwszy do pogwałcenia prawa ludzkości i wiary przymierzów, ponawia swoje łupieztwa, kiedy nawet państwo Marokańskie, ośmielone jego przykładem, usiłuje wznowić swoje rozboje, i kiedy Tunis utrzymuje uzbrojonych korsarzy, czekając, rychło się nastroczy przyjazna dla jego widoków sposobność, bej trypolitański zaniechał, zdaje się, dawnego zwyczaju rozbijania na morzach. Konsulowie i kupcy różnych narodów zamieszkują w stolicy: handel ich doznaje opieki, a własność bezpieczeństwa. Zgoła, Tripoli, ze wszystkich części Barbarji, wzniosło się teraz na najwyższy stopień uobyczajenia.

Do rezważania tego przedmiotu, przywiódło nas czytanie bardzo ciekawego pamiętnika, o handlu, przemyśle, towarzyskim stanie tego kraju i o stosunkach z okolicami nowo odkrytymi wewnątrz, napisanego przez konsula szwedzkiego w Tripoli, P. Graberg de Hemsoe, a drukowanego niedawno w dzienniku włoskim. Sądzimy, że krótki rys jego, sprawi przyjemność naszym czytelnikom.

Upłynęło już teraz lat sto przeszło, jak rządy Trypolitańskie sprawowane są dziedzicznie przez dynastję Karamaulów. P. Graberg mówi korzystnie o dzisiejszym beju, Sidi Jussuf. Odznacza się on od wszystkich innych książąt afrykańskich przez swoje umiarkowanie, przez trafny wybór

ministrów i przez zasady rzadko gwałtownej sprawiedliwości. Jeżeli go uwiodą czasem rady jakiego chytrego dworaka, zawsze ma skłonne ucho do przyjmowania przełożeń i zawsze słucha głosu przekonania. Od ostatniego to szczególnie powszechnego pokoju i od stanowczego zniesienia niewoli chrześcijan, uskutecznił przez lorda Exmouth, a które to zastrzeżenie ściśle od-
tąd wykonywane było przez usilne starania konsula jeneralnego angielskiego P. Waringtona, uważać należy początek postępów cywilizacji w Tripoli. Ten ostatni, mówi z bezstronnością P. Graberg, miał największy wpływ na obyczaję tego ludu. Przed nim, nie zawsze mógł chrześcijanin być bezpiecznym za bramami miasta; a teraz Europejczyk bez opieki, może przebywać spokojnie prawie wszystkie obwody tego obszernego kraju. Mieszkańcy Trypolitańscy zaczynają oceniać korzyści pokoju, sztuk i handlu; pozbywają się powoli dawnych nałogów dzikich i łupieżczych: przestali już być niewolnikami wyuzdanego żołnierstwa. Wszystko to jest lepszą rękojmią ich dobrego w przyszłości postępowania, niż szczęśliwy traf, któremu winni są sprawiedliwego i przyjaznego dla cudzoziemców monarchę. Ale mówiąc o cywilizacji i swobodach, nie powinniśmy zapominać, że mówimy zarazem o państwie barbarzyjskim, i że nie należy wymagać wiele od jego mieszkańców. Źródła kraju są wielkie, ale zaniedbane przez ich

niedołężność. Zupełny niedostatek wiadomości handlowych i ekonomicznych w rządzie, monopola przyznawane żydom i innym, którzy sami trudnią się handlem pewnych artykułów, wyłączna sprzedaż przedmiotów którą bej sobie zachował, zgubny wpływ jaki na handel wywiera; liczne zawady, które go krępują; opłaty od wywozu i plantacji; wszystko to stawa na przeszkodzie rozwijaniu się przemysłu. Przyrodzoność łupieztwa Beduinów z okolic środkowych i brak kapitałów dający się czuć w krainach, gdzie ludzie lękają się jeszcze pokazywać swoje bogactwa, i wolą zagrzebywać swe złoto, niż puszczać go w obieg korzystnie, nie pozwalają stanąć rolnictwu na wyższej stopie udoskonalenia. Rolnicy, którzy przywożą swoje płody do bazaru, dopuszczali się w ostatnich latach kradzieży i oszustwa, jak np. mięszali wodę z oliwą, kładli kamienie do skrzyń wełną napakowanych etc. Podobne oszukaństwa nie były dawniej znane, a nawet teraz, handel śródziemny między Trypoli i środkowymi krajami odbywa się z dobrą wiarą. Przytomne są jeszcze, mówi P. Graber, pamięci wszystkich ludzi, te czasy, w których poczciwość i otwartość muzułmanów w stosunkach handlowych, zamieniły się w przysłówie. Te przymioty nie są jeszcze całkiem w nich zatarte, chociaż nie rozwijają ich w stosunkach z chrześcijanami. Ich przyrodzona niewiadomość i uszanowanie dla moralnych zasad

koranu, utrzymywały ich długi czas w uczeiwości, a częstokroć wystawiały ich na zasadzki chytrych Europejczyków.

Jedyne rękodzieła kraju składają się z wielkich kobierców, z barakanów albo płaszczy, z safjanu czerwonego i złotego; safjan zaś zielono-błękitny jest wyłącznie wyrabiany w prowincji Tafilet, należącej do państwa Marokańskiego. Wyprawiają tym sposobem w Tripoli corocznie około pięciu tysięcy skór koźlich. Fabrykacja potażu jest wyłącznym prawem beja, niemniej wywóz soli, której, mówi P. Graberg, taka jest obfitość, że mogłaby w potrzebie całej Europie wystarczyć. Wenecjanie, w czasach Rzeczypospolitej, zakupili byli przywilej wywożenia soli; płacili za to rocznie sumnę wynoszącą tysiąc cekinów; zaopatrywali oni solą brzegi Zoary. Inne przedmioty wywozu, są wełna, skóry, oliwa, masło solone, jęczmień, daktyle, szafran, воск i marzanna. Wyprowadzają także konie i bydło; tem ostatniem zaopatrują szczególniej Maltę. Wszystkie te gałęzie handlu przyjsćby mogły do znacznego wzrostu, gdyby mieszkańcy chcieli starannie uprawiać swoje grunta i pomagać naturze; ale oni tak są niedbali, że prawie wszystkie artykuły płodów zostały znikczemnione, a w skutku tego, zmniejszyło się ich żądanie, chociaż ceny są bardzo niskie: ich wełna jest nieczysta i pomieszana z piaskiem; oliwy, która jest wyborną, małą mają ilość, chociaż plantacje oliwne

mogłyby być do nieskończoności rozmnożone; dobroć szafranu, który posiadają w najlepszym gatunku, psują przez przymieszanie mąki i innych różnorodnych płodów. Morwy przedstawiają tam najpiękniejszy widok, a jednakże jedwabniki nigdy tam nie były zaprowadzone.

Z daktylów wyciskają likwor zwany *lugbee*, który z początku ma miły i łagodny zapach, ale w krotce fermentuje i staje się mocniejszym od wódki. Ten *lugbee* mylnie był wzięty przez Hornmana i przez jego komentatora Langles za samoż nazwisko drzewa: ten ostatni oddał się nieużytecznym poszukiwaniom dla znalezienia rośliny, której byt przypuszczano. W Tripoli używają samych daktylów do dystylowania pewnego rodzaju wódki. Jakiś dom żydowski posiada wyłączne prawo tej dystylacji, niemniej sprzedaży win i mocnych napojów, za co płaci bejowi roczną summe, 20,000 dollarów wynoszącą.

P. Graberg daje szczegółowy obraz wywozu i dowozu rocznego towarów z trzech głównych portów państwa, Tripoli, Benkhazzi i Derna. Wywóz, dochodzi wartości 449,000 dollarów, a dowóz 524,790. Handel ten odbywa się szczególnie przez okręty francuzkie i włoskie. Mieszkańcy mają jedynie statki o trzydziestu lub mniej beczkach, na których odbywają małe żeglugi wzdłuż brzegów Tunis i Egiptu. Od powstania Greków, handel ten prawie zupełnie u-

padł: z téjże samćj przyczyny handel Dorny najwięcej ucierpiał. Bój i jego ministrowie posiadają cztery lub pięć brygów i galjot. Zysk ze sprzedaży towarów europejskich, szczególnie przedmiotów rękodzielniczych krajom gorącym przyswojonych, przynosi pospolicie sześćdziesiąt od sta; ale powinniśmy i na to uważać, że często miesiące a nawet całe lata upływają, nim zapłata zostanie zupełnie uiszczona. Mało kupujących płaci gotowizną a rząd nigdy. Wszakże, ten ostatni pospolicie najwięcej kupuje towarów, a płaci obligacjami zwanemi *tezkeret*, wydawanymi z dalekimi terminami na rządów i poborców w prowincjach nadbrzeżnych, opłacających wartość w płodach ich właściwych obwodów, jakimi są oliwa, sól, jęczmień bydło i t. p.

Handel z środkowemi krajami, jest jeszcze bardzo ważną gałęzią przemysłu Tripolitańskiego, gdyż miasto to mieści w sobie największe składy towarów Europejskich dla odległych krajów środkowej Afryki przeznaczonych. Karawany przybywają z Tripoli do Maurzouk, stolicy królestwa hołdowniczego Fezzan, gdzie się znajduje wielki targ, bardzo uczęszczany w miesiącach grudniu i styczniu. Tam zamieniają towary na te, które przywiezione zostały przez karawany z Burna, Sakkatu, Hussa, Kashna i Tombuktu. Droga, którą te karawany przybywają do tego ostatniego miasta, przechodzi przez Ghadames, inną hołdowniczą państwa Tripoli-

tańskiego prowincję przez trzech szejków rządzoną. Mniemają, że mieszkańcy Ghadames są pierwotnym pokoleniem; mówią językiem szczególnym, który nazywają A'Dems, i całkiem się różnią od Arabów, którzy ich otaczają, a z którymi ciągłą prawie toczą wojnę.

Kupcy z Fezzan i Ghadames przybywają w miesiącach lutym i marcu do Tripoli, gdzie biorą na kredyt towary, których potrzebują do środkowych krajów, skąd powracają w przeciagu roku lub później i płacą rzetelnie proszkiem złotym i innymi rzeczami. Zyski z tego zamienne go handlu są niezmierne. Przedmioty, które najkorzystniej zbywają wewnątrz Afryki, są szpady, pistolety i fuzję, szkła kolorowe weneckie, których niezliczoną ilość przywożą, wielkie kołnierze z Francji i Włoch, bławaty, fajans, mosiądz z Lewantu, bawełniane materje drukowane i muśliny w pasy, papier do pisania z Genui i Liworno, korale, zwierciadła, brzytwy, pachnidła i korzenie; w zamian biorą proszek złoty, szczególnie z Tombuktu, wynoszący rocznie do 1,500 uncji, oprócz haraczu z Fezzan, który wynosi blisko 400 uncji, piór strusich, kości słońcowej, senesu, ałunu czerwonego, pięknej bawełny, daktyłów fezzańskich, saletry, a nakoniec niewolników czarnych. Blisko 2000 tych nieszczęśliwych, zabranych przez Muzułmanów z wnętrza kraju w czasie ich *grazzies*, albo łupieżczych wędrówek, prowadzą każdego roku

do Tripoli, z kąd większą część wywożą do Egiptu i Turcji; niektórzy tylko z nich zostają w Tripoli na usługę mieszkańców, którzy w ogólności ludzko się z nimi obchodzą. Chrześcijanie mieszkający w Tunis nie mogą ani kupować ani najmować niewolników. Oto jest cena niewolników czarnych na targu w Tripoli: mężczyzna dorosły, 90 do 100 dollarów; chłopiec od 10 do 18 lat, 70 do 80 dol. dziecko nie mające lat 10. od 40 do 50 dol., kobieta 120 do 150 dol. w miarę swojej piękności; młoda dziewczyna 90 do 100 dol; eunuch 650 do 700 dol.

Nie jest podobno powszechnie wiadomem, że handel czarnymi, chociaż zakazany na Atlantyku, odbywa się tak bezkarnie na morzu śródziemnem. Liczba niewolników prowadzonych corocznie do Tripoli, była przedtem nierównie znaczniejszą; statki Tripolitańskie przewoziły ich mnóstwo do Egiptu, do Tunis, do Lewantu: ale od czasu usainowolnienia Hellenów, handlujący niewolnikami nie śmia się narażać na niebezpieczeństwa pod swoją własną banderą, i przez statki to *chrześcijańskie* i pod *chrześcijańską banderą*, mówi P. Graberg, ten handel się odbywa. Przy pływa także do Tripoli kilka statków od brzegu Albanji, pod banderą ottomańską; przywożą ładunki drzewa do budowli, które zamieniają za murzynki; te ostatnie są przewożone do Turcji i Konstantynopolu, i z wielkim zyskiem przedawane. Czytaliśmy niedawno

edykt cesarza austriackiego zakazujący swoim poddanym włoskim handlu niewolnikami: ale obawiamy się ręczyć czyli inne państwa włoskie będą chciały ten przykład naśladować.

Inna gałęź wewnętrznego handlu Afryki jest w rękach mieszkańców Augela, miasta państwa Tripolitańskiego. Od lat kilku weszli oni w bezpośrednie stosunki z państwami Bornu i Bakherm, nie omijając Tripoli i Fezzanu. Towary które tym sposobem dostają się do Augeli, są przesyłane wprost do Egiptu przez puszcę libijską.

Wielka karawana pielgrzymów i kupców z Maroku do Mekki, która zwykła była przejeżdżać corocznie przez Tripoli, zdaje się, że zupełnie czynną być przestała. P. Graberg widział tylko jedne w roku 1824, składającą się z około 3,000 mężczyzn, kilkuset kobiet i dzieci, oraz 2,000 wielbłądów; zostawała ona pod rozkazami emira. Z miasta Fez przejechawszy królestwa Algier i Tunis, przybyła pod mury Tripoli, gdzie się przez miesiąc zatrzymała, a następnie konczyła swoje drogę, przez puszcę Barca do Alexandrii, Kairu i Mekki. Większa część pielgrzymów udaje się teraz wodą do Alexandrii, na pokładzie okrętów chrześcijańskich. Bej Tripolitański nie pozwala swoim poddanym odbywać tej wędrówki. Znajdują się w mieście Tripoli dwa bazyry dobrze zbudowane i utrzymywane w dobrym stanie. Co środą odbywa się tam targ przed bramą od strony lądu; inny zaś co sobota, o 5 mil

dalej. Na wiosnę około kwietnia, targi te są bardzo obficie napełnione bydłem, drobiem, zwierzną i jarzynami wszelkiego gatunku. Około miesiąca czerwca coraz więcej płodów przybywa; brzegi morza rybne są nadzwyczajnie; rybołówstwem trudnią się powiększej części Maltańczykowie. Z gór Gharrion i Tarhona przywożą nadzwyczajną ilość zajęcy, kóz dzikich, kuropatw czerwonych, turkawek i przepiórek, które bardzo tanio są sprzedawane; ptastwo, które ma smak wyborny, wywożone bywa na wyspę Maltę.

Jest to szczególniejszą rzeczą w polityce europejskiej, że niektóre mocarstwa chrześcijańskie ofiarują się płacić haracz, albo jak go nazywają dar roczny państwu barbarzyjskim, dla zabezpieczenia swego handlu od łupieztwa tych rozbójników. Hiszpanja, Portugalja, Niderlandy, Danja i kraje Włoskie poddają się temu upokorzeniu; wszakże Sardynja wybiła się zaszczytnie z pod tego haniebnego jarzma, a wyprawa wojenna którą przeciw Tripoli we wrześniu 1826 przedsięwzięła, i która zniszczyła flotyllę beja i zmusiła go do proszenia o pokój, ustaliła samowolnienie bandery Sardyńskiej, już wprzód zawarowane przez groźne pośrednictwo lorda Exmouth. Neapol płaci 24,000 dollarów Algierowi, 5,000 dla Tunisu, a 4,000 dla Tripoli; Toskanja i Papież ulegają dotychczas podobnym opłatom, ale zostają w pokoju z Tripolitańskim państwem, któremu roczny podarunek składają

Tym sposobem bej Tripolitański pomimo bardzo słabej siły, jaką na morzu posiada, jeszcze około 20,000 dolarów corocznie wynusza od mocarstw chrześcijańskich. I taki jest zły stan ich finansów, że ta gałąź dochodu od kilkunastu lat na hipotece zostaje.

Konsul szwedzki z umiarkowaniem i bezstronnością rostrząsa skargi które rozpościérano przeciw złej wierze mieszkańców Barbarji: uważa naprzód, że od kilkunastu wieków, charakter europejski nacechowany zawiścią, interesownemi widokami, samolubstwem, duchem niespokojnym, w niekorzystnym ukazał się świetle prostym i fanatycznym mieszkańcom z nadbrzeżów Barbarji. Awanturnicy francuzcy, włoscy i hiszpańscy, w znacznej liczbie znajdujący się w tym kraju, są często ludźmi rozwiązłych obyczajów, którzy uszli przed hańbą i karą jakie ich w własnej ojczyźnie czekały. Opatrzeni w paszport otrzymany pospolicie podstępny sposobem, i w niektóre przedmioty do gry służące, usiłują korzystać z prostoty Maurów; za pieniądze, które tym sposobem zyskują, zakładają karczmy i domy rozpusty. Inni frymarczą obrazkami i sztuczkami mechanicznemi, na które sami Barbaryjczycy ze zgrozą patrzą. Pewien Maur z Tunis zobaczywszy zegarek tego rodzaju, zawołał z szlachetnym oburzeniem: »że gdyby chrześcijanie mieli jakiegokolwiek uczucie religji, powinni by rzemieślnikom którzy tak obrzydłemi

trudnią się robotami, palce poobcinać.« W pewnym małym dziełku ogłoszonym, kilka lat temu, we Włoszech, przez osobę gruntownie znającą stan Barbarji, uczyniono uwagę ze rozwiązłe postępowanie wielu europejczyków, utwierdziło mocniej jeszcze tę niekorzystną opinię, jaką zwykle muzułmanie mają o chrześcijanach. Łatwość z jaką wielka liczba złych chrześcijan przyjmuje wiarę islamizmu, jest nowym tej prawdy dowodem.

Mieszkańcy Barbarji są mieszaniną rozmaitych pokoleń. Oprócz Turków z Lewantu, zamieszkujących miasta i formujących milicję, są Maurowie, Beduini, czyli Arabowie koczujący i Berberowie czyli górale środkowych krajów. Pевна część Maurów pochodzi od muzułmanów z Hiszpanji. W królestwie Tunis zamieszkują oni prawie wyłącznie niektóre części stolicy, małe miasto Solimana nad pobrzeżem i wsie Zowan i Bestur w środku kraju. Jest to naród łagodny czynny i przemyślny; ich kobiety mają być znakomitej piękności, ale rzadko łączą się z Maurami. Pamięć szczęśliwych krain Andaluzji, jch starożytnej ojczyzny, tkwi jeszcze w sercach tych rodzin; niektóre z nich nawet zachowują z religijną pieczołowitością klucze od swych starożytnych mieszkań z tamtej strony morza.

Powracając do tego co się szczególniej ściąga do Tripoli, P. Graberg zapewnia nas, że rząd i mieszkańcy tego kraju więcej postąpili w cy-

wilizacji niż mieszkańcy Tunis, Algieru a mianowicie Maroku. Ten ostatni kraj, stolica grubego despotyzmu, jest zamieszkaną przez lud fanatyczny, ciemny i nędzny. Przyczynami tej wyższości Tripolitańczyków, są dziedziczne formy ich rządu, który przeszło od lat stu w jednójże pozostał rodzinie, i brak tej niespokojnej i rozwiązłej milicji, która w Tunis i Algierze miesza tak często spokojność publiczną, rządząc dowolnie osobami i własnościami mieszkańców, tak krajowców jak Europejczyków, a nawet życiem monarchy. P. Graberg w końcu radzi czytelnikom swoim, aby nie przywiązywali zupełnej wiary do zapewnień podróżnych, gdyż niektórzy ogłaszają raczej romanse, niż z prawdą zgodne opisy obecnego stanu Barbarji.

XI.

O JEZIORACH KILLARNEY W IRLANDJI

Wyjątek z niewydanego rękopismu pod tytułem: Podróż w Irlandji.

(Z *Dzien: Bibliot. Univer.*.)

Killarney jest ładne miasteczko zbudowane w kształcie krzyża. Ratusz miejski niema nie w sobie godnego uwagi. Dom Lorda Kenmare jest dosyć mierny i nie ma widoku na jeziora. Znajduje

się tam klasztor zakonnic bardzo ubogi, gdzie przyjmują siedem lub osiem zakonnic do uczynienia ślubów, za opłatą małego uposażenia. Lord Kenmare daje im 100 f. szterl. rocznie, one zaś utrzymują za to bezpłatną szkółkę dla dzieci. Jest tam także szkoła języków greckiego i łacińskiego, oraz seminarjum dla dwunastu uczniów przeznaczonych do stanu duchownego. Jeden tylko znajduje się professor teologii i filozofji. Miasteczko to, ma postać czystości i zamożności: każda ulica ma dwa boczne chodniki; domy są dobrze budowane; ludność wynosi od pięciu do sześciu tysięcy.

Miejsce w którym wzięliśmy statek odległe jest półtory mili od miasta. Powierzchność naszych wioslarzy nie bardzo mi się podobała. Spodziewałem się znaleźć w miejscu tak uczeszczanem towarzystwo wioslarzy ozdobnie przybranych, a łodzie ich wygodne i upiększone. Musiałem przestać na jednej łodzi wspólnej i szczęściu ludziach źle odzianych, ale których twarze zapowiadały wesołość i tę poufałość co się zawczasu w rozmowie okazuje. Jest to jeden z najwydatniejszych rysów stanowiących różnicę między Anglikami i mieszkańcami Irlandji: pierwszym tak łatwo jest milczeć jak drugim rozpocząć rozmowę.

Kiedyśmy znajdowali się na otwartej powierzchni jeziora, i mgła poranna zupełnie już zniknęła, uderzyła mnie okazałość rozwijających się

ze wszech stron widoków. Najmniejszy powiew wiatru nie marszczył zwierciadła wody; skały, drzewa, domy odbijały się w niej z taką dokładnością, jakiej mi się nigdy widzieć nie zdarzyło: góry malowały się w niezmiernej głębokości. Wy płynąłem z zamiarem zwracania na wszystko pilnej uwagi; miałem w reku ołówki i papier dla naznaczania następstwa przedmiotów, ale niepodobna mi było zająć się tym zimnym rozbiorem, tym spisem metodycznym, i oddałem się bez oporu uczuciom czystej i miłej rokoszy jaką we mnie obudzał ten widok ciągle zachwycający. Jezioro niższe które jest wielkim jeziorem, bardzo nieforemną mającym postać, urozmaicone jest znaczną liczbą wysp i skał malowniczych, uwieńczonych rozmaitego rodzaju krzewami, a powiększej części niedostępnych.

Pomiędzy temi wyspami, Jnnisfallen zwana, jest najznakomitszą: chociaż bardzo mała (około 30 do 40 akrów mająca) wydaje się być dość wielką, przez rozmaitość widoków jakie przedstawia. Kiedy się do niej przybliżasz, postrzegasz las, kiedy się przechadzasz, widzisz ogród, niemający wzoru i wyższy nad wszelkie naśladownictwo. Obchodząc ją w około, masz najpiękniejsze widoki gór i jeziora; we środku gaiki, kwieciste błonia, źródła czystej wody, skały odkryte bogatym roślinieniem, i doliny, w których zamknięty jesteś jakby w głębokiej samotności. Tam chata, której zbytek nie oszczędził, przedstawia

obraz mieszkania, które wzbudza zazdrość i zdaje się przytłumiać dumę i błędne żądze goniące za światem i jego roskoszami. Trochę dalej, starożytne gruzy monasteru, na pół zakryte kolumnami z bluszczu, przywodzą na pamięć owe wojny domowe, które nie szanowały tak spokojnego, tak niewinnego schronienia. Zaden widok nie wzbudził we mnie żywszego zachwycenia, jak ten świat w miniaturze, i potrzeba było jakiejś przerwy, abym odzyskał zdolność unoszenia się nad innymi widokami tego wspaniałego miejsca.

Opływając brzegi półwyspu Mukross, i tę niezmierną warstwę lasów krzyżującą się we wszystkich zagięciach i spadzistościach gór, sprobowaliśmy rogu myśliwskiego; mieliśmy z sobą jednego z najlepszych muzykantów jeziora, i przekonaliśmy się, że to co mówią o echach Killarnejkich nie było przesadzonem. Istotnie, odbijają one dźwięki czysto i z nadzwyczajną mocą. Echo zdaje się czekać aż muzykant skończy, by następnie ono zaczęło; odbija z większym łoskotem wszystkie tony, wszystkie rullady, i powtarza całe zwrotki, nie jak uczeń, ale jak mistrz, nadając im nowy wdzięk, przez wyższą moc i przez czarodziejstwo oddalenia. To pierwsze echo obudza drugie słabsze i łagodniejsze, ale zachowujące wszystkie odcienia, wszystkie tony mocne, słabsze, i najdelikatniejsze przejścia. Trzecie echo dalej się odzywa, a że odgłos jego od-

bija się za górą, żeby go słyszyć, potrzeba nadstawić ucha, ale jest równie czyste, równie zupełne. Choć ucichnie jeszcze go słuchasz, gdyż zostawia w tobie wrażenie muzyki, która się oddala, a która, masz nadzieję, że się jeszcze odezwie.

Przebiegając piechotą półwysp Mukros, który oddziela jezioro niższe od jeziora wyższego, przedstawiający wszystkie malownicze piękności zgromadzone na jednej kilkomilowej drodze, robiłem doświadczenia na tych gruntach bagnistych, które tak często napotykają się w Irlandji. Czujesz jak ziemia zapada się nieznacznie pod twemi stopami, gęsta trawa ukrywa przed tobą niebezpieczeństwo; jeżeli usiłujesz wyjść z niego szybkim biegiem, zginąłeś. Szczęściem, mieliśmy doświadczonego przewodnika, a po kilku chwilach niespokojności, nie śmiejąc ani cofnąć się, ani postąpić, znalazł on żyłą gruntu stałego która nas na dobrą drogę wyprowadziła. Wprawne oczy poznają te bagniska po kolorze roślinienia. Opowiadano mi zabobonne mniemanie starych mieszkańców Killarnejskich o czarodziejskości gór i o cudach olbrzyma O'Danaou, który niegdyś był ich samowładnym panem. Przymuszony on był ustąpić swęgo panowania potężniejszemu i szczęśliwzszemu nieprzyjacielowi, ale wychodzi czasem z tych skał, w których się zamknął, przechadza się jeszcze po jeziorach, to otoczony obłokiem, to na białym

rumaku. Chciałem dowiedzieć się, czyli nasi przewoźnicy wierzyli jeszcze tym starym podaniom. Najstarszy z gromady, człowiek rozsądny, nie tylko zapewniał o istnieniu olbrzyma, ale nawet o jego zjawianiu się, lubo to coraz jest rzadsze. Następuje ono, mówił, co siedm lat; a on sam był świadkiem ostatniego. W czasie świtu rannego, niebo było czyste, jezioro zupełnie spokojne; towarzysze jego wraz z nim uderzeni zostali oddalonym widokiem O'Danaou, na wpół białym otoczonego obłokiem, chodzącego po wodach. Ochłonawszy z pierwszego przestachu, postanowili iść do niego, ale olbrzym ich unikał; długi czas go ścigali, widzieli go zbliżającego się do wyspy którą nam pokazali, i w chwili, kiedy sądzili że go dościgną, nagle podniosło się jezioro, wzburzyły się wody, olbrzym rzucił się w przepaść i zniknął. Na twarzy starego przewoźnika malowały się silne wzruszenia, i oświadczył gotowość, równie jak jego towarzysze, ztwierdzenia przysięgą rzetelności téj przygody. Ponieważ ludzie prości w Irlandji są wybornymi aktorami, a za bardzo nędznych historyków uchodzą, bardzo wątpiłem czyli pozorne przświadczenie mego przewoźnika, nie było udaniem; wszelako byłem ciekawy wiedzieć czyli nie powstają czasem na tem jeziorze trąby, któreby mogły dać powód do tych przywidzeń; ale nic dziwić się, że żywa imaginacja utworzyła mitologję dla tych miejsc tak wspaniałych i tak

poetycznych. Pytałem się mego przewoźnika, czyli echa nie były głosem O'Danaou, ale on rozśmiał się na to zapytanie, i odpowiedział że echa były odbiciem głosów i niczem więcej.

Oto pierwszy dzień spędzony na jeziorach. Powróciliśmy na spoczynek do Killarney, a nazajutrz, udaliśmy się drogą prowadzącą do wyższego jeziora: znajduje się ono w środku gór o pięć mil od jeziora niższego odległe. Komunikację ułatwia rzeka, której cały bieg przedstawia nieustanne i cudowne zmiany widowni. Wszystko jest wielkie, wspaniałe, dzikie. Natura zdaje się tu pokazywać w zawiązku świata: zachowała sobie ona tę ogromną pustynię, a te ustronia byłyby niedostępne, gdyby wody w łonie tych skał nie utorowały drogi. Jaka rozmaitość widoków! jaki skarbiec dla malarzy! wyjąwszy Lucernę, Szwajcarja nie ma nic bardziej uderzającego. Ate spieszę się powrócić do tego, co mnie najwięcej zadziwiło, do tej skały którą nazywają *gniazdem orlem*, i całego otaczającego ją obrazu. Tam nasz muzyk układał się na ziemi i oznaczył nam stanowisko. Dmie lekko w swój róg myśliwski, tak lekko, że w małej odległości, ledwieśmy go dosłyszeć mogli. Lecz po minucie może, w wielkiej skale zaczyna się głos rozlegać i słyszeć można najsilniejsze i najzgodniejsze tony. Wystaw sobie tę samotną skałę, na pięć lub sześćset stóp wyniesioną, w piramidalnym prawie kształcie, i część

jej niższą i średnią okrytą lasem dębowym który nad jej wszystkimi szerokimi zarysami panuje, a wyżej skałę nagą, z jej wielkimi prostopadłemi łożyskami, pozwalającemi widzieć żyły marmuru z którego jest złożona; a na szczycie ten punkt z kąd widać często wzbijającego się ptaka Jowiszowego, który rzuca się na łup swój, w tych okolicach nad któremi zdołał zachować panowanie. Ta to pyszna skała, posiada w swoim łożu czarodziejską prawie władzę odbijania głosów do niej wymierzonych, z taką dobitnością, że mniemałbyś, słysząc tak lekki dźwięk rogu który ją uderza, iż się sama z siebie ożywia. Podnoszące się ciągle uczucie, od podziwiania przechodziło do zachwycenia. Skała ta w całym swoim ogromie, zdawała się być samém tylko muzykalnym narzędziem którego tony rozlegały się od padołu aż do najwyższego wierzchołka siłą do jego wielkości zastosowaną. Najłagodniejsze odgłosy ciche szemrania, lekkie wód poruszenia, z dobitnością były wydane w tym ogromnym organie, a najświetniejsze dźwięki zdawały się gdzieś dalej z tyłu góry wychodzić, i gubić się nieznacznie w bezkresowój odległości. Słyszałem koncerta Mendla w katedrze Westminsterkiej, i jakkolwiek uczyniły na mnie silne wrażenie, przecieź ta harmonja z pięciuset instrumentów i trzechset głosów złożona, nie wydawała skutku tak wielkiego, tak wspaniałego, jak ten który wychodził z miłobrzniącej budowy

'ej dzikiej skały. Uważałem po naszych przewoźnikach, że nawyknięcie nie zmniejszyło wcale uroku tej cudownej harmonji: po ich milczeniu i natężonej uwadze, możnaby sądzić, że równie jak my, pierwszy raz byli nią uderzeni. Upojony tą roskoszą, rzekłem sobie, dosyć tego wzruszenia na jeden dzień; chciałbym go być na następny oszczędzić, ale podróżny podobny do marnotrawcy, zmuszony jest częstokroć pochłaniać w jednej chwili wszystko, co mogłoby na długi przeciąg czasu wystarczyć. Nasi przewoźnicy sprawiali sobie przyjemność dając ognia z małego działa, a rozlegający się odgłos w dalności odnosił do imaginacji przerażający łoskot bojowiska, pomieszany z hukami grzmotów.

Jezioro wyższe zajmuje ogromną powierzchnię, która zdaje się być zupełnie amfiteatrem gór zamkniętą. Tam to jest góra *Turc*, której szczyt daje się widzieć w bardzo wzniosłym regionie; *Mangerton* mająca 3,500 stóp poniżej jeziora; *Góry Szkarłatne*, okryte zaroślami, których kwiaty nadały im to nazwisko poetyczne; góra *Mac Cuddy Recks*, przedstawiająca łańcuch skał niedostępnych. Widok tych połączonych ogromów jest nadzwyczajnie wspaniały. Przyłądowaliśmy do pewnej wyspy, ciągnięni piękną chatką do lady *Kenmare* należącej: przyjęła nas tam dobra niewiasta, która ofiarowała swoim gościom dwa salony od *Lukullusowych* piękniejsze. Pewien

Anglik zachwycony wdziękami tego ustronia, przez siedem lat przybywał tam dla przepędzenia połowy roku; nie była to jednak pustelnia pokuty, polowanie i rybołówstwo na przemian go rozrywały; ale co robił przez dni i tygodnie w których nie mógł wyjść z swojej chatki? bo ta jest właśnie niedogodność jezior Killarnejskich, i przyczyna, dla której nie mają sławy, swojej piękności odpowiadającej. Mniej tu jest dni pogodnych niż gdziekolwiek indziej. Wyziwy Oceanu, pędzone wiatrami wschodnimi, a przyciągane przez owe góry, rozlewają się w potoki deszczu, i wielu wędrowców, po nudnym oczekiwaniu, przymuszeni byli odjechać, nie ujrawszy słońca przyświecającego tej wspaniałej krainie.

XII.

PODRÓŻ Z CRUCERO, STOLICY PROWINCJI CARABAY W DEPARTAMENCIE PUNO W PERU, NA DOLINY PHARA, AZ DO RZEKI PALCOBAMBA ALBO INAMBARI

Listopadzie 1826, odbyta przez Niemca tam osiadłego.

(Dokończenie.)

4.

La Mina — dobra rada — jadowity rodzaj żmii — sławne płóczkarnie złota nad rzeką Pullipuli.

La Mina jest trzecim głównym kluczem i właściwym wstępem na doliny. Leży po pra-

wój stronie drogi na górze; zbudowane zaś jest na wzgórkach, panującym nad rozkoszną doliną; na prawo z pomiędzy gór wypływa rzeka *Marrancani*, na lewo rzeka *La Mina*, które łączą się z sobą u spodu pagórka, wspólne nazwanie *Mina* utrzymują i niżej o 5 legua dalej do rzeki Pullipuli wpadają. To Tambo ma alkada i algazila, około sześciu chat, kaplicę i ratusz, jeśli go tak nazwać wolno. W jego podziemiach znajduje się więzienie, na pierwszém zaś i drugim piętrze, dokąd schody prowadzą, dwa pomieszczenia w których się rozgościliśmy. Domy tamtejsze, albo raczej chaty, zbudowane są z palów, i nie mają drzwi i okien; okryte są dachami z liści palmowych. Podłogą jest goła ziemia ciągle mrówkami okryta; łóżka składają się z balów sznurkami powiązanych i na tychże u dachu zawieszonych, tak iż mają podobieństwo do łóżek okrętowych; oddalone są od ziemi o 2 vara, co jest bardzo dogodnie, ponieważ nietylko węże ale i inne jadowite zwierzęta łatwo dostaćby się do nich mogły. W nocy dobrze jest zawsze rozpiąć płaszcz ponad łóżkiem, w dolinach tych bowiem znajdują się rozmaite gatunki węży i żmii, które porą nocną wdzierają się na dach pomiędzy liście palmowe i ztamtąd przez osłabienie spadają. Zapomniałem raz pewnego o tej ostrożności, i przed zaśnięciem kurzyłem papierowe cygaro. Nagle spadła mi na piersi żmija, dymem tytoniowym

odurzona; szczęściem miałem tyle przytomności umysłu, iż nie przeląkwszy się zrzuciłem ją z postania na ziemię. Zabiłem ją z łatwością, zawołałem znajdujących się w pobliżności Indjan i pokazałem; ale wszyscy krzyknawszy z przestachu, uciekli, był to bowiem gatunek żmii czarnej, z żółtymi pierścieniami i punktami czerwonymi, której ukąszenie w pięć minut ośmierć nieuchronną przyprawiało.— Wszystkie chaty były napełnione Indjanami zgromadzonymi na zbiór rośliny coca, której plantacje 7 do 8 leguas w głąb, a do 50 leguas w szerz się rozciągają; w czasie tego zbioru zgromadza się często do 3,000 Indjan obojej płci; skoro jednak roboty ukończą, wszystko się rozchodzi i miejsca te znowu martwość i samotność zalega. Znajdują się tam nawet i handlarze przedający rozmałą żywność, jak się spodziewać można, nie drogo; zwykle biorą w zamian roślinę coca, której funt kosztuje tutaj półtora reala; przedają ją w Collao po 3 do 4 reale za funt. Muły nasze bardzo potrzebowały kilkudniowego wypocznienia, co dla mnie wielce było przyjemnym, mogłem bowiem zostać nieco dłużej pośród téj zachwycającej doliny.— Do koła niej rozciągają się wysokie lesiste góry, woda czysta jak kryształ odbija błękitne tło pięknego nieba; przemijające deszcze nie trwają dłużej nad kwadrans, a niebo ukazuje się znowu tak błękitne i tak pogodne jak pierwój. Trzy wielkie parowy wychodzą z téj doliny, znikają

jednak z oczu w oddaleniu; przez pierwszy płynie rzeka jedna, dwoma drugimi zaś obie przepływają. Tam gdzie się jednocześnie tworzą sztuczny wodospad, otoczony wysokimi palmami, które brzeg wązki i małą różnobarwą łączką zaraz na dole leżącą opasują. Tutaj kąpałem się przy wschodzie i zachodzie słońca, ocieniony palmami i rozweselany harmonijnym tysiąca ptaków śpiewem! — Przechadzki moje kierowałem do leżących nad rzeką lasów, albo między niektóre z wąwozów, gdzie piękna natura zamilkła, i ponura ciemność, przerywana tylko szumem katarakt, wielowładnie panuje. Droga jest wązka, często trzeba przez skał odłamy na drugą stronę rzeki przeskakiwać; żaden tu ptak nie zanuci swej piosnki, zmija tylko, padalce i niezmierniej wielkości ropuchy pełzają do koła; wszystko jest mokre, wszystko wilgocią przesiąknięte, góry bowiem i drzewa rzadko pozwalają słońcu do tych prawdziwych wilczych jam rzucić ożywcze promienie. — Przechadzki te odbywałem w ubiorze krajowym: słomiany kapelusz, koszula, spodnie, lekki poncho, polecas i długi nóż w jednej, kij w drugiej ręce; zawieszona flaszka wódki i kawał gotowanej baraniny z chlebem w kieszeni, oto wszystko co z sobą brałem. — W domu siadałem przeddrzwiami pod palmowym dachem, z kąd mogłem całą przejrzeć dolinę. Pies mój wierny leżał przy nogach; paląc cygaro myślałem sobie często: »Zbudujmy tutaj chatkę.« —

W dolinach tych zawsze się doznaje apetytu, łagodna bowiem temperatura, która nigdy w afrykańskie nie zamienia się skwary, i sposobność kąpania się w każdym czasie tak w dzień jak w nocy, przyczyniają się bardzo wiele do tego pomyselnego stanu zdrowia. Po czterech dniach wypoczynku ruszyliśmy dalej, dla obejrzenia sławnych *playas* Sgo Błażeja nad rzeką Pullipulli, które chciałem dokładnie zwiedzić. Przeprawiliśmy się przez rzekę Marancani i wleźliśmy na wysoką górę; rozdzieliła się droga: w lewo szła ku rzece Inambari, w prawo ku rzece Pullipulli; puściliśmy się ostatnią, pierwszą zaś później woleliśmy zwiedzić. Droga zwieszała się znowu jak zwyczajnie nad brzegiem przepaści, i tak była zarosła, iż dwóch godzin potrzebowaliśmy, aby sobie za pomocą nożów i kijów przejście ułatwić; herkulesowska praca! Przytem trzeba było ostrożnie stąpać, aby na węża lub padalca nie nastąpić. Jakaś wijąca się roślina najbardziej nam dokuczwała: liście miała trawiaście i tak ostre, że jak najlepsze brzytwy krajały; porobiłem sobie od niej wielkie kresy na twarzy i na rękach; mój *Cicerone* stracił przytem kawałek ucha. — Nakoniec usłyszeliśmy szum wody i dostaliśmy się niezadługo potem na dolinę Pullipulli, która jeszcze powabniejsza jest aniżeli *Mina*. Tu był cel podróży mojej i cieszyłem się widząc przed sobą sławne płóczkarńce złota. Podzielone są na 9 *playas*; które *Sau*

Blas grande y San Blas chica nazywają. Powyżej wpada *Putisalaca chica*, cześć rzeki, która z wąwozu wypływa i te playas tworzy; poniżej jest *Mulipurcu*, dwa playas, które w oddaleniu od *San Blas* leżą. Przystąpiłem zaraz do czynności, w sposób rozmaity robiłem poszukiwania swoje, i playas te bardzo obfite w złoto znalazłem. Strawiłem na tém dzień cały, i kiedyśmy do *Mina* powrócili, zaczęło się już zmierzchać, a przybyliśmy tam o 11 godzinie w nocy. Osiągnąłem więc już cel podróży mojej, ale tak wiele słyszałem o innych dolinach i wielkiej rzece *Inambari* mówiących, iż postanowiłem je objąć w swojej podróży i puścić się tam nazajutrz.

5.

Droga od *La Mina* do rzeki *Inambari* — Płóczkarnie złota nad rzeką *Pauhani* — Śpiewak *Inkasów* — Przyjemności i przykrości lasów amerykańskich — Pociąg węzłów do ognia — *Chacuri*, południowo-amerykańskie mrówki — *Marasas*, jadowity rodzaj mrówek.

Odtąd niema już żadnego *Tambo*, ponieważ *Mina* jest ostatniem, i przez 9 do 10 legua musiałem pod otwartem niebem sypiać i przyglądać się okolicom, które nie wielu dotąd ludzi zwiędziło. Droga jak już wspomniałem szła pod górę na której rozdzieliła się i my udaliśmy się w lewo. Roślina z brzytwowemi liśćmi dość nam i tutaj dokuczała, ale w krótkce przybyliśmy nad rzekę *Pullipulli*, o dwa legua poniżej *san Blas*. Wstąpiliśmy znowu na inną górę, i

ujrzeliśmy część jedną sławnej Escalera *Mamata*. Wykute w skale schody pną się przez pół legua prosto w górę; szerokość ich wynosi trzy vara; stopnie były takież jak przy *Mamata*. Dzieło podziwienia godne! uskutecznione przez krajowców. Podziwienie to nad owym wspaniałym pomnikiem siły i cierpliwości dawnych Peruanów, tém większem się jeszcze stanie, kiedy pomyślimy, że lud ten w ówczas jeszcze ani prochu ani żelaza nie znał, i pracował tylko narzędziami z mieszaniny złota i miedzi. Biedne muły z ciągłym jęczeniem pięły się po tych skalistych stopniach, i ustawicznym wstrząsaniem uszów, dawały poznać nieukontentowanie swoje z tój podróży. Dostaliśmy się na szczyt góry, z którego zstępowanie było łatwiejsze niżelim się spodziewał; u stóp góry przez dolinę płynęła rzeka Pauchani, o dwa legua od Pullipulli a cztery i pół od La Mina. Znajdujące się nad nią playas, są także wyborne. Postanowiłem tu noc przepędzić. Mała prześliczna dolinka ukażała się na zakręcie rzeki, czysty strumień przerywał ją; a brzegi jego ocienione były drzewami jakby ręką ludzką w rząd zasadzonými. Umocowałem przykrycie moje, z trzciny i liści palmowych utkane, u dwóch drzew; gotowaliśmy sobie pożywienie, a nasz Indjanin częstował nas smaczными rybami, które nie wiem jakim sposobem w strumieniu złapał. Nie mogłem się dość napatrzeć tój przyjemnej naturze; rokoszna do-

lino! Tutaj kwitnęły najpiękniejsze i najwonniesze kwiaty i krzewy, a po między nimi wanilja miły swój zapach daleko roznosiła. Mnóstwo najrozmaitszej barwy motylów uganiało się za sobą; postrzegłem między nimi niektóre mające do 5 cali długość, a 3 szerokości; kolor zaś miały ciemno-szmaragdowy z czerwonymi i żółtymi prążkami; od spodu były złoto-żółte z punktami niebieskimi. Papatki i inne ptaki najrozmaitszych kolorów, mnóstwo małp, między którymi tak zwane koty morskie, zawieszające się za ogony na gałęziach i tak bujające się w powietrzu, wiele mi sprawiły zadowolenia. Widziałem tam nadzwyczajną ilość drzew figowych i balsamowych, oraz wybornych owoców, jako to: pomarańczy, fig, ananasów, chirymayas, gaitas, bananów, postrzegłem także wiele małych czworonożnych zwierzątek, zabiłem jedno i znalazłem w nim smak mięsa podobny do najlepszego zająca; w strumieniu wiło się mnóstwo ryb rozmaitych. Słowem najroskoszniejszą była ta dolina, ale obok tego miała i ona swoje nieprzyjemności, o których zaraz wspomnę. Słońce już zaszło, śpiew ptaków umilkł, i tylko jeszcze śpiewak Inkasów (cantador del Inca) dawał się słyszeć. Śpiewa on zawsze tymże samym tonem bez żadnej zmiany, ale echa w dolinach tak odbijają głos jego, iż zdaje się że 100 ptaków najprzyjemniej się odzywa. Inkasowie trzymali je dla rozrywki w ogrodach swoich i w sztucznie

pourządzanych grotach; są one ciemno-niebieskiego koloru, mają czerwoną prążkę około szyi i trzy żółte piórka na głowie; wielkością podobne są do kruków, i siedzą zawsze na szczytach najwyższych palm, dla tego trudne są do złapania; strzelałem do nich kilka razy, ale zawsze chybiłem. — Nakoniec zamilkło wszystko, mój *Cicerone* i Indjanin zrobili obwód z palących się kawałów drzewa około miejsca mego spoczynku, i położyli się przy mułach w przestrzeni obwodem oznaczonej. Ta chwalebna przezorność była zachowana jedynie względem nieproszonych gości. — Ale teraz usłyszeliśmy zupełnie inny rodzaj muzyki, która tak jak niebo od ziemi różniła się od pierwszej. — Odezwało się ryczenie, wycie, mruczenie, świstanie i sykanie; towarzysze moi przeżegnali się i odmawiali *ave maria* jedno po drugim, a na nieszczęście oba różańce zginęły im w podróży. — Miałem przy sobie nabitą fuzję i długi nóż w pogotowiu do obrony. — Odgłosy coraz się bardziej zbliżały; przerażający nakoniec ukazał się widok: tygrysy, lamparty, niedźwiedzie, węże i cała trzoda nieznanych stworzeń stanęła tylko o 10 kroków od ognia, strzegąc każdego wyjścia. Zimny dreszcz przebiegł po ciele mojem, włosy mi powstały na głowie, porwałem za fuzję, i na los szczęścia strzeliłem pomiędzy gromadę. — Całe zgromadzenie jak proch się rozsypało, a w dwóch minutach scena zupełnie próżna była. Wybiłem się zupełnie ze

snu, zbliżyłem się do towarzyszków, i roznieciłem wielki ogień, co nam nieznośne sprawiało gorąco. Tak przepędziłem noc całą spokojnie; tu i owdzie dała się widzieć nieraz jakaś dziwna fizjognomja, ale, zagrzany pomyslnym skutkiem pierwszego wystrzału, dawałem czasem ognia na oślep. Nadszedł nareszcie oczekiwany niccierpliwie poranek, którego zapewne nikt tak jak my nie powitał. Niedaleko od ognia leżało dwoje nieznanych mi zwierząt zabitych a około 50 kroków dalej trzecie; ten ostatni zwierz był to *Onza*; pierwsze oba były brunatno - czarne z ogromnemi zębami, wielkości wilka, do którego kształtem podobne były; głowę miały taką jak lisy. — W ogniu znaleźliśmy cztery nieżywe węże: dwa miały 2 vara, trzeci 1 vara, czwarty $\frac{3}{2}$ vara długości. Wiadomo jest, że zwierzęta te ślepo na ogień spieszą i tak jak śmy śmierć w nim znajdują. — Ruszyliśmy z miejsca; muły bardzo były żwawe, a w kilka chwil przybyliśmy nad rzekę, która dosyć szeroka i bystra była. — Trzeba było powtórnie wdziierać się na górę, ale nie zbyt wysoką; doszedłszy do wierzchołka, postanowiłem tam godzinę wypocząć i przespać się, przeszłej nocy bowiem ani oka zmrużyć nie mogłem. Położyłem się na wzgórek 20 stóp wysokim, a 28 szerokim i w najlepsze sobie zasypiałem, kiedy w tem obudził mnie wrzaskliwy odgłos: »Chacuri, Chacuri!« Zerwałem się, postrzegłem towarzyszków moich ucicka-

jących, a mułów ze rżeniem wierzgających nogami. Uczułem pickące świerzbiecie ciała, i ujrzałem się cały okryty mrówkami. Wzgórek na którym zasnąłem był ich mieszkaniem. Znane są owe południowo-amerykańskie mrówki, które owe podziwienią godne pomieszkania sobie budują; nazywają się w dawnym peruańskim języku »Chacuri« i są postrachem krajowców. Ciągną niekiedy tysięcznemi, milionowemi rojami, i napadają na wszystko, pożerają węże, onzy, a nawet psów i ludzi. Opór jest prawie niepodobny, i jedynym środkiem jest zarzucić się natychmiast w wodzie. Jeśli gdzie na zamieszkanie jakie natrafią, wyprzną go w przeciągu dwóch godzin. Naprzód wchodzi jedna mrówka, wbiega do izby i wychodzi nazad. Zaraz potem maszeruje niezliczone mnóstwo, naprzód większe a w ostatnich szeregach najmniejsze; pożerają wszystko na co natrafią i wszystko staje się ich zdobyczą. — Słyszałem szum pobliskiego strumienia w lesie, pospieszyłem więc tam i rzuciłem się w wodę tak jak byłem ubrany; towarzysze moi uczynili też samo i wpędzili do wody muły, których jęk wszystkich nas poruszył. Tym sposobem pozbyliśmy się tego okropnego owadu, ale jednak cały byłem krwią zbroczony i nielitościwie pokąsany, a ciało moje podobne było do durszlaka. Na jeden wyraz »Chacuri« Indjanie pierzchają wszyscy przerażeni. — Jest jeszcze inny rodzaj mrówek zwanych *Marasas*

na $\frac{1}{2}$ cala długich; ukąszenie ich tak jest jadowite, iż rana puchnie; i jeśli miejsce skaleczone nie zostanie jak najprędzej natarte rośliną zwaną *Gnaupati*, następuje zapalenie i ogień. Mrówki te jednak szczęściem nie chodzą gromadami, ale po 3 lub 4 razem. Pierwsze zwane *chacuris* mają tylko $\frac{2}{8}$ cala długości, i są czarne brunatnymi włoskami okryte.

6.

Dolina Sagraris — Ogromna rzeka Polcobamba (Inambari) —
Chunkasowie, straszliwe pokolenie Indjan.

Niebezpieczeństwa tego szczęśliwie uniknąwszy, udałem się w dalszą podróż; wkrótce potem dostaliśmy się na dolinę Sagrario (tak nazwaną przez misjonarzy Franciszkanów) i nad rzekę tegoż nazwania 2 legua od Pauchani. Tutaj znajdują się znowu bardzo bogate playas. Dolina jest podobnie jak inne piękna i okazała. Doliny te leżą między górami, zawsze są rzeką przecznięte, i mają w przecięciu do 10 legua długości a tylko $\frac{1}{2}$ legua szer. Weszliśmy na górę; przed nami płynęła majestatycznie olbrzymia rzeka *Palcobamba*; po drugiej stronie rozciągały się niezmierzone płaszczyzny, przecznięte gdziegdzie wzgórzami, i niebieskawymi górami na horyzoncie otoczone. Zstępowanie z góry nie długo trwało, i przez kwiecistą równinę, gdzie wysoka trawa niekiedy nawet muły zakrywała, nadciągnęliśmy nad rzekę. Nocleg założyliśmy na jej brzegu. Położyłem się na ziemi i zajęty byłem

cały przypatrywaniem się otaczającym mnie przedmiotom. Daleko od ucywilizowanych krajów i ludzi, tutaj nad rzeką, której brzegi pierwszy raz może dopiero noga europejska deptała, w w nieznanym, prawie nieodkrytym jeszcze kraju, mając do koła siebie bezludne i dzikie pustynie, po drugiej zaś stronie rzeki dzikich Chunkasów, tych straszliwych Indjan, co za przedmiot do rozmyślań dla młodego Europejczyka! Rzeka ta z pod Villa del la Juan de Oro wypływająca, której początek nie jest wiadomy, a która do Meranon wpada, ma 1 legua szerokości; wody jej są jasnoblękitne i bystro płyną. Brzegi ma niskie; o 200 kroków od miejsca w którym zostawałem wpadają znowu cztery rzeki: Mina, Pullipulli, Pauhani i Sagrario; a jednocześnie wody, jedną tworzą rzekę. Druga część rzeki Inambari, która w głąb Ameryki południowej płynie, i aż Brazylii dotyka, jest zupełnie nieznaną. Równiny góry i doliny zmieniają się tam kolejnie, wielkimi poddzielane rzekami, które niezmierne skarby w sobie i z sobą niosą. Któż zna to mnóstwo rzadkich zwierząt, ptaków, roślin, kwiatów, owadów i minerałów, które tam dotąd jeszcze przed okiem badacza przyrodzenia są ukryte. Co za obszerne pole do postrzeżeń dla Humboldta i Bonplanda! Kraje te zamieszkane są przez Chunkasów, Indjan, którzy w czasie ujarznienia przez Hiszpanów ludu peruańskiego w głąb kraju się usunęli, i cią-

głą krwawą wojnę prowadzili z Hiszpanami, którzy ich nigdy zwalczyć nie mogli. Są to rośli i silni ludzie; chodzą nago, łukami strzałami i dzidami uzbrojeni, i za przykładem przodków swoich słońcu cześć oddają. Podzieleni są na wiele pokoleń, które ustawicznie z sobą wojnę prowadzą; niektórzy z nich mieszkają w wioskach i mają swego króla, inni są koczowniczymi nomadami. Wiołość jest między nimi dozwolone. Wódkę i tytoń nad wszystko przekładają. Sól jest u nich najdroższą rzeczą na ziemi, u siebie bowiem nie posiadają tego dobroczynnego daru przyrodzenia. Jezuici starali się niegdyś wprowadzić między nich chrześcijaństwo, ale Indianie pozabijali wszystkich, a to przerażiło i odstręczyło innych misjonarzy od nawracania. Kolor ich ciała jest miedziano-czerwony, który jednak często w białawy wpada; włosy zapuszczają i wiszące noszą. Nie mają wcale brody i malują sobie ciało rozmaitemi glinkami czerwonego i żółtego koloru. Pokolenie to niezmiernie się rozmnaża; rozciąga się od Willi aż do Cusco, a ludność jego przeszło milion ma wynosić. Mieszkańcy z dolin Urubamba przy Cusco, Coaza i Phara w Carabnya są najgorsi, ci zaś co mieszkają na dolinie Santa Auna przy Cusco, na Sandja i w Willi w Carabaya mają uczucia spokojne. Indianie wyznający chrześcijaństwo niezmiernie się lękają Chunkasów, i samo to nazwisko dostateczne jest aby ich do

ucieczki skłonić. Usiłowano nawet otworzyć z nimi handel zamienny, i dawać im sól, paciorki szklane, zwierciadła, czerwone materje, noże, nożyczki i t. p, za pepitas, którego mają bardzo wielką obfitość i wartości złota nietylko nie umieją cenić, ale nawet nie znają; ale są oni tak nierzetelni, iż wielu z handlujących utraciło przy tej okoliczności życie, i dalszych zamiarów handlowych zaniechano. W porze roku suchej robią oni niekiedy wycieczki do ucywilizowanego Peru, w oddziałach ze stu ludzi złożonych; napadają w nocy na wsie, zapalają domy i mordują mieszkańców, a jeśli ci uciekają z pośród płomieni, strzelają do nich zatrutemi strzałami. Częstoć, przez ich kraj przejeżdżając, można być ugodzonym strzałą, która nie wiedzieć z jakąd wypadła. Nie należy kurzyć tytoniu, ogień albowiem albo dym tytoniowy zdradza podróźnego, przed ostrowidzącem okiem i delikatnem powonieniem krajowców. Lękają się oni niezmiernie broni ognistej i wierzą że Tutu czyli djabeł ten huk wydaje. Są zawsze okropnymi w czasie wojny; w jednej prawie chwili z oddalenia o milę, tuż w pobliskości się znajdują; najbystrzejsze rzeki w pław przebywają, i nigdy prawie strzałą celu nie chybią.— Każde pokolenie ma swoją osobną mowę, która w ogólności składa się z nieprzyjemnych tonów gardłowych. Znajduje się między nimi wiele kobiet bardzo ta-

dnym i zachwycających pięknością, któreby prawdziwą Korą być mogły.

Nadeszła wreszcie noc; wspomniałem sobie jakieśmy poprzedzającą przepędzili; mój Cicerone i Indianin spoglądali na mnie z uwagą, a ich największą obawą byli mieszkający po drugiej stronie rzeki Chunkasowie. — Ponieważ jednak ci nigdy w porze dżdżystej rzek nie przebywają, zabezpieczeni tem, nazbięraliśmy drzewa i wkrótce płomienie zabłyśły nad rzeką. Muły zapędzono znowu do obwołu ognia, usiadłem obok towarzyszków moich, i zamiast spać, kurzyłem tytuń i pilnym okiem strzegłem bezpieczeństwa mego. Noc była piękna i gwiazdzista; rzeka gwałtownie szumiała; wściekła muzyka nie długo się słyszeć dała, straszliwe zwierzęta ukazały się naprzeciw nam, a na drugiej stronie rzeki usłyszałem ryczenie, które podobne było nietylko do ryku wołu ale i tygrysa. Strzeliłem znowu na oślep i chciałem na nowo broń nabijać, kiedy wtem Indianin wydał krzyk okropny; spojrzałem do koła, i postrzegłem z największą spokojnością niesłychanej wielkości tarantulę, z rozwartą paszczą, czarną sierścią okrytą, na swoich sześciu nogach ku nam postępującą. Porwałem za kij i w tymże mgnieniu oka ku niej go nadstawiłem: nigdy jeszcze nie widziałem okropniejszego zwierza; jednym zamachem wtrąciłem ją w ogień, i mocny krzyk dał się słyszeć. — Nazajutrz zrana znaleźliśmy znowu czterech węzów

nieżywych w popiele i dwa zabite zwierzęta na placu, jednego kota morskiego i gatunek rysia. Jakim sposobem ten biedny kot morski tam przyszedł, nie mogłem sobie wystawić, wiadomo bowiem, iż małpy w nocy spią spokojnie na drzewach.— Zostałem tu przez dzień jeden, dla zwiedzenia okolicy i dozwoleń wypoczynku mułom.— Inambari musi nieść w wodach swoich znaczną ilość złota, płynie bowiem przez Aventaderas, i wszystkie rzeki okoliczne do niej wpadają; ale playasów, z powodu bliskiego sąsiedztwa Chunkasów, obawy Indjan, odległości znacznej od miejsc zamieszkałych i od żywności, nie ma tam pozakładanych. Mnóstwo rzadkich i podziwiania godnych przedmiotów nie potrafiłem opisać, nowy świat ukazał się przedemną.— Nazajutrz udałem się w podróż powrotną, bardzo zadowolony tą wyprawą, która pod każdym względem wszelkie oczekiwania moje przewyższyła. — Dnia 28 listopada wróciłem nazad do Crucero, wspomnienie jednak tych dolin zawsze mi towarzyszyć będzie.

ROZMAITOŚCI.

Starożytności etruskie.— Wielka dolina Camposcala, w obwodzie Montalto di Castro, należąca do rodziny Candelori, była dawniej posadą miasta etruskiego *Vulci*, którego mieszkańcy mają nazwisko *Vulcienses*, w dziele *Fasti Capitolini*. Wieśniak pewien, orząc ziemię w miejscu zwaném *Pian di voce* (może od dawnego nazwiska *Vulci* albo *Volci*), odkrył przypadkiem wielki grób etruski. Rodzina Candelori kazała tam czynić poszukiwania w październiku r. z. i znaleziono kilka grobów zawierających narzędzia i ozdoby rozmaitego rodzaju, z alabastru, gliny wypalanej, szkła, złota i brązu. Znajdują się tam rzeźbiarskie roboty i posągi, naczynia, patery, ampułki, postaci i koloru rozmaitego, z godłami mitologicznymi, oraz greckimi i etruskiemi napisami. Zachęcona tym pomyślnym skutkiem rodzina Candelori wyszukuje wszystkich grobów wzdłuż rzeki leżących, mając zamiar ogłosić później dokładny opis tych grobów i ciekawych osobliwości jakie się w nich znajdują.

Aeorostatyka.— W miesiącu sierpniu r. z. P. Eugenjusz Lobertson puścił się w Nowym Jorku balonem; podróż ta jednak ledwie nie była niebezpieczną dla tego młodego Francuza. Balon jego zaczął się wznosić, kiedy wtém wiatr zapędził

go na maszt służący do dawania znaków w porcie: uderzenie było tak gwałtowne, iż żeglarz napowietrzny wyrzucony został z łódki. Szczęściem, uchwycił się sznura, i po niebezpiecznych usiłowaniach, zdołał znowu wsiąść w koszyk. Można sobie wystawić i przytomność umysłu jaką mieć musiał, i przestрах w jakim zostawała cała ludność tego wielkiego miasta, przez osm minut, jak P. Robertson zostawał tak zawieszony w wysokości 80 stóp przynajmniej nad ziemią.

Prezydent krajów zjednoczonych Ameryki północnej Jackson. — Pewien podróżny angielski przytacza w wydanym niedawno opisie swój podróżny po Krajach zjednoczonych Ameryki północnej, następujący szczegół o dzisiejszym Prezydencie. »Rys ten charakterystyczny przekonywa, mówi on, iż bohater Luizjany nie równoważy chwały wojennej z życiem ludzkim. — Wkrótce po bitwie 8 stycznia 1815 roku, tak zaszczytnie dla oręża amerykańskiego z Anglikami ztoczonej, kapitanowie Roche, Sainte-Geme i inni wyżsi oficerowie bataljonu Orleańskiego, doszli z poruszeń wojska nieprzyjacielskiego, że Anglicy mieli zamiar opuścić obóz. Pośpieszyli więc uwiadomić o tem generała Jackson, a w szlachetnym zapale swoim, prosili go aby mogli przejść linję na czele bataljonu, dla uderzenia zniemacka na nieprzyjaciela, w przekonaniu, że

skutek bitwy był niewątpliwy, i że znaczną liczbę jeńców zabiorą. — »Ilużby można pojmać Anglików? zapytał generał, po chwili namysłu. — Około sześciuset. — Iluż ich zginie? — Takaz liczba. Iluż walecznych mybyśmy stracili? — Pięćdziesięciu najwięcej. — Nie, panowie, wolę pięćdziesięciu Amerykanów, aniżeli tysiąc dwieście Anglików. Zastępy którym mam zaszczyt dowodzić, składają się z obywateli i ojców familji; a dziesięć tysięcy jeńców angielskich nie pocieszyłyby innie po stracie jednego z tych męźnych ludzi.« Zamiar więc ten został bez skutku.

Dyamenty Brazylijskie. — Waga dyamentów, które za pośrednictwem agentów rządu, w obwodzie *Tajuco* w Brazyliji, od 1772 do 1818 znalezione zostały, wynosi 1,298,037 karatów; wydobytych zaś przez towarzystwo, któremu po zarzuceniu przez rząd przemysłu górniczego kopalnie się dostały, wynosi 1,700,000 karatów, wartość zaś razem około 67,000,000 funt. szt. (przeszło 2,700,000,000 złtp.) Największy z dyamentów brazylijskich, jaki dotąd znaleziono, ważył $138\frac{1}{2}$ karatów. Biedny niewolnik murzyn, który go w 1771 r. nad rzeką *Abaité* znalazł, udarowany został wolnością i pensją dożywotnią 1,800 złtp. rocznie wynoszącą.

Charakterystyczna anegdota. — Doktor Ehremberg, sławny wedrownik pruski, znajdując się w Egipcie, rzekł raz do pewnego krajowca; »sądzę, że musicie teraz być bardzo szczęśliwi: »kraj cały ma podobieństwo ogrodu, a każda »wieś ma swój minaret.« — »Bóg jest wielki!« odpowiedział wieśniak; »nasz Pan rozdaje jedną »ręką, a zabiera dwiema.«

O okrętach wojennych. — Do zbudowania okrętu o 120 działach, potrzeba 1,000 dębów, sztuk a 6,500 łokci płótna żaglowego; kotwice jego ważą po 20 do 80 cent.; okręt taki ma 9 lub 10 ciężkich lin, z których każda 130 cent. waży. Okręt wojenny 186 stóp długi, 50 st. szeroki, a 25 st. wysoki, waży wraz z wszelkimi potrzebnymi zapasami 50,000 centnarów. Utrzymanie jego z osadą kosztuje miesięcznie 40,000 złtp. Anglja liczy 260 podobnych okrętów w portach swoich. Okręty nie mające 60 dział, nie stają wcale do linii w czasie bitwy morskiej; wielkie tylko przeto okręty nazywają wojennymi, a każdy z takich ma około 1,200 ludzi osady.

Chodniki w Paryżu. — Ulice Paryża mają być opatrzone chodnikami dla pieszych; długość tych ma wynosić 180 godzin drogi; dotąd dopiero 1½ godziny drogi chodników takowych zrobiono.

Tytuły Muftego. — Kiedy sułtan pisze do Muftego czyli naczelnika duchowieństwa tureckiego, daje mu następujące tytuły: »Najmędrszemu ze wszystkich mędrców, który jest biegłym we wszystkich naukach; najwyborniejszemu z wybornych, który się od wszystkich rzeczy zakazanych wstrzymuje; źródłu młodości i prawdziwej umiejętności, dziedzicowi prorockich nauk; rozstrzygaczowi wszystkich wątpliwych punktów wiary; kluczowi do skarbów prawdy; światłu wszelkich ciemnych allegorji. Oby Najwyższy raczył twe cnoty w wieczności zamieścić.«

Drezdeńska choroba zatarciem zwana. — Zwiedzający Drezno powinni się wystrzegać, aby nie dostać choroby miejscowej zatarciem zwanej. Najpiękniejsze punkta miasta tego są: most, taras Brülowski i brzegi Elby. Wszędzie jednak w tych miejscach panuje gwałtowny przeciąg powietrza; a kiedy kto jest cokolwiek zgrzany i długo tam zostaje, dostać łatwo na końcu nosa zapalenia podobnego do róży, które kończy się na zaognieniu, i ośm dni przynajmniej cierpieć trzeba nim złe odejdzie. Nos w ówczas ma właściwą, osobliwszą i dosyć komiczną postać. Miejscowi lekarze tej chorobie, będącej powiększej części skutkiem nieostrożności i nieprze-

zorności, dali nazwisko *zatarcia Drezdeńskiego* (Dresdner Auswischer.)

(*Leips. Mod. Zeit.*)

Śniegi popiołem pokryte. — W Kamczatce, niedaleko od miasta Petropawłowska, dnia 6 kwietnia 1828 r. widziano śnieg, na przestrzeni 100 werst w obwodzie portu, i na całym zamrożonym morzu Wereksturskim, okryty popiołem do sadzy podobnym, którego warstwa do dwóch cali grubości miała.

Zkąd Morze Czarne ma swoje nazwanie? — Nazwanie to pochodzi zapewne od częstej i grubej mgły, która brzegi Morza czarnego przez większą część roku okrywa. Nawet niebo nadzwyczajnie się być zdaje zaciemnione w czasie trwania burzliwego powietrza, od końca listopada aż do początku marca.

Nadzwyczajnie wielki orzeł w Chinach. — Żaden z wędrowników, którzy zwiedzali Chiny, nie udzielił nam jeszcze tej wiadomości, jaką przytacza w podróży swojej do Pekinu Tymbowski. »Na wschód od *Badekchanu*, mówi on, znajduje się rodzaj orła, który bardzo jest wielki i bardzo niebezpieczny. Kiedy leci, podobny jest do obłoku; z wickiem dochodzi wielkości wielbłąda. Skoro krajowcy widzą go lecącego, chronią się czempędzej do mieszkań swoich;

często rzuca on się na konie i na woły. Wielkie pióra ze skrzydeł jego mają 8 do 10 stóp długości. Nazywają go w języku krajowym *Syrym* albo *Berkout*.

Wiadomość o mieszkańcach Gruzji. — (z listu pisanego z Tiflis dnia 25 Kwietnia 1828 roku). — Miasto Tiflis staje się coraz ważniejszym. Wiele obcych osób, należących do rozmaitych pokoleń azjatyckich ukazuje się tamże; pozwalają im bez przeszkody chodzić i przyglądać się wszystkiemu, oraz cieszyć się widokiem parad wojskowych. Zapominają się oni na widok marszowych taktycznych poruszeń, zdumiewają się nad potęgą cywilizacji i zdają się uczuwać słabość swego barbarzyńskiego systematu. Po za kolonią niemiecką Nowym Tiflisem przezwaną, na północ w prostym kierunku około dwóch werst, powstaje obecnie blisko rzeki Kur budująca się wielka rekoździelnia jedwabiu, należąca do niepracowanego Pana Kastellaz et Comp. i jego współnika P. Didelot. Podług zdania pracujących przy niej Francuzów, będzie ona najpierwszą i największą przędzalnią jedwabiu, która dla dobroci jedwabiu z Kachecji sprowadzanego, także najdoskonalszych wyrobów dostarczać może i będzie. Gruzjanie, w ogólności, nie lubią się zajmować czynnościami wymagającemi rozważgi i wytrwałości, co jednakże cywilizacja wzrastająca z czasem sprostuje. Tu w Tiflis, zna-

Ieść można między nimi doskonałych robotników broni, jednakże pałasze i puginaty wyrabiane przez Lesginow, sąsiadów ich w górach Kaukazkich zamieszkałych, sąco do materjału lepsze; również w damascenowaniu są ostatni doskonalszymi. Spozstrzegać się daje u nich panująca skłonność do próżnowania (jak u wszystkich narodów ciepłej i gorącej strefy); są przytem żywi i zgrabni w ruchach, gwałtowni i gniewliwi, żyją bardzo skromnie. Ubiór obojga płci podobny jest do Ormjańskiego, taki jaki i w Petersburgu widzieć można. Kobiety wychodząc z domu, okrywają się dużym białym wańtuchem, który im głowę i twarz zasłania, tak iż tylko wielkie piękne oczy z pod niego dają się spozstrzegać; przepędzają one czas na bezczynności; główném ich zatrudnieniem jest ubierać się podług możliwości pięknie i usiadłszy na dywanie na ziemi rozpostartym (gdyż krzesel i stołów nie ma w ich mieszkaniach) czasem, i to nie zawsze, prząść nieco jedwabiu albo zwijać. Czas południowy w oznaczonych dniach tygodnia przepędzają zwykle tu w Tiflis, w ciepłych kąpielach, w południowej części miasta znajdujących się, niedaleko góry skalnej, z której spodu gorąca siarczana woda wypływa i za pomocą rur do kamiennych wanien bywa sprowadzana; tam kąpiący się zasiadają, a po krótkiej chwili, przeznaczeni do tego ludzie rozciągają ich na łóżkach wązkich drewnianych, i tak leżących

myją zwyczajem wschodnim, to jest: z góry na dół pocierają całe ciało rękami, w miękkie skórzane rękawiczki opatrzonemi, dalej pianę mydlaną na całym ciele rozrabiają i wodą opłukują; następnie okrywają ich czystemi prześcieradłami, i przeprowadzają do izby osobnej, gdzie są ubiory złożone. Wszystko to kosztuje jeden abas czyli 20 kopijek srebrem.

W dalszej podróży do Kachecji, wzięwszy tłumacza, udaliśmy się najbliższą drogą do Telaf, prowadzącą przez kilka wzgórzów i małe wazkie doliny, które w części są zyzne, lecz źle uprawione, w części dzikiem i różnego gatunku drzewami zarosłe. Na wielu tych wzgórzach, znajdują się zwaliska rozburzonych chrześcijańskich kościołów i klasztorów (w dawniejszych czasach przez Gruzjskich Carów, a w większej części przez Carowę Tamar zbudowanych) które okazują ślady większej w owych czasach ludności tych okolic, a które teraz opuszczone i rabunki dzikich barbarzyńskich sąsiedzkich narodów przypominające, zapadające się mury w głuchych pustyniach przedstawiają. Zastanawia to mocno, jak ta mała garstka Chrześcijan w Gruzji i Armenji, mogła się utrzymać od kilku wieków pośród potężnych narodów mahometańskich wokoło mieszkających. Podania o dzielności ich w dawnych czasach zachowane są dotąd w pokoleniach dzisiejszych. I teraz Gruzjanie byłiby dzielnymi wojownikami i mogliby, mając lekkie,

ogniste konie, dzielną konnicę w owych okolicach górzystych utworzyć. Po dwudniowej podróży przybyliśmy do Telaf, zbudowanego na wysoku łańcucha gór, które z przeciwlegle ciągnącym się Kaukazem tworzą piękną rozległą dolinę nad Alazanem, w podłuż ją przepływającym; dolina ta nazywa się *Kachecją*, jęj północna część zowie się okręgiem Telaf, południowa zaś Signach. W połowie drogi do owego miejsca, o 40 werst od Tiflis, przejeżdża się koło osady niemieckiej *Mariensfeld*. Czyste, zewnątrz ujmujące domy tych osadników, obok piękności miejsca, okazują zamiatowanie porządku i czynność w mieszkańcach, i są dla Europejczyka w Azji zjawiskiem przyjemnie uderzającym. Uprawa wina głównym ich jest zatrudnieniem obok rolnictwa. Samo miasto Telaf składa się z kilku porozrzucanych domów po azjatycku zbudowanych, i tem odznacza się tylko, że jest miastem okręgowym, mnóstwo jednakże bazarów pustych okazuje, iż kiedyś miejsce to było ważniejszym. Niedaleko Telafu ukazuje się rzeka Alazan, która mocno weszbrała, z powodu śniegów topniejących w Kaukazie. Brzegi jej zarośnięte są rozmaitego gatunku drzewem, i ciągną się wężykiem pod ścianą prostopadłą gór okrytych zielonością. Wszędzie nad tą przyjemną rzeką, aż do owej ściany, postrzegałem piękne zielone krzaki i zarośla przeplatane nader rozmaitego koloru kwiatami, a postępując dalej mnóstwo drze-

wek morelowych z pięknymi czerwonymi kwiatami, które obok biało rozkwitających drzew wiśniowych, grusz, śliwiny i blade różowych iabłoni urozmaicały okolicę. Dolina ta piękna okryta jest cała temi drzewami, pośród których znajdują się wsie ukryte, które dopiero za zbliżeniem się, z pośród ogrodów winem i malinami zarosłych dają się widzieć. Orzechy włoskie zaczęły właśnie kwitnąć. Laskowy orzech w Kachecji należy podobno do najszlachetniejszego gatunku, jest on wielkości małego orzecha włoskiego.

Indjanie Winnebagowie.— Mieszkańcy Nowego Yorku ciekawy mieli widok w Listopadzie roku zeszłego. Piętnastu naczelników indyjskich z pokolenia Winnebagów przybyło w deputacji do tego miasta, pod przewodnictwem gubernatora Kass i majora Rinsey. Chociaż Amerykanie przywykli w miastach swoich do widoku dzikich krajowców z dawnych plemień których wyzuli z dziedzin, z podziwem jednak oglądali wysłańców tego pokolenia, różniącego się od wszystkich innych.

Przed podbiciem brzegów amerykańskich, Winnebagowie mieszkali w Nowym Meksyku. Od lat stu przeszło schroniwszy się w głębi północnych okolic, tak wysokie o sobie powzięli mniemanie, że mimo klęsk poniesionych w walce z wojskiem Krajów zjednoczonych, rozumieją iż ich naród ze wszystkich ludów jest najpierwszym. Aby o-

słabić w nich to śmieszne uprzedzenie, zachęcono ich do wysłania poselstwa do amerykańskiego rządu. Widok cywilizacji sprawił na nich przewidziane wrażenie.

Naczelnik ich Naw Kaw, 94 letni starzec, z pogardą mawiał dotąd o nowych posiadaczach Ameryki, z którymi przy oblężeniu Meigs i w innych rozprawach walczył; ale ujrawszy warsztaty do budowy okrętów, statki palne i drukarnie, stary Indjanin wykrzyknął przed towarzyszami swymi: *Żadnych już więcej kłótni z blademi twarzami, są one jeszcze od nas mocniejsze.* — Naw Kaw choć w tak podeszłym wieku, ma jeszcze atletyczną siłę: wzrost-jego jest olbrzymi, a cera miedziana twarzy daje dumnemu wejrzeniu wyraz, który chyba pendzel mógłby wydać.

Jeden z wysłańców którego imie wyraża *Mały Łoś*, a w ich języku wydaje się przez wyrazy Hoo-Wan-Kayrai-Kai-Kays-Kaist-Nek-Kau, poznał z pierwszego wejrzenia w tłumie osób generała Harryssona, którego widział w bitwie pod Typyekanoc, gdzie *Mały Łoś* walczył. Zaprowadzono ich w takie miejsce, gdzie gdy się niczego nie spodziewali, dano ognia z całej baterji; działa aż do otworu prochem były nabite. Nie postrzeżono na nich żadnego przestrachu; owszem winszowali dowódcom przy nich będącym mocnego skutku, jaki tak straszna artylllerja sprawić koniecznie musi.

Jeden z nich miał z sobą żonę. Gdy mąż bawił przy stole, posłuszna małżonka w kąciку przyjmowała lęklawie to co jej podawano. Najważniejszem jej zatrudnieniem było usługiwać despotycznemu małżonkowi swemu.

Będąc na wystawieniu drammy *Dziewica słońca*, nie mogli wstrzymać się od wykrzyków na widok Indjan na scenie się ukazujących; podziwienie ich doszło do najwyższego stopnia. Wzniesienie się napowietrznego żeglarza Robertsona nicinniej ich zachwycało, i wrócili uradowani z pobytu swego w Nowym Yorku.

Stosunki przyjazne zawarte z tem pokoleniem są bardzo korzystne dla Zjednoczonych krajów. Kraj przez Winnebagów zamieszkały, znany pod imieniem kopalnego okręgu, posiada kopalnię ołowiu najbogatszą ze wszystkich całego świata. Natrafia się na kruszec w głębi dwunastu stóp prostopadle i w znacznej przestrzeni. W przeszłym roku wydobyto dwanaście milionów funtów ołowiu.

Futra otrzymywane przez kompanję amerykańską w zamian od Indjan, mają także wielką cenę; handel przez nowe związki rozleglejszych nabędzie gałęzi.

Mówca Winnebago przemawiający do prezydenta Zjednoczonych krajów, podając *fajkę pokoju*, wyraził się w tych słowach, które tłumacz przekładał po angielsku.

»Ojczy, cieszę się że cię widzę, i biorę twą rękę na znak przyjaźni.

»Ojcie, chmura się między nami rozciągnęła, wielka nas przedzielała droga. Mawiano mi: chmura gradem padnie, a droga zamknięta będzie. Ale dziś widzę twarz twoją, i ona mnie pociesza.

»Ojcie, mawiano że czerwoni ludzie nie zdołają tej przebyć drogi. Jam to przedsięwziął, a ona jest ich scieszką prowadzącą, do Wielkiego Ducha świat napełniającego.

»Ojcie, gdym ujrzał mieszkanie twoje, widziałem że jest białe i piękne.

»Ojcie, Duch Wielki dał dzieciom swoim Winnebagom roślinę dobrą i miłą do palenia; jest ona w tej fajce, daje ci ją na znak przyjaźni.

»Ojcie, mówiono mi że serce twoje jest czarne, ale ono nie jest czarne. Jestem tak stary jak ty; mowa moja jest krótka; oto jest jeden z naszej gromady który lepiej niż ja mówić będzie.»

W ówczas przystąpił młody Winnebago, zapalił fajkę, a stary wojownik podał ją przyzycyentowi. Kolejno podawana była przyzycyentowi, a w miarę jak się dym wznosił, Indjanie wydawali chrapliwe mruczenia na znak uradowania. Przyzycyent kazał w ówczas tłumaczowi przełożyć te słowa do Winnebagów.

»Patrzajcie na oblicze niebios, jest ono bez chmur. Słońce świeci nad nami, a Wielki Duch rad jest naszemu spotkaniu. Zanoszę modły aby słońce przyświecało powrotowi do siedlisk ojców waszych. Po waszém odejściu, patrzeć będę z

ufnością na tę fajkę, a jeśli postyszę że chcecie mi wydać wojnę, odpowiem, że to być nie może, bom miał słowo przymierza jednego z Winnebagów.»

Przy końcu każdej myśli, tłumaczonej przez Indianina, Winnebagowie, z głową spuszczoną, w postawie zadumanej, wydawali okrzyk gardłowy jako znak przytwierdzający. Po ostatnich słowach prezydenta, wszyscy zmieniając pierwszą podstawę, wydali ryk przerażający. Był to wyraz radości z przyczyny zawartego przymierza. Ten okrzyk zakończył obrzęd.

GAZETA PODRÓŻY I JEOGRAFJI

POLSKA. Już się teraz nie mamy spodziewać przybycia sławnego Al. Humboldta do Warszawy. Gazety donoszą, iż ten uczony przeprowiwszy się szczęśliwie przez Haf, udał się w dalszą podróż do Rossji przez Kłapejdę.

—Obywatel Tomasz Maruszewski, powierzył Towarzystwu Prz. Nauk złtp. 1,000 nagrody, lub medal tejże wartości, za najlepszą rozprawę, wykazującą stan Podola między traktatem Buczackim a Karłowickim.

ROSSJA. W Petersburgu ogłoszono prenumeratę na kartę hydrograficzną państwa rosyjskiego; kosztuje na welinowym papierze 10 r., na zwyczajnym 7 rubli.

—Król. pruski rzeczywisty radca tajny Alexander Humboldt przybył do Petersburga d. 18 kwietnia.

—Mają nadzieję iż przy piasku złotym nawet i brylanty znajdować się będą. Zapewnia o tem wędrownik i badacz przyrodzenia P. Eschwege.

FRANCJA. P. Fontanier, młody podróżny francuzki, który spędził pięć lat na zwiedzaniu Persji, Turcji azjatyckiej i europejskiej, oraz części Arabji, czytał na ostatnim posiedzeniu Tow. jeogr. w Paryżu, wiadomość historyczną o swej podróży, oraz odpowiedź na wiele pytań zadanych mu przez Towarzystwo; wiadomości przez niego udzielone mocno wszystkich zajęły, i każą z niecierpliwością oczekiwać ogłoszenia podróży tego młodego uczonego. — Mówią że P. Caillé francuzki wędrownik, w towarzystwie 2 lub 3 uczonych, z dozwoleniem i pomocą rządu przedsięwzięcie drugą podróż do środkowej afryki.

— Ostatnie listy po Egipcie i Nubji podróżujących francuzkich uczonych i artystów, datowane są z Isambul pod d. 12 stycznia. Od d. 3 tegoż miesiąca pracowali w świątyni tego miasta, nad największym i najważniejszym pod względem historycznym pomnikiem całej okolicy. Monitor obiecuje umieścić z nich wyciąg, i dodaje, że wnioski młodszego Champollion są nader ważne.

ANGLJA. Dnia 28 kwietnia odbyło się zgromadzenie akcjonariuszów Tunelu, któremu przewodniczył W. Smith. Rzecz szła o to: czy można zmienić potychczasowy plan towarzystwa, i powierzyć komu innemu przez antreprzykę, ukończenie zaczętego dzieła. Ten wniosek znalazł mocną bardzo opozycję, którą szczególnie admirał E. Codrington popierał, a to na tej zasadzie, że budowy przez antreprzykę stawiane, nigdy potrzebnej mocy i trwałości nie mają. Koszta ukończenia Tunelu wymagają jeszcze 300,000 fun. szterl., które zapewne parlament obmyśli, bo książę Wellington i wielu członków rządu sprzyja temu przedsięwzięciu.

PRUSSY. Gazeta Rządowa Pruska umieściła list Pana Klaproth, pisany z Paryża d. 5 kwietnia, w którym uczony ten dowodzi, iż badania tych, którzy usiłują wyczytać hieroglify Egipskie, nie przynoszą spodziewanego pożytku. Między innymi wyraża w tym liście: — „Odkry-

cia Panów Joung i Champollion mogą posłużyć do wyczytania na pomnikach nazwisk władców Egipskich, lecz cokolwiek powiedzą powierzchownie o rzeczy tej sądzą, nie doprowadzą nigdy nawet do powierzchownego poznania treści napisów Egipskich. Zresztą w pismach Pana Champollion pełno jest najbezzasadniejszych wniosków i nieudowodnionych przypuszczeń, które odkryte będą w dziele, w którym także ocenioną zostanie wartość odkrycia alfabetu Fonetyckiego.

BIBLIOGRAFJA.

WE FRANCJI WYSZŁY DZIEŁA:

— *Abrégé historique et chronologique des principaux voyages de découvertes par mer, depuis l'an 2000 avant J. Chr. jusqu'au commencement du XIX. siècle, etc.* par M. Bajot etc. Paris 1829 1vol. 8vo 3 franc. (w miéjscu).

— *Voyage pittoresque etc.* Podróż malownicza nad Renem, przez P. Bleuher. Toż samo dzieło wyszło także i z tekstem niemieckim.

— *Gênes et ses environs.*

W NIEMCZECH.

— *Hubbers Skizzen aus Spanien.* — *Geschichte der geographischen Entdeckungsreisen 1stes bis 3tes Bändchen, von Falkenstein.* — *Meine Auswanderung nach Armenien im Jahre 1822, und meine Rückkehr in die Heimath im Jahre 1825, nebst Bemerkungen über den Kirchl., ökonom. und moral. Zustand der dortigen Deutschen, und Winke für Auswanderungslustige, von J. H. Gudehus.* — *Das nordwestliche Africa oder die Staaten Fez und Marocco, Algier, Tunis und Tripolis, nebst der Wüste Sahara, entworfen von Weiland.* — *Charte von Senegambien, Sudan und Ober-Guinea, von denselben.*

K O T U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.
N^{er} 35.

Z PIERWSZEJ POŁOWY CZERWCA 1829 ROKU.

XIII.

REISE NACH BRASILIEN etc.

Podróż do Brazylii PP. Spix i Martius, członków Akademji umiejętności w Munich etc.; przedsięwzięta na rozkaz króla Bawarskiego MAXYMILJANA JÓZEFA I. — Tom I. in 4^o Munich 1823.

Brazylija, którą niegdyś tylko pod względem handlowym się zajmowano, stała się za dni naszych przedmiotem powszechnej ciekawości. Skutkiem wypadków politycznych które na początku wicku <http://www.wstrzasnety.pl> Europa, wznio-

sła się Brazylja z niskiego położenia do rzędu mocarstw niepodległych; nie obawia się już ona a by widziała swe dobro poświęcone dobru metropoli; a oswobodzona z przeszkód które przez przeciąg lat kilku zgubny wpływ na przemysł jej wywierają, może dziś swobodnie używać korzyści jakich jej udzieliła natura. Nie wiele krain w istocie było przez nią tak jak Brazylja uposażonych. Na rozległej przestrzeni swojej zawiera ona okolice, w których panują upały zwrotnikowe, oraz inne których klimat jest taki jak pod pasem umiarkowanym; pasma gór i dolin; lasy pierwotne i niezmierne stepy. Ziemia Brazylji jest nadzwyczajnie zyzna: za ledwie ziarno zostanie jej powierzone, za ledwie wydobędzie się na wierzch, młoda roślina rozwija się w kilka dni z zadziwiającą szybkością; dla rozmnożenia niektórych drzew, dosyć jest uciąć gałązkę i w ziemię ją wsadzić. Nietylko ziemia ta wydaje dobrowolnie bardzo wielką rozmaitość szacownych roślin, ale nadto zdolna jest do uprawiania na niej płodów roślinnych średniej Europy i Indji wschodnich; wino, grusza, brzoskwinia, morela udają się tutaj równie dobrze jak cynamon, pieprz, gwoźdźki, muszkat i herbatowa krzewina. Niechaj jednakże nikt nie mniema, iżby w tem przesada poetycka być miała; tak nam malują ową krainę poważni natury badacze, co wiele lat na jej łonie spędzili.

Gdyby się zapytano skąd pochodzi iż pośród

ylu dobrodziejstw przyrodzenia, sztuki, przemysł, rolnictwo, nie uczyniły wielkich postępów w przeciągu lat dwudziestu które upłynęły od epoki przeniesienia się dworu Lizbońskiego do Rio - Janeiro, odpowiedź trudnąby nie była. Zmiana nawyknień ludu, uczynienie go pracowitym, czynnym, przemysłnym, z niedołążnego i oddanego próżniactwu aż do tej epoki, nie może być dziełem jednej chwili: zmiany takiej tylko od nowego pokolenia oczekiwać można. A oprócz tego, szczupła ludność Brazylii, na ogromnej powierzchni kraju rozproszona, stawia wielkie przeszkody wzrostowi jej pomyślności. Dla braku rąk do pracy potrzebnych, nie można tam ani zakładać rękodzielni któreby przerabiały surowe płody ziemi, ani prowadzić wielkich gościńców i budować mostów dla ułatwiania związków między rozmaitemi cesarstwa prowincjami, ani przedsiębrać karczunków dla uczynienia kraju zdrowszym; za ledwie dostateczna jest liczba ludzi do prowadzenia rzemiosł najkonieczniejszych. Bez wątpienia, napływ ludności znacznie się powiększył od czasu jak Rio - Janeiro stało się siedliskiem monarchy; ale choćbyśmy nawet przyjęli że liczba przybyłych na osiedlenie cudzoziemców przenosi do 100,000, byłoby to zawsze słabym zasiłkiem dla kraju dziesięć razy tak wielkiego jak Francja, którego ludność za ledwie czterech milionów dochodzi. A jeszcze policzyć w to należy pokolenia krajowców, któ-

rych stan barbarzyński jest taki, iż nie dozwala ich liczyć pomiędzy żywoły przyszłej pomyślności Brazylii. Rząd wprawdzie stara się zamienić ich w użytecznych obywateli: wyznaczył nawet w r. 1808 osobną kommissję (Junta da civilisação dos Indios), która udzieloną sobie miała bardzo rozległą władzę, i mogła najdzielniejszych używać środków dla ucywilizowania Indjan; ale aż dotąd rezultaty środka tego były prawie żadne. Niegodziwe przez kilka wieków postępowanie Portugalczyków z Indjanami, a które i teraz kiedy niekiedy się wznawia, uczyniły tych ostatnich tak nieufnymi, iż ci w najdobroczyńniejszych ofiarach rządu mniemają widzieć zasadzki na siebie wymierzone: łatwo pojąć można iż uczucia takie muszą bardzo utrudniać wszelkie zbliżenie się wzajemne dwóch ludów. Być może również że i krajowcy Brazylscy nie są zdolni do przyjęcia cywilizacji; przynajmniej nie uprzedzeni przeciwko nim podróżni wystawiają ich jako próżniaków, nieudolnych, obojętnych na uczucia rozkoszy lub smutku, i nie mających najmniejszej ciekawości: niełatwo zapewne skłonić podobnych ludzi do porzucenia tułaczego życia, do tworzenia osad stałych i oddania się porządnej pracy. Zresztą, liczba ich nie jest znaczna, a ponieważ małżeństwa nie są bardzo płodne, liczba ta przeto ciągle się zmniejsza. Nie od krajowców więc spodziewać się można zaludnienia Brazylii, ale raczej od osadników wszel-

kich narodów, których rząd obecny stara się ściągać, i od wzrostu ludności portugalskiej której szczególnie sprzyja.

Wypadek który podniósł Rio-Janeiro do rzędu rezydencji monarszych, równie był dla nauk jak dla pomyślności kraju korzystnym. Niegdyś Portugalczycy sami zwiedzali Brazylję jedynie w kupieckich widokach, a cudzoziemców troskliwie od niej oddalano, tak iż pod względem który uczonych interesuje, można ją było nazwać ziemią nieznaną. Lecz zaledwie rodzina królewska osiadła w Rio-Janeiro, dozwoliła natychmiast wstępu do kraju cudzoziemcom wszelkich narodów. Wielu naturalistów korzystało z tego pozwolenia, a niektórzy z nich, jako to: hrabia Hofmannsegg, PP. Eschwege, Freireis i Siebers wydali pamiętniki zawierające owoce swych badań nad rozmaitemi gałęziami historii naturalnej kraju Brazylskiego. Później, przy zaślubieniu arcy-księżniczki Leopoldyny z Don Pedrem, dwór wiedeński wysłał do Rio-Janeiro kilkunastu uczonych, którzy mieli polecone poznanie Brazylii pod względem uczonego, a król Bawarski przydał do ich liczby dwóch członków Akademji umiejętności z Munich, PP. Spix i Martius, pierwszego zoologa, drugiego botanika. Za powrotem do Europy, ci dwaj akademicy ogłosili opis podróży swojej, której mamy pod ręką tom pierwszy, wydany z wielką okazałością typograficzną. Pominiemy część naukową

która do nas nie należy, i przestaniemy na wyjęciu z dzieła niektórych szczegółów, mających zaletę nowości, o miastach Rio - Janeiro i San - Paulo.

Rio - Janeiro albo S. Sebastiao leży przy wstępie do wielkiej zatoki, na wazkim klinie ziemi przedłużającym się od południa ku północy. Miasto zbudowane jest na przestrzeni dosyć równej; od południa i od południo - zachodu panują nad niem wzgórza łączące się z łańcuchem gór *Corcovado*, nie wysokich i lasami w całej rozległości okrytych. Część miasta najbardziej ku północy leżąca, albo stare miasto, składa się z ośmiu równo - odległych ulic, dosyć wazkich, ale pod sznur ciągnionych, i przeciętych pod kątem prostym przez wiele poprzecznych ulic; wielki plac *Campo de S. Anna* oddziela ją od nowego miasta, zbudowanego w większej części od czasu przybycia dworu, i połączonego mostem z trzecią częścią, *Bairro de Mato - porcos*. Domy nie są bardzo wysokie i zbudowane z granitu; fasady ich były dawniej oszpecone wystawami zamkniętymi, które dziś z rozkazu rządu ustąpiły miejsca ładnie zbudowanym gankom. Ulice są brukowane granitem i opatrzone boczniemi chodnikami, ale słabo są oświetcone jedynie świecami które przed obrazami P. Marji zapalają. Pomiędzy publicznemi budowlami najznakomitsze są: dawniejsze kollegjum Jezuitów, klasztor Benedyktynów, pałac biskupi; *Forte da Conceição*; ale wszystkie są zbudowane w

bardzo nieszczęśliwym smaku; pałac nawet cesarski, dawna wice-królów rezydencja, nie jest gmachem godnym monarchy wielkiego państwa. Jedyne pomniki budownictwa zasługujące na wzmiankę, jest wodociąg, ukończony r. 1740, który z góry Carasvado prowadzi do miasta wodę na potrzeby jego służącą.

Ludność Rio-Janciro składa się powiększającej części z Portugalczyków i potomków Portugalczyków, już to białych już kolorowych. Rzadko postrzedz tam można Amerykanów rodu krajowego. Żeglarze z ogorzałymi twarzami, których wielką liczbę w porcie widzieć można, i których niektórzy podróżni pomieszali z Indjanami, są mulaci.

Przed przybyciem króla, liczone w Rio około 50,000 mieszkańców, z których większa część była czarnych lub kolorowych: w 1817 miasto i przedmieścia zawierały przeszło 110,000 ludności. Od r. 1808 aż do 1817, około 24,000 Portugalczyków przeniosło się z Europy do Brazylii, a ten znaczny napływ, do którego przydać jeszcze należy wychodźców angielskich, francuzkich, hollenderskich, niemieckich i włoskich, którzy osiedli w Rio jako kupcy i jako rzemieślnicy, musiał bardzo złagodzić charakter narodowy mieszkańców, chociażby tylko przez zmienienie stosunku mieszkańców białych do kolorowych. Ale mianowicie pomiędzy zamożnymi kupcami stolicy równie jak prowincji Minas-

Geraes i S. Paulo, postrzedz można wydatnie, jak daleko przybycie nowych osadników pomnożyło potrzeby życia, i jak wiele t \acute{e} m sam \acute{e} m przyczyniło si \acute{e} do nadania nowego bodzca przemysłowi. Brazylja nie posiada szlachty właściwej; przed przybyciem króla, duchowni, wyżsi urzędnicy oraz właściciele gruntów i kopalń, którzy żyli na prowincji, posiadali w pewnym względzie przywileje i odznaczenia szlacheckie. Rozdając im tytuły i urzędy, monarcha ściągnął ich do stolicy, gdzie oswoili si \acute{e} wkrótce ze zbytkiem i sposobem życia europejskim i z kąd wywierają na inne klasy ludu wpływ zupełnie odmienny od tego jaki dawniej wywierali. Prowincje nawet, których mieszkańcy zwiedzają bardzo często Rio-Janeiro, juź to z ciekawości, juź w celu zebrania tam majątków, nawykają do uważania tego miasta za wzór do naśladowania, i przyjmują obyczaje i zwyczaje europejskie.

W ogólności, niewątpliwą jest rzeczą, iż Brazylja bardzo wiele zyskała na t \acute{e} m, że nie jest juź rządzoną przez wice-królów. Od czasu przybycia dworu, sprawiedliwość, skarbowość, policja, lepiej uorganizowane zostały; podatki rozłożono regularniej i sprawiedliwiej; oznaczono ściślej atrybucje urzędników publicznych, i rząd wielkie uczynił ofiary, celem rozszerzenia wiadomości pożytecznych i ożywienia przemysłu narodowego. Niestety, Brazyljanie zbyt jeszcze pamiętają o zgubnym w pływie rządu o-

sadniczego, pod którym przez dwa wieki jęczyli, aby umieli ocenić tak jakby powinni, mądre widoki rządu, i aby je przez usiłowania z swęj strony wspierać mogli. Aż dotąd więcej okazali skłonności do przejmowania od Europejczyków wszelkich rodzajów ich zbytku, aniżeli do postępowania za ich śladami w zawodzie sztuk i umiejętności. Dla tego więc nie należy się spodziewać znaleźć w ich stolicy tych wielkich i użytecznych zakładów naukowych jakie Europa posiada.

Rio-Janciro ma bibliotekę z 60,000 tomów złożoną, którą król Jan VI. z Portugalji z sobą sprowadził. Jest ona otwarta dla publiczności codziennie, ale sale jej są zawsze prawie próżne, tak dalece Brazyljanie doznają mało potrzeby nabywania wiadomości. Z tychże samych przyczyn, jedyny dziennik literacki, który probowano wydawać w Rio, pod tytułem *O Patriota*, nie mógł się dłużej nad kilka lat utrzymać, chociaż wielka różnaitość przedmiotów w nim umieszczanych, powinna była uczynić go przystępnym dla licznych czytelników. W całym państwie wychodzą tylko dwie gazety polityczne: *Gazeta del Rio de Janeiro*, w stolicy, i *Idad de ouro do Brasil*, w Bahia; i te nawet bardzo mało są czytane. Mieszkańcy środkowych zwłaszcza prowincji, żyjąc w oddaleniu od siebie i rzadko wzajemnie się udzielając, mało się zajmują wypadkami politycznymi, i przestają na wiadomo-

ściach, jakie im przynoszą kupcy ich, zwiedzający raz na rok porty morskie.

Stolica posiada wiele zakładów naukowych uprzywilejowanych od rządu; najlepszym z tych jest liceum albo *Seminario de S. Joze*, gdzie uczą języków: łacińskiego, greckiego, francuzkiego i angielskiego, retoryki, jeografji, matematyki, filozofji i teologii. Większa część profesorów należy do stanu duchownego, który wszelako nie tyle wpływa na oświatę publiczną jak za czasów jezuitów. Szkoła lekarska niedawno utworzona, jest bardzo użytecznym zakładem, tém więcej, iż w prowincjach środkowych kraju lekarze są bardzo rzadcy. Szkoła wojskowa (*academia militar real*) doznaje szczególnej protekcji króla, i posiada wybornych profesorów, ale jój zbywa na uczniach; natomiast, kursa wykładane w instytucie zwanym *Aula de commercio*, w rozmaitych przedmiotach z handlem związek mających, są bardzo uczęszczane.

Zaledwie król przybył do Brazylji, powziął zamiar założenia uniwersytetu, już to w Rio - Janeiro, już San Paulo. Jeden z członków akademji lizbońskiej J. Garcia Stockler, przedstawił plan, rzucony podług wzoru uniwersytetów niemieckich, ale wykonanie jego znalazło mocny opór w wielu osobach wpływ mających, które pragnęły utrzymać Brazylję w stanie osady zawisłej od metropoli, i projekt ten upadł. Wszelako, utworzenie uniwersytetu mogłoby być je-

dynie obudzić Brazyliję z otrętwienia umysłowego w jakim zostawała, i podnieść ją do rzędu wielkich mocarstw. Dopóki to nie nastąpi, młodzi Brazylijanie będą musieli dla wykończenia edukacji udawać się do uniwersytetu w Koimbra; obowiązek zaś ten, jakkolwiek nieprzyjemny, przynosi im tę korzyść jednakże, iż poznać mogą Europę i jej instytucje.

Utworzenie akademji Sztuk pięknych, która swój byt winna ministrowi stanu *Araujo Conde da Barca*, nie przyniosło dotąd spodziewanych korzyści. Na próżno rząd przywołał do Brazylii artystów francuzkich, malarzy, snycerzy, rytowników, budowniczych, w nadziei iż płody ich talentów i ich lekcje obudzą między Brazylijanami smak do sztuk pięknych; postrzeżono w krótko, iż chwila ta jeszcze nie nadeszła. Kiedy nowe zwyczaje nadadzą Brazylijanom więcej energii, więcej działalności, więcej ruchu aniżeli dotychczas mają, w ten czas dopiero można ich będzie widzieć przynoszących korzyści i przyjemności jakie sztuki nadobne przynoszą, a których bez usiłowań nabyć nie można, nad to jakie im piękny klimat bez żadnych starań przedstawia. Co do literatury, Brazylijanie, szczególnie w klassach wyższych towarzystwa, czytają z upodobaniem dzieła francuzkie, a liczba ich co-rocennie do Brazylii wprowadzana przechodzi wszelkie wyobrażenie. Trudno jest ten gust wytłumaczyć, tem bardziej, iż Portugalczycowie,

a tém samym i Brazylijanie mają więcej stosunków politycznych i handlowych z Anglikami aniżeli z Francuzami; wszelako język francuzki coraz bardziej się rozszerza. Nie jest jednakże dotąd językiem towarzystwa, ponieważ tylko mężczyźni umieją po francuzku i po angielsku; kobiety zaś jeszcze się nie nauczyły używać innej mowy oprócz ojczystej.

Rio - Janeiro uchodził pospolicie za jedno z najmniej zdrowych miast w Brazylii; klimat jest tam gorący i wilgotny, co pochodzi szczególnie z położenia miejsca, ponieważ łańcuch gór Corcovado i wyspy zamykające wstęp do zatoki, wzbraniają wolnego przewiewu wiatrów. Nie można wszelako powiedzieć iżby tam panować miały choroby do miejsca przywiązane, a jeśli śmiertelność jest większa aniżeli wewnątrz kraju, przyczyny tego szukać należy w wielkim napływie cudzoziemców, zrodzonych w najrozmaitszych klimatach. Najlepsza rada jaką dać można Europejczykom udającym się do Rio - Janeiro, jest ta, iżby przyjęli sposób życia Brazylijan, który zależy na tém aby nie być wystawionym na skwar słoneczny przez dzień, aby uniknąć wilgoci wieczornej, używać więcej roślinnego aniżeli mięsnego pożywienia, wstrzymywać się od napojów spirytusowych, i zachowywać we wszystkiém wielkie umiarkowanie; przy tych ostrożnościach, zdrowie ich nie będzie więcej

narażone w Brazylii jak w jakimś innym kraju.

Przed przeniesieniem dworu Lizbońskiego do Rio-Janciro, miasto to równie jak wszystkie miasta Brazylii, z Portugalją tylko mogło handel prowadzić; handlarze Portugalscy, nie tylko stanowili cenę pŁodów brazylskich jakie im nadsyŁano, ale dawali za nie w zamian produkta przemysŁu europejskiego, z warunkami jakie im sie podobalo oznaczyć. Dekret królewski, ogłoszony w lutym 1808, uwolnił Brazylję od tych ścieśnień, i otworzył porty jej dla wszystkich krajów; od tego to dekretu zaczyna się nowa epoka w historii kraju tego. Dzisiaj Rio-Janciro sprowadza bezpośrednio, z Anglii, Francji, Niemiec, Rossji, Szwecji, Krajów zjednoczonych, z nadbrzeżów Afryki i z Indji wschodnich, rozmaite przedmioty których kraj do zużycia swego potrzebuje; wysyŁa podobnież do portów Europy, Azji i Ameryki poŁnocnej pŁody przyrodzone ziemi brazylskiej, w liczbie których, po materjach złotykh i drogich kamieniach, przytoczyć należy mianowicie bawełnę, eukier i kawę; korzyści z tego rozległego handlu, jakie odnosily w większej części miasta Lizbona i Oporto, z bogacają dzisiaj stolicę Brazylii, która w krótce stanie się bez wątpienia jednym z najbogatszych portów morskich.

Trudno jest oznaczyć z pewnością masę pieniędzy brzęczących jaka jest w obiegu w Rio-

Janciro, ponieważ różnemi czasami wypływające do Indji wschodnich lub do Chin okręty zabierają z sobą summy bardzo znaczne; z kąd powstaje nagle taki niedostatek pieniędzy, iż potrącanie dochodzi niekiedy do 22 od sta. Bank Brazylski, instytucja zawiązana pierwsiastkowo przez prywatnych, a zatwierdzona przez króla w 1808 r. nie opiera się na dosyć silnych rękojmiach, iżby mogła wynagrodzić niedostatek gotowizny, tak, iż często kilka miesięcy upływie za nim rzeczy wrócą do dawnego położenia. Oznaczony procent używany w handlu jest 12 od sta.

Miasto *S. Paulo*, stolica prowincji tegoż nazwiska, leży na małej wzniesłości pośród rozległej równiny *Piratininga*. Rodzaj budownictwa użyty w niem zapowiada miasto starożytne; wszelako ulice jego są szerokie i czyste; domy, budowane z ziemi (pisé), mają pospolicie dwa piętra. Rezydencja gubernatora, dawne kollegjum jezuickie, pałac biskupi i klasztor Karmelitów, są gmachy dosyć piękne, ale reszta miasta zbudowana jest w stylu dość płaskim.

Jezuici *Nobrega* i *Anchieta* założyli w roku 1552 osadę na tém miejscu na którem dziś stoi *S. Paulo*, i pracowali pomyślnie nad nawracaniem *Goyanazów*, pokolenia krajowców którzy te okolice zamieszkiwali. Skutkiem zgody panującej od początku między Portugalczykami i krajowcami, osada ta wzrosła bardzo szybko, a w epoce kiedy Portugalia i Brazylja przeszły pod berko Fi-

lipa II, Paulitanie byli dość mocni dla oparcia się Hiszpanom, i zamienienia się w niepodległą republikę. Wojna zawzięta którą przeciw nieprzyjacielowi popierać musieli, rozwijając ich energję, nacechowała tém samem ich charakter twardością i gwałtownością; dla tego też niektórzy pisarze mówią o nich jak o ludu nieprzyjaznym wszelkiemu porządkowi prawnemu, i przyznać należy, iż w wojennych wyprawach swoich pozwalali sobie często okrucieństw, które usprawiedliwić mogą te zarzuty. Ale od czasu jak wrócili pod panowanie portugalskie, charakter ich znacznie się zmienił. Jeśli jeszcze zachowali nieco dumy narodowej, popędliwości, i ducha swobody, są oni obok tego gościnni, życzliwi, otwarci, a pod względem czynności i przemysłu, wyżsi są od innych Brazyljan. Rozpatrując się w kolorze ciała i w rysach mieszkańców S. Paulo, postrzedz można że małżeństwa między osadnikami europejskimi i krajowcami, były pierwiastkowo liczniejsze nierównie w téj prowincji Brazylii aniżeli we wszystkich innych. Znajdują się tam wistocie rodziny krajowców którzy zachowali swój ród wolny od pomieszania z Indjanami, i którzy są bielsi niż czyści potomkowie Europejczyków w prowincjach północnych Brazylii. Ale większość ludności składa się z metysów albo *mamelucos* rozmaitych odcieni, od śniadego aż do kawowego koloru: u wszystkich twarz szeroka i zaokrąglona, z policzkami wy-

skakującymi, oczy małe i czarne, oraz coś niepewnego w wzroku, zdradzają pochodzenie od Indjan. Zresztą, Paulitanie mają rysy twarzy mocno wydatne i okazujące charakter dumny i niepodległy, oczy ciemne i pełne ognia, włosy czarne i połyskujące, wzrost wysoki, i wielką siłą muskularną, która wszystkim ich poruszeniom nadaje jakąś żywość i pewność. Siła i zręczność jakie rozwijają ujeżdżając konie niesforne i chwytając za pomocą arkanów dzikie woły, są równie podziwienia godne jak cierpliwość z którą znoszą upał i zimno, głód i pragnienie, pracę najmozolniejszą i najprzykrzejszy niedostatek. Mają szczególną skłonność do podróŜowania, i Paulitanów można znaleźć osiadłych we wszystkich prowincjach Brazylii. Kobiety Paulitańskie mają kibić wysmukłą, twarz bardzo przyjemną, a płeć świeŜszą jak inne Brazyljanki. Do tych zewnętrznych przymiotów łączą one wiele naturalności, naiwności i wesołości.

Paulitanie uchodzą za zdolniejszych do pojmowania nauk poważnych niŜ inni Brazyljanie. Za czasów jezuickich, oddawali się pomyślnie teologii; dzisiaj w gimnazjum Sgo Pawła czytają z wielką gorliwością klasyków łacińskich; nauka metafizyki nie jest tam zaniedbana, a nawet filozofja Kanta nie jest im obcą. Jedyne biblioteka znajdująca się w S. Paulo należy do biskupa; zawiera ona klasyków staroŜytnych, dzieła teo-

logiczne, historyczne, i bardzo użyteczna jest dla młodzieży odbywającej nauki w seminarjum miasta tego.

Ludność miasta S. Paulo dochodzi do 30,000 mieszkańców, między którymi blisko połowa jest kolorowych. Ludność całej kapitanji S. Paulo wynosiła w 1808 r. 200,478; w 1814 r. 211,928, a w 1816 r. 215,210. Stosunek urodzeń do całej ludności jest jak 1 do 21, a śmierci jak 1 do 46.

Zbytek europejski jeszcze nie zakradł się do S. Paulo, równie jak i do Bahia, Fernambuco i Maranhao; starają się tam w przyozdabianiu mieszkań o czystość i wygodę więcej jak o blask i okazałość. Co do zgromadzeń towarzyskich, w tonie jaki tam panuje bardzo mało przebija się wpływu europejskiego; muzyka i tańce grają tam większą rolę aniżeli karty, znajdując się również w S. Paulo teatr, ale sztuka dramatyczna jeszcze tam w kolebce zostaje.

Prowincja S. Paulo jest krajem bardzo korzystnym dla chowu bydła, mianowicie rogatego, koni i mułów. Co do płodów osadniczych jak np. bawełny, cukru i kawy, te miernie się tam udają, i mniej są uprawiane niż w prowincjach więcej północnych. Wszelako zbierają ich prawie tyle ile potrzeba dla ludu, resztę wywożą do Rio. Mais i ryż udają się pięknie, i stanowią główne pożywienie ludu. W okolicach miasta S. Paulo, widać wiele ogrodów, w których

uprawiają owoce nie tylko krajowe, ale i europejskie, jako to: wisznie, jabłonie, brzoskwinie, orzechy i kasztany, przeniesione dosyć pomyślnie z Europy; ale wino i oliwne drzewa jeszcze się tam dotąd nie przyswoiły.

Klimat miasta S. Paulo, z powodu położenia jego pod zwrotnikiem koziorozca, i wyniosłości nad poziom morza, ma wszelkie korzyści nieba zwrotnikowego, nie mając przytęm jego niedogodności; nigdy tam upały nie są nieznosne, a średnia wysokość ciepłomierza bywa 22 do 23 stopni (na ciepłom. 100 stopni.) Różnica pomiędzy temperaturą pory zimnej (od miesiąca maja aż do września), i pory ciepłej albo dżdżystej (od października do kwietnia), jest wydatniejsza aniżeli w prowincjach północniejszych. Często dosyć można widzieć w porze zimnej wyniosłe miejsca okryte białym mrozem: wszelako, zimno nigdy nie trwa tak długo iżby potrzeba ogrzewać mieszkania.

Uważając pod wszelkim względem, S. Paulo jest prowincją Brazylii przedstawiającą najwięcej korzyści osadnikom którzyby tam chcieli zakładać kolonje rolnicze i zajmować się chowem bydła. Odnosiliby bez wątpienia nie tak wczesne i nie tak znaczne korzyści jak te które dobywanie złota z kopalń w innych prowincjach brazylskich znajdujących się przynosi, pewniby jednakże byli że pomyślność swoją na silnej i trwałe_x budują podstawie.

XIV.

MEXYK, przez P. WARD

sprawującego interesa Króla Jmci Angielskiego w tym kraju. 2 Tomy in 8.

Londyn 1828.

Autor tego dzieła przepędził trzy lata w Meksyku, w charakterze załatwiającego interesa Anglii, przy rządzie nowcej Rzeczypospolitej Meksykańskiej. Postrzeżenia które ogłosił o stanie politycznym handlowym i przemysłowym tego kraju, są najświeższe, autentyczne i zajmujące. Nie tak on jaka jest dziś trudność opisywać bezstronnie przedmiot którym się zatrudnia, a nade wszystko w taki sposób aby podobał się powszechnej opinii w Anglii, która obłudnioną jest w rozmaitym kształcie. »Trzy lata temu, mówi w przedmowie swojej, niewolno nawet było wydać się z powątpiewaniem względem tego co głoszono o niewyczerpanych środkach tego kraju; teraz, przez inną ostateczność, najgruntowniejsze mniemania przyjmowane są z niedowiarczym uśmiechem, skoro tylko nie zgadzają się z przychylnym wyobrażeniem o tym kraju. Takowy stan umysłów musiał koniecznie wypłynąć ze sposobu postępowania entuzjastów i tych co na entuzjazmie drugich widoki swe zasadzali, odkąd

granica dawny świat od nowego dzieląca obaloną została. Ci ludzie pracowali nad podniesieniem wyobraźni nieświadomych, ukazując stan rzeczy jaki nie istniał nigdy. Podług nich, południowa Ameryka, od jarzma hiszpańskiego wolna, wystawiała przyszłość nieograniczonej pomysłności, bez żadnych przeciwności. Niezawodny i predki skutek miał uwieńczyć wszystkie przedsięwzięcia w tych stronach szczęśliwych, a to i w ten czas nawet, choćby się nie używało środków rozsądnych, których użycie gdzieindziej przez doświadczenie pokazało się koniecznym. Znajomość czasu, wytrwałość, przemysł, znajomość głęboka ludzi i miejsc, uważane były za mało znaczące. Kapitałów tylko było potrzeba, i nic więcej. Tak to nieszczęsne teorie zajęły miejsce doświadczeń. Ale wkrótce, po zbytnej łatwości nastąpiło powątpiewanie zacięte, kiedy dowiedziono że zostawano w błędzie; odtąd ugruntowane nawet prawdy urojeniami zwano.

Dzieło pana Ward zawiera ksiąg sześć. Pierwsza, w czterech rozdziałach, mówi o granicach, geologii, klimacie, płodach, ludności, i o systemie administracji Hiszpanów, będących jeszcze panami Meksyku. Druga mieści historję rewolucji od 1808 do 1824, epoki upadku i śmierci efemerycznego cesarza Iturbide. Trzecia zdaje sprawę o kształcie dzisiejszego rządu, instytucjach, religijnych wyznaniach, wojsku, marynarce, handlu. Czwarta wylicza kopalnie Me-

xyku. Dwie ostatnie mieszczą opis wydarzeń osobistych Pana Ward w czasie jego pobytu w tym kraju. Ostatek zawiera przydatki udowodniające (*pièces justificatives*), kilka oryginalnych artykułów, i opis niektórych miejsc. Nadto dzieło ozdobione jest litografjami licznemi, rysowanemi przez panią Ward, przynoszącemi zaszczyt jej talentowi. Co do architektury, przekonywają ryciny że w Meksyku przyjęto wyłącznie styl arabski (*mauresque*). Jest to uwagi godne, że porządek architektoniczny, przez Arabów ludom zachodniej Europy przyniesiony, przez te znowu do Ameryki przeszedł; i dziwno jest, przebywszy Atlantyk, znajdować w nowym świecie tyle śladów Arabskiego jenuuszu.

Pan Ward w taki sposób poczyna mówić o Meksyku, przedstawiając obraz bogactw natury, oraz ubóstwa i niedbałości mieszkańców. « Mieliśmy w Santa - Fe próbkę gościnności, jakiej w przechodzie przez *Tierra Caliente* Meksyku spodziewać się należało. Pierwsza więc, do której weszliśmy, jeśli ją tak nazwać można, składała się z kilku chat indyjskich, stawianych z bambusu, a okrytych palmowemi liśćmi. Coś podobnego do portyku osłaniało wnijsćie; bambusy były od siebie w pewnych odległościach, przepuszczając powietrze i światło, okien przeto nie było potrzeba, więc ich też wcale nie zrobiono. Każda chata jedną tylko miała izbę, w której mieszkał ojciec, matka, dzieci, świnie i

kury. Wszakże niekiedy, starają się oddzielny tworzyć pokój, dzieląc chatę zastoną, ale ten wymysł zbytku rzadko za potrzebny uważają. Szczęściem kuchnia oddzielną ma chatę. Rozciągnięte maty, już to na ziemi już na bambusach, służą za łożka. Ruchomości gospodarcze były: tykwy do wody, para wielkich kubków do pomarańczowego soku, kamień do mielenia maisu, i nieco naczyń glinianych niezgrabnie sporządzonych. Wszakże te liche mieszkania obfite miały zapasy. Ptastwo, ryż, tortillas (ciasto z maisu) jabłka sosnowe i dostatek pomarańczowego soku, sprawiły nam wyborną wieczernę; poczem wzięliśmy się do potrzebnych przygotowań dla znośnego przepędzenia nocy. Mieliśmy z sobą kilka ruchomych łożek miedzianych uważanych za konieczne w podróży po tym kraju. Można je w małą składać objętość, a muł dwa takie udźwignie; składają się i rozkładają łatwo, zapewniając wyśmienity środek do spoczynku. Ale jest prócz tego najgwałtowniejsza potrzeba, zaopatrzyć się w siatkę przytwierdzającą się do łożka, dla zastony od muskitów; bez téj bowiem ostrożności, przybywający do południowej Ameryki odbierają okropną naukę od tego owadu nienawistnego, którego częste ukąszenia niekiedy gorączkę sprawiają. Postawiliśmy łożka nasze pod dachem przeciągniętym za ściany chaty, a dwaj towarzysze mojej podróży, doktor Mair i P. Thompson zawiesili sicci u belek dachu. Koniec nasze tak-

że osłonięte zostały; dano im do zbytku suszonych liści maisu zwanych *Zacata*. Służący nasi, obwinięci w płaszcze, położyli się na ziemi, wzięwszy siodła za poduszki, a ludzie nam towarzyszący osiedli wielki ogień, kolejno czuwając dla odstraszenia złodziejów. Obóz nasz ciekawą dosyć wystawiał scenę, i zrobiliśmy uwagę, iż gdyby stary jaki europejski dyplomatyk widział pierwszy nasz krok w zawodzie amerykańskiej dyplomacji, nie śpieszyłby bardzo dobijając się podobnego poselstwa.

Widok ogólny kraju oddzielającego Vera cruz od Puenta jest jednotonny. W prawdzie piaskowe wzgórza nie wchodzą w głąb kraju dalej nad trzy mile; lecz przez kilka mil, wegetacja i pustynia walczą o ziemię. Najbogatsze zielonością łany, przedzielane bywają przestrzeniami piasku i skał najeżonych. Po przejściu dopiero *Pasoso de Ovedas* odkrywa się ślad porządnej uprawy. Ujrzelśmy tam ruiny wielkiej fabryki cukrowej opuszczonej w czasie rewolucji; na okółto nieć jest ślad obszernych plantacji. Ale skorośmy się oddalili od rzeki której ta urodzajność była dziełem, weszliśmy w pustynię piasku, gdzie jednak tu i owdzie obfita wegetacja zapowiadała przyległość bliskich strumieni. W ówczas to dziwilśmy się bogatej rozmaitości roślin nam nieznanych, tak ściśniętych, tak pomieszanych, że oko nawet biegłego botanika nie łatwo by się rozpoznało wśród tego zamętu. Bo gdy każde

drzewo okręcone było gatunkiem powoju lub czepiającemi się okryte roślinami, trudno było rozpoznać kwiaty i owoce drzewa, od kwiatów i owoców pasorzytów. Powietrze pełne było woni przez odloty balsamu od tej rozmaitości kwiatów, których różne i ledwo postrzeżne odcienia walczyły z żywą barwą mnogości. Niekiedy postrzegaliśmy przeskakujące drogę sarny, a wcale nie było widać jaguarów lub innych drapieżnych zwierząt. W całej *Tierra Caliente*, ledwie trzecia część gruntu jest uprawna, a jednak wszystkie indyjskie chaty do których wstępowałem miały podostatkiem maisu, ryżu, bananów, pomarańczy i jabłek sosnowych. Płody ogrodu do każdej chaty należącgo, oraz nieco bobu, wystarczają na wyżywienie całej rodziny, bo Indjanie rzadko używają mięsa. Ptastwo domowe w obfitości dostarcza jaj; zbywające płody niosą do miast przyległych, w zamian za odzież której nie wiele potrzebują. Jeśli się konik jeszcze przyda do osady, co zwykle bywa kiedy z białemi się łączą, lasy temu nowemu gościowi zyznój dostarczają paszy, tak, że w niczem nie powiększa wydatku. Broń, siodło, ostrogi są wprawdzie drogie towary; ale raz nabyte przechodzą z jednej generacji do drugiej; a jeśli młodzieniec, za życia jeszcze ojca zdoła własnym je sobie wystarać się przemysłem, wólen zostaje od wszelkiej podległości.

Pan Ward liczy ośm milionów ludności me-
xykańskiej; mała to jest liczba w stosunku do
rozległości kraju, którego dwa ostatnie krańce
z południa i południo-zachodu ku północy i pół-
noco-wschodowi, obejmują przestrzeń 27 stopni
szerokości, a którego największa szerokość od
rzeki czerwonej w Texas, do pobrzeża Sonora
pod 30° szerokości północnej, zawiera podług
Humboldta 364 mil, rachując 25 na stopień.

Przed rewolucją, mówi nasz autor, dzieliła się
ludność na siedm odznaczających się kast. 1) Starzy Hiszpanie, imieniem Gwachupinos zwa-
ni w historii wojen domowych. (Ci powiększej
części z nowej rzeczypospolitej) 2) Kreole biali
z czystego europejskiego rodu, ale zrodzeni w
Ameryce. 3) Krajowcy z miedzianego plemienia
4) Metysowie, idący z białych i indjan; plemie to
zbliża się coraz więcej do Kreolów, oddalając się
od indyjskiego szczepu. 5) Metysowie pochodzący
od czarnych i białych. 6) Zambos lub Chinos,
z negrów i indjan. 7) Negrowie.

Po czystych indjanach, których ludność wyno-
si dwa i pół miliona, najliczniejsi są metysowie,
bo mała liczba hiszpańskich niewiast przybyłych w
początku do Ameryki, była przyczyną że mięsza-
nina indyjskiej krwi znajduje się w największej
massie ludności; lecz trudno byłoby oznaczyć ich
liczbę dokładnie, bo klasa ta niknie przez niedoj-
rzane odciena w massie białych, których przed
rewolucją liczone 1,200,000 licząc, w to 70 do

80 tysięcy europejczyków. Równie wiedzieć nie można z pewnością o liczbie Mulatów, Zambów i innych powiązanych rodów; bo wśród ludności z tak różnych żywiołów utworzonej, gągniki mieszą się i nieskończenie odcieniają przez połączenia swoje. Sami nawet indjanie, co na pierwszy rzut oka zdają się jedną i tę samą tworzyć masę, wynoszącą blisko dwie piąte całej ludności, dzielą się i poddzielają na liczne odmiany. Winienem, kończąc ten spis ludności Meksyku, uczynić uwagę, że kraj ten ma wielką korzyść przed sąsiedzkimi, nie wiele licząc niewolników negrów. Ich przywóz nigdy znaczny nie był; a w początku rewolucji nie przenosili oni 6,000 głów. Z tych jedni wymarli, drudzy zostali wolnymi, inni weszli w szeregi niepodległych, tak dalece że teraz ani jeden w części środkowej Rzeczypospolitej się nie znajduje, a przywóz jak najsurowiej zakazany jest prawami. W czasie uroczystości dorocznej odbywającej się w Meksyku 16 września, na pamiątkę ogłoszenia niepodległości przez Hidalgo, zwyczaj jest nadawania wolności pewnej liczbie niewolników; roku 1826 doznano już trudności w zebraniu żądanej i potrzebnej liczby niewolników, a pewny jestem że żadnego w tym roku nie znajdą.

Korzyści z tego niedostatku niewolników, znane są tym co widzą niedogodności i niebezpieczeństwo innego rzeczy porządku. Wiadomo, że nawet w Krajach Zjednoczonych niewolnicy, mulaci i

negrowie wolni, są nieustanném źródłem zamieszek i trwogi. Pan Ward wchodzi w zajmujące szczegóły systemu holonjalnego hiszpanów; wykrywa nadużycia które były główną przyczyną rewolucji; przechodzi zdarzenia rozmaite które wstrząsały krajem od 1808 r. a w historii lat później upłynionych, pokazując nam ludzi i stronnictwa znaczniejsze, stawia czytelników w możności sądzenia w jakim stopniu niepodległość Meksyku zagrożoną być może przez dawnych panów jego. Granice tego artykułu zabraniają nam rozszerzać się nad tą zajmującą częścią dzieła.

»Konstytucja Rzeczypospolitej Meksykańskiej, mówi on, przepisana jest z konstytucji Krajów zjednoczonych Ameryki północnej; lecz surowość z jaką meksykańska wyłącza wyznania przeciwnie kościołowi rzymskiemu, stanowi różnicę znaczną między niemi. Kiedy rewolucja wybuchła, z łona duchowieństwa niższego, powiększłej części złożonego z Krecolów, wyszły najczynniejsze podniety nowego rzeczy porządku, a nawet niektórzy z główniejszych dowódców wojskowych, Hidalgo, Morelos, Matamoros i wielka innych liczba byli proboszczami lub xieźmi bez parafji.«

Autor przytacza szczegóły rozległe o handlu i przychodach rzeczypospolitej w r. 1827. Pod tym względem widzi on na przyszłość zaspokajającą zupełnie rękojmię. W 4 xiedze, jedynie kopalniom poświęconej, widzi równie pomyslnie na-

dzieje, mimo szwanków licznych, jakich ziomkowie jego dla przywłaszczenia sobie tych bogactw doznali w przedsięwzięciach źle prowadzonych. »Wybór kopalni, mówi, czyniony był zwykle stosownie do podań zawartych w dziełach Humboldta. Wszelkie kopalnie, o których nie wspominał w swoim *Essai Politique* porzucone były bez żadnej uwagi, a te o których wspominał korzystnie, chęciwie poszukiwane; w tym razie, szacowne to dzieło zgubny wpływ miało na przedsięwzięcia spekulantów i kapitalistów: nie dla tego iżby to z błędów autora pochodziło, lecz ponieważ wyciągnięto z podań przez niego poczynionych, błędliwe wnioski. Pan Humboldt nie utrzymywał wcale aby kopalnia dostarczająca w roku 1802 dostarczała w roku 1826. Chciał on dać ogólne wyobrażenie o zasilkach jakie ten rodzaj przemysłu podawał Meksykowi; a nie mógł lepiej tego dokazać, jak wystawiając już otrzymane rezultata, jako skazówkę tego czego się jeszcze spodziewać można. Ale, na nieszczęście, spekulanci angielscy zwrócili całą uwagę na te kopalnie, nie lękając się, czy one przez kruszeo wydobywany i wydobyty nie będą wyczerpane. Nie utrzymując jednak aby wszystkie kopalnie przez Towarzystwa angielskie zatrudniane, wyczerpane były; sądząc owszem, że obficie wynagradzać mogą w czasie, łożone na nie koszta. Jednakże te kapitały mogłyby korzystniej być gdzieindziej włożone.

Mineralogja zajmuje ważne stanowisko w historii Meksyku, bo kopalnie i rolnictwo najgłówniejszymi są źródłami bogactw w tym kraju. Płody kopalne znajdują się tam w prawdzie w obfitości, ale zbożowe są rzadkie, i Pan Ward nie zdaje się mniemać aby wywóz zboża mógł kiedy stać się korzystną gałęzią handlu. Kopalnie więc, podług niego, są podstawą na której spoczywa pomyślność rolnictwa i handlu. Kopalniom osoby z bogactwem w Meksyku byt swój winne, a one to zachęcają do środków publicznych ulepszeń. »Jeśli by, jak niektórzy mniemają osoby, mówi on, kopalnie Meksyku wyczerpać się miały kraj ten nie tylko straciłby pierwszy żywioł swego handlu, lecz zasiłki jego wewnątrz zmniejszyłyby się jeszcze w stosunku do zmniejszonego handlu. Rolnictwo ograniczy się tylko dostawą na potrzeby mieszkańców; a miasta, których jedynym przemysłem była praca około kopalni, stałyby się tem czem były w czasie rewolucji, obrazem spustoszenia i nędzy; mieszkańcy ich cofając się z drogi cywilizacji, zmuszeni byłiby życie koczownicze pędzić i chwilowych zapasów w utrzymywaniu byłaby szukać. Dowód tego co utrzymuję widać na różnicy jaka zachodzi między małym posiadaczem, mieszkającym w okręgu odległym od stanowisk handlowych, a rolnikiem którego własność jest w bliskości kopalni. Tamten niema ani potrzeb, ani nawet znajomości ucywilizowanego życia. Okryty odzieniem ze skóry lub grubej wełny, w pro-

stocie obyczajów, która technic niewiadomością i grubijaństwem, najczęściej przepędza czas w próżniactwie i w ten czas tylko pracuje kiedy go do tego nagląca zniwoli potrzeba: drugi coraz bardziej przemyślny, w miarę jak z pracy swojej coraz więcej zbiera korzyści, doznaje potrzeb cywilizacji i oraz nabywa środków aby im zadosyć uczynił. Umysł jego staje się przychylniejszym dla sztuk i przemysłu europejskiego; stara on się dla swoich dzieci o wychowanie jakiego młodego nie miały lata; wreszcie, jest użytecznym członkiem społeczności. Któż, widząc takową różnicę, nie uzna ważności téj gałęzi przemysłu co podobne wydaje skutki, i co je sama tylko wydać jest zdolna; bo powtórzyć to muszę, Meksyk bez kopalni pomimo urodzajności swojej, nie mógłby zająć miejsca w rządzie państw ucywilizowanych.»

»Na pobrzeżach, płody które my towarami kolonialnemi zwiemy, mogłyby zawsze wprawdzie dostarczać żywności handlowi; przypuściwszy jednak że płody te do najwyższej już doszły ilości, nigdy jednak nie wystarczą na zamianę wyrobów potrzebnych dla ośmiu milionów mieszkańców. Wywóz z Meksyku ograniczyłby się wanilją i koszenillą których naturalne ma monopolum, ale w ówczas wyroby w zamian za to odbierane z Europy ledwieby dla dwudziestej części ludności wystarczyły. Szczęściem jednak, nie nie każe wątpić aby kraj ten zagrożony był

zmniejszeniem kopalnych materjałów; owszem, wszystkie poszukiwania przekonywają, że niewyczerpane posiada zapasy.«

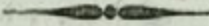
Wszystkie kopalnie Meksyku znajdują się na przestworze rozciągającym się ku północy, otoczonym łańcuchem Kordiljerów i Andów. Niziny między atlantyckim i spokojnym morzem, tworzące południową stronę tego kraju, są jedynie przeznaczone na rolnictwo.

Kończąc tu wzmiankę o szacownem dziele Pana Ward, (które, jak donoszą, na język francuzki ma być przełożone), damy w późniejszym artykule, kilka nowych szczegółów o kraju który on opisał, a któremu przyrzekł wzrastającą pomysłność przyszłości. Lecz w tej chwili, kraj ten wystawiony jest na łup nowych zamieszek. Wojskowy zamach poniósł postrach, rabunek i śmierć na łono stolicy. Setne padły ofiary. Pospółstwo w każdym kraju cheiwe zdobywszy podniosło swe niszczące i krwawe ręce na własności i osoby; a dowódcy wojskowi, równi między sobą, współzalomnicy chwwały na polu bitwy, zapasnicy znaczenia w pokoju, uzbroili stronników swoich i walczą do upadłego dla opanowania władzy. Niewiadomo przy kim ostoi się zwycięstwo.

XV.

JOURNAL OF A SECOND EXPEDITION, etc.

Dziennik drugiej wyprawy do środka Afryki, z odnogi Benińskiej aż do Saccatou; przez CLAPPERTONA kapitana z królewsko-angielskiej marynarki, z dołączeniem Dziennika RYSZARDA LANDER, opisującego podróż od Kano aż do brzegów morza, drogą więcéj ku zachodowi idącą. (W Londynie 1829).



Z licznych owoców badań i postrzeżeń nieszczęśliwego kapitana Clapperton, pozostał tylko dziennik jego, ocalony przez wiernego sługę Ryszarda Lander, którego czułe starania osłodziły ostatnie chwile nieszczęśliwego pana, na jego rękach zgasłego. Przydać więc dziś należy imię Clappertona do sławnych imion Mungo-Parków, Belzonich, Burkhardtów, Laingów, i tylu innych mężów pełnych gorliwości i odwagi, którzy tak jak on stali się ofiarą zgubnego dla Europejczyków klimatu.

Hugo Clapperton, urodzony r. 1778, był młodszym synem świętej rodziny w hrabstwie Dumfriës w Szkocji. Doszedłszy lat młodzieńczych, wszedł on do marynarki kupieckiej; a za powrotem z jednej wyprawy handlowej, został, wraz

z wielu towarzyszami swymi, przymuszony do służenia na okręcie do marynanki królewskiej należącym. Jego nienaganne postępowanie i protekcja jednego ze stryjów, wyniosły go jednak niezadługo na stopień *Midshipmana* (dozorca w marynarce). Był on mocnej budowy ciała i miał siłę Herkulesa, obok nadzwyczajnej zręczności. W czasie jednej wyprawy w wyższej Kanadzie, gdzie miał sobie powierzone dowództwo oddziału, odznaczył się na nowo mężstwem swem i ludzkością, a pozyskawszy protekcję P. Owena, został przez niego naprzód posunięty tymczasowo na porucznika, później zaś przedstawiony do wynagrodzenia admiralicji. Jedną okoliczność z życia Clappertona z tej epoki zasługuje abyśmy ją tu przytoczyli. Przeznaczony w czasie zimy do zostawiania w małej forteczce nad jeziorem Hurońskim, miał tylko słaby oddział do jej obrony i jedno działo małego kalibru, kiedy w tem uderzył na niego z przemagającą siłą szoner amerykański. Twierdza została w krotce tak zniszczoną przez ogień nieprzyjacielski, iż nie było innego ratunku dla dowódcy, jak poddać się na łaskę, lub rozpaczyc słuchając cofnąć się na lody jeziora *Michigan*, dla dostania się z tamąd do najbliższego jakiego punktu angielskiego, w odległości mil 60. Mimo niebezpieczeństw grożących w tej podróży pośród najmocniejszych mrozów, wszyscy wyruszyli dla przebycia jeziora. Ale zaledwie dzie-

sięć mil uszli, młodzieniec jeden, przejęty zimnem, nie był w stanie iść dalej. Towarzysze jego oświadczyli zgodnie, iż utrudzeni i zkościali od zimna nie byli zdolni nieść chorego, zaledwie wlekąc się sami. Clapperton nie mógł przemódz na sobie aby opuścić ni szczęśliwego w tem okrutném położeniu. Wziął więc młodzieńca na barki, utrzymując go prawą ręką, a w drugiej niosąc kij dla podpierania się na śliskim lodzie. Uszedłszy tym sposobem 8 lub 9 mil śród najokropniejszej zawieruchy, poczuł nareszcie że młodzieniec już go się wcale nie trzymał; był on już konający, i w kilka minut wyzionął ducha. — Cierpienia tych co go przeżyli nie były mniejsze. Nie mogli więcej wzięść z sobą, dla utrzymania się przez drogę, nad jeden worek mąki, i nakoniec przybyli do Yorku, stolicy Wyższej Kanady, bez pończoch, bez obuwia i głodem wycieńczeni. Lewa ręka Clappertona, którą trzymał na barkach swych młodzieńca, była odmrożona, musiano mu więc odjąć wielki palec.

W r. 1807, będąc na połowie żołądu, Clapperton powrócił do rodziny swojej, do Szkocji; w 1820 r. poznał się w Edyburgu z doktorem Oudney, który sposobił się w ówczas do podróży w Afryce. Znudzony bezczynnością swoją, oświadczył doktorowi gotowość towarzyszenia mu w tej niebezpiecznej wyprawie; ten, wiedząc o nieulekłości i szlachetnych przymio-

tach Clappertona, uderzony nadto widokiem jego atletycznego składu ciała, który zapowiadał w nim konstytucję zdolną do oparcia się wpływowi najbardziej morderczych klimatów, z radością przyjął ofiarę jego. Szczęśliwszy w ówczas anizeli doktor, który jak wiadomo, zginął w podróży, Clapperton zwiedził Bornu, doszedł aż do Soccatou, gdzie najlepiej przyjęty został przez sułtana Bello, który panował nad Fellahami albo Fellatahami, i nakoniec powrócił do Anglii z majorem Denham, zebrawszy zapas zupełnie nowych wiadomości o wnętrzu Afryki. Przed tymi wędrownikami, sądzono o mieszkańcach nieznanych krain tej części kuli ziemskiej, jedynie z smutnych próbek dostarczanych do osad przez handel niewolnikami. Denham i Clapperton widzieli ludy czarne, z rysami mniej nikczemnymi, zamieszkałe po miastach, podlegające naczelnikom więcej lub mniej zręcznym w rządzeniu, mające prawa, rękodzielnie, i handel zaszczytniejszy aniżeli niewolnikami; znaleźli na koniec cywilizację poczynającą. Szeik w kraju Bornu i sułtan Bello, podług ostatnich wiadomości, są bez wątpienia ludźmi pogardy godnymi. Clapperton miał z sobą list który czarny sułtan przesyłał bratu swemu królowi angielskiemu, i w którym oświadczał mu chęć zaprowadzenia stosunków przyjacielskich między dwoma ludami. Oświadczał on iż chce mieć u siebie konsula angielskiego, któryby rezydował w porcie

morskim Raku; pragnął otrzymywać wyroby rękodzielni angielskich; prosił o lekarza któryby był przywiązany do jego królewskiej osoby; obiecywał niedozwalać handlu murzynami i wzbraniać ich wyprowadzania przez kupców z Husa, w krajach Ataghers, Dahomey i Aschantji.

Lord Bathurst, sekretarz stanu w osadach, skwapliwie przyjął myśl zawarcia przymierza z Fellatami, i wszystko przysposobione zostało do nowej wyprawy. Zaledwie wypocząwszy po trudach podróży swojej, Clapperton ofiarował znowu usługi swoje, i został mianowany naczelnikiem tego przedsięwzięcia. Tym razem przyjął do towarzystwa kapitana Pearce z marynarki królewskiej, biegłego rysownika, oraz doktora Morrison, chirurga i uczonego naturaliste. Pozwolono mu również wziąć z sobą jednego z ziomków jego, Szkota nazwiskiem Dickson, który służył jako chirurg w Ameryce. Przysposobiono stosowne podarunki dla sułtana Husy i szcika Bornu; i nakoniec czterej podróżni, ze swymi służącymi, wsiedli 25 sierpnia 1825 na okręt angielski *Brazn*, i przybyli do Whidah, 26 października tegoż roku. Destawszy się do zatoki Benińskiej, P. Dickson którego los jest dotąd tajemnicą, wysiadł na ląd w Whidah, i w towarzystwie Portugalczyka pewnego nazwiskiem Sousa, który niejaki czas w Dahomey zamieszkiwał, udał się do tego miasta gdzie był dobrze przyjęty, i odesłany z eskortą do innego miasta zwanego Shar, o 17 dni o-

dległości. Ztamąd wyruszył do Youri, i później już o nim nie więcej nie było słychać.

Okręt *Brazen* z resztą wędrowników miał się udać pod wodę rzeki Benińskiej, ale angielski kupiec nazwiskiem Hutson, mający udział w handlu murzynami, odwiódł Clappertona i jego towarzyszków od tego zamiaru, gdyż, jak twierdził, król w tych okolicach panujący miał być bardzo na Anglików zagniewany, z powodu ich usiłowań w tamowaniu handlu niewolnikami, który główną gałąź dochodów jego stanowił. Hutson radził im aby wylądowali w Badagri, porcie sąsiedzkim, ofiarując się towarzyszyć im w podróży; przybyli tam 29 października. W Whidal napróżno dowiadywali się o sułtanie Bello, o posłach których miał wysłać naprzeciw podarunkom króla angielskiego, oraz o portach Funda i Raku. Wszystkie te nazwiska nie były znane na wybrzeżu, i wiadomo teraz, że dwa te miasta leżą o dwieście mil w głębi kraju, że Raku nie znajduje się nawet nad żadną rzeką, i że ani jedno ani drugie z tych miast nie zostało pod panowaniem sułtana Bello.

Królowie Youribo i Badagri najuprzejmiej przyjęli podróżnych, i spełniali z nimi rzesiste pułhary. Opuszczając Badagri, 7 grudnia, Anglicy przybrali do towarzystwa krajowca jednego z Hussa, nazwiskiem Pascoe, który już służył za tłumacza nieszczęśliwemu Belzoniemu. Popłynęli w czółnach jedną gałęzią rzeki Lagos, aż

do zatoki Gazie, gdzie na ląd wysiedli. W okolicach tych dopuścili się nierozwagi, przepędzając noc pod otwartym niebem na wilgotnej ziemi. »Poranek był mglisty, mówi Clapperton, a lubośmy odpoczywali nad brzegiem rzeki, nie słyszeliśmy wszelako brzęczenia mustyków, które nam aż dotąd tak dokuczały.« Noc następującą przepędzili również bez pokrycia na placu targowym w Daganu wielkiem mieście, gdzie megliby byli mieć tyle domów do noclegu ileby żądali. Pojść nie można, mówi jeden z angielskich dzienników, jak dawny chirurg i dwaj oficerowie morscy, mogli popełnić tak niebezpieczną pod zwrotnikiem nieroztropność, śpiąc na otwartym powietrzu. D. 10 Clapperton dostał febry; we trzy dni później, doktor Morrison, kapitan Pearce i Ryszard Lander, kolejnie zachorowali. Odbyli w tym stanie 70 mil na łożkach wiszących, oprócz Clappertona, który w części na koniu, w części pieszo podróż odbywał. Mieszkańcy kraju nie szczędzili najczulszych starań, oddawali im na mieszkanie najpiękniejsze swe domy, i zaopatrywali ich we wszystko co najlepszego posiadali. Około 23, doktor Morrison, czując się być niezdolnym do odbywania dalszej podróży, chciał powrócić do miasta Jannah, z kąd dwoma dniami pierwej wyruszyli; Hutson towarzyszył w mu tym powrocie. Inni podróżni zatrzymali się w małym miasteczku, gdzie jeden ze służących umarł, a 27 wieczorem kapitan Pearce wy-

dał ostatnie technienie. »Zgon jego, mówi Clapper-ton, przejął mnie najżywszą boleścią; oprócz osobistych przymiotów, był on zdolny uczynić wielkie przysługi wyprawie naszej, przez swoje talenta i wytrwałość. Nigdy nie opłakiwałem z większą goryczą straty przyjaciela. Zwłoki tego nieszczęśliwego pochowane zostały uroczyście w obecności naczelników miasta; mieszkańcy otoczyli palissadami mogiłę jego, i wzniesli nad nią szepę; Lander zaś położył na mogile deskę z napisem. We dwa dni później przybył Hutson, przynosząc wiadomość że doktor Morrison umarł w Jannah, tegoż dnia co i kapitan Pearce, i że ostatnią przysługę oddano mu w obecności naczelników i wszystkich mieszkańców miasta.

Kraina między Badagri i Jannah jest bardzo ludna; wszędzie gdzie ziemia nie jest okryta pięknymi lasami, uprawione są pola maisem, rozmaitego rodzaju ignamami i innymi roślinami; znajdują się tam również w obfitości drzewa owocowe pomarańczowe i inne. W ciągu drogi podróżni angielscy spotkali znaczną liczbę mieszkańców płci obojej niosących na głowach płody krajowe. Dobrzy ci ludzie klaskali w ręce, śpiewali chórem, przyklękali i okazywali przez najdziwaczniejsze gesty całą rokosz jakiej doznawali na widok ludzi białych. Wsie i miasta znajdowały się w bliskości od siebie położone; niektóre z tych ostatnich mogły zawierać 8 do 16,000 mieszkań-

ców; miasto Jannah było najznacześniejsze ze wszystkich.

»Przybywszy tam wieczorem, mówi Clapper-ton, udałem się z P. Hutson na zwiedzenie całego obwodu. Za nami szedł tłum niezmierny, który w miarę jakśmy postępowali ciągle wzrastał; wszyscy okazywali wiele grzeczności: mężczyźni zdejmowali czapki, kobiety przyklękały na dwa kolana opierając się jednym łokciem o ziemię, a drugi ręką podpierając. Kiedyśmy powracali słońce już zachodziło. Przeszliśmy przez rynek. Był on jeszcze dobrze zaopatrzony w bawełnę, w sukna krajowe, żywności i owoce, niektóre pomarańcze, cytryny, jagody rozmaite, bananasy oraz jarzyny, jakoto: cebulę, gatunek czosnku, pieprz i gumme służącą do posiłku, ignamy gotowane i *acassoa* (rodzaj ciasta z tłuczonego maisu obwiniętego w liście). Tam, tłumy mieszkańców poruszały się w massie jak morze, mężczyźni przeskakiwali przez koszyki z żywnością, dzieci tańczyły pod nakryciami, kobiety śpiewały i wrzaskiem swoim głużyły kupujących; pośród takiego jednak zamięszania, nie postrzegłem jednego spojrzenia krzywego, jednego słowa nie usłyszałem któreby nam przykreć być mogło... Winienem tutaj, jako świadectwo poczciwości murzynów tych krain, przytoczyć okoliczność bezprzykładną: przebiegliśmy mil 60 z znacznym pakunkiem, przymuszeni dziesięć razy przybierać innych ludzi do noszenia rzeczy, pomimo te-

go jednak nie straciliśmy ani jednego szylinga wartości. Okoliczność ta dowodzi nietylko poczciwości więcej niż zwyczajnej mieszkańców, ale nawet pewnego stopnia posłuszeństwa i porządku w działaniu rządu, których zapewne nieprzypuszczano pomiędzy ludami aż dotąd za barbarzyńskie uważanymi.

»Mieszkańcy Jannahu są bardzo przemyślni; celują oni w wyrzynaniu na drzewie; ich drzwi, sprzęty, bębny, okryte są figurami które wystawiają ludzi, wężów, krokodyłów, i t. p. Liczne warsztaty były w tenczas czynne. Widziałem w niektórych domach niekiedy do dziesięciu warsztatów zatrudnionych. Ich przędze bawełniane są dosyć cienkie, a tkanie w nich jest trwałe. Wyrabiają oni także garnki dosyć dokładnie.

»Stary *Kabosir* (naczelnik miasta) zdawał się być zachwycony widokiem cudzoziemców. Przeznaczył nam dobre mieszkania i przysłał dla nas wieprzów, kaczek, gołębi, owoców, legumin, wszelkich nakoniec płodów krajowych, kiedy tymczasem kobiety jego, w liczbie dwustu, ślały przybycie nasze wesołymi śpiewami. Naczelnik ten nie mógł pojąć jak Anglik mógł przedstawiać na jednej żonie, a kiedy mu to potwierdzono, wraz z dwustu kobietami swemi śmiał się do rozpuku. Miał on na sobie obszerną suknię z adamaszku amarantowego i czapkę z różowego axamitu; ale w czasie obrzędu przyjmowania nas, zmieniał po trzykroć ubiór; coraz

światniejszy przybierając. Dziedziniec lubo obszerny napełniony był ludem, i taki ścisk panował, iż ledwie mały przesmyk zostawiono naprzeciw miejsca w którym znajdowaliśmy się. Tam to jego wysokość zaprowadziła P. Hutson i mnie, trzymając nas za ręce, i tam wykonaliśmy tańce afrykański, z wielkiem zachwyceniem patrzących. Gdyby w tenczas biedny Pearce był się znajdował, jakże wyborny miałby przedmiot do karykatury! ileżby miał rokoszy przenosząc na papier postać starego i czarnego królika, kołyszającego się majestatycznie w swojej adamaszkowej sukni, w towarzystwie urzędnika ogonowego, i zwracającego starą i pomarszczoną twarz, już ku mnie, już ku P. Hutson, wykręcającego się nagle na jednej nodze, idącego następnie krokiem wolnym i uroczystym, płaczącego swe ręce z naszymi, i dumnego że tańczył z ludźmi białymi.«

Podróźni nasi przybyli wkrótce do łańcucha gór przerzynającego kraj cały, przy granicy Jourribą, i mającego około 80 mil szerokości. »Droga ta przez góry przedstawiała piękne i wspaniałe widoki. Niekiedy szła w kierunku poziomym, niekiedy znowu spuszczała się pomiędzy skałami w głębokie przepaści, gdzie się kręciła po ścianach ponurej skały. Massy granitu wisały nad naszymi głowami w przerażającej i wątpliwej równowadze. Przy każdej rozpadlinie, w każdym miejscu gdzie jaka kępka mura-

wy na światło wydobyć się mogła, znajdowały się małe chatki otoczone plantacją rzepaku, ignamów albo fig, co urozmaicało i rozweselało te dzikie sceny. Droga szła z góry na górę, aż do wielkiego i ludnego miasta Chaki, leżącego na najwyższym szczycie. Z każdej strony, na płaskich wzgórkach, na pochyłościach, na skałach, i przy drogach, tysiące gromadziło się mieszkańców. Kobiety z wzniesionymi rękami pozdrowiały nas śpiewami chorowemi i zwykłymi sobie oznakami radości. Kabosir siedział przed domem otoczony żonami swemi, śpiewakami, śpiewaczkami, doboszami, oraz grającymi na piszczałkach i tamtamach. Był to człowiek przystojny, około 50 lat mający, i bardzo przyjemnej fizognomji. Dom jego był przysposobiony na nasze przyjęcie; kazał zaraz przynieść nowe zapasy mięsa kozlego i baraniego, oraz ignamów, prosząc nas z uprzejmością, abyśmy jeden albo dwa dni z nim pozostali. Zdawał on się uważać nas za posłańców pokoju, którzy przybyli rozsiewać błogostawieństwa na monarchę i kraj jego. Jest między tymi ludami mniemanie, które wiele ma nad nimi mocy, iż my przeznaczeni jesteśmy do zanoszenia pokoju tam gdzie wojna panuje, i czynienia dobrze wszystkim krajom przez które przechodzimy. Kabosir miasta tego powiedział nam o tem, i miał nawet nadzieję, iż za pośrednictwem naszym ustanie wojna między ludem Nyfla i Fellahami, oraz że uśmierzymy powstanie niewol-

ników w *Hussa*, którzy zbuntowali się przeciw królowi Yourriba. Kiedym go ścisnął za rękę, wyciągnął on ją nad głowami wodzów swoich, jak gdyby dla udzielenia im części błogostawieństwa człowieka białego. Zdawał się być ciekawszym i otwartszym jak wszyscy krajowcy których dotąd spotkaliśmy, i siedział z nami prawie do północy, rozmawiając i zadając nam pytania o Anglii. Zapytaliśmy go czyby chciał chętnie posłać którego z swych poddanych wraz z nami, dla zwiedzenia naszego kraju: powstał na to z radością, wołając że uda się sam z nami do Anglii. Śmiał on się mocno, podobnie jak kolega jego z Jannah, kiedyśmy mu powiedzieli, że Anglicy jedną tylko mogą mieć żonę: co do niego, posiadał on ich dwa tysiące; była to piękna armja czarnych amazonek.

»Spuszczając się z gór tych ku północy, natopkać można miasto Kousou, mające około 20,000 ludności, i rozległą dobrze uprawną płaszczyznę, okrytą wioskami Fellahów. Mieszkańcy ich, tak jak w większej części Sudanu, trudnią się paszeniem bydła, i mają obyczaj łagodny i niewinny ludów pasterskich. Droga którąśmy się udali następnie, przed przybyciem do Eycu albo Katungi, stolicy Yourriba, przedstawiała nam ciąg jeden wioski opuszczonych i miast więcej lub mniej zniszczonych przez napały Fellahów z Saccatou, i przez zbuntowanych niewolników *Hussa*. Na domiar nieszczęścia,

mieszkańcy lękać się jeszcze musieli sąsiadów swoich z Borgho, ludu srogiego i cheiwego łupów. Przez cały czas jakieśmy przy granicy kraju tego posuwali się, mała karawana nasza ciągle była pod bronią. Przybyliśmy z tą wojenną postawą do rokosznej doliny rozeciągającej się aż do Thau, która jest zasadzona bananami lub innymi wielkimi drzewami z szerokim liściem, zacieniającemi łąki i świetne wód zwierciadła. Kobiety hebanowego koloru ciała powierzały swe wysmukłe i przyjemne kibici pieszczotom wód przejrzystych, kiedy tymczasem barany ich i kozy pasły się spokojnie na łąkach.... Ku wieczorowi, przysłany z Katungi *Kabosir*, przybył z licznym orszakiem konnicy i zbirów, dla przeprowadzenia nas bezpiecznie aż do króla kraju Yourriba. Ludzie ci napełnili ulice małego miasta Tshaou, bijąc w bębny, śpiewając, tańcząc i pożerając wszelką żywność jaka się tylko znalazła. Wyjechaliśmy nazajutrz pod zastoną oddziału tego, który rozwijał się w ciągu podróży bardzo małowniczym sposobem. Niektórzy z przewodników naszych okryci byli grubymi sukniami, ianych okrywały rozmaite amulety; zbiry mieli małe kapelusze z rogoziny, ozdobione piórami; u pasa zaś wisiął sajdak skórzany strzałami napełniony. Wszyscy ludzie szybcy i zręczni, zdawali mi się być najlepszym wojskiem, jakieśmy dotąd widzieli w tej okolicy i w Sudanie; konnica jednak miała konie

zbyt małe, a żołnierze tak niezgrabnie trzymali się na siodłach źle przytwierdzonych, iż angielski kawalerzysta konno, długim tylko uzbrojony kijem, łatwoby ich w biegu mógł pozsadzać.

»Przybyliśmy do bram Katungi, miasta przyjemnego, zbudowanego w amfiteatr, na spadku i do koła podstawy małego pasma granitowych wzgórzów, których szczyty tworzą pewny rodzaj cytadelli. Otoczone gęstymi lasami i opasane murem ziemnym 20 stóp wysokim, a około 15,000 st. obwodu mającym, ma prócz tego do koła rów suchy, a wchodzi się do niego dziesięciu bramami. Domy są z ziemi stawiane i okryte trzcina; kolumny utrzymujące pawilony i drzwi ozdobione są płaskorzeźbą, wystawiającą węża boa duszące antylopy, wojowników z orszakiem doboszy i muzykantów, i t. p. Otoczeni eskortą naszą, oraz najlepszymi muzykantami z miasta, i tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci poruszających chmury kurzawy, a pomiędzy którymi ludzie królewscy z wielką trudnością robili dla nas przejście za pomocą biczów i kijów, których jednakże oszczędnie używano, przebywszy pięć mil drogi, dostaliśmy się nareszcie do miasta, gdzie nas król Yourriba oczekiwał. Siedział on pod pawilonem przed mieszkaniem swoim; dwa parasole czerwone i dwa niebieskie rozciągnięte były nad głową jego, za pomocą długich kijów opartych na ziemi i utrzymywa-

nych przez niewolników. Ciche rozmowy główniejszych Kabosirów z królem, kazały mi się obawiać, aby nie wyomagano od nas zwyczajnej ceremonji rzucania się twarzą na znak uszanowania i hołdu. Oświadczyłem więc, iż gdyby tego żądano, oddałbym się natychmiast, i że pozwoliłbym jedynie na zdjęcie kapelusza, skłonienie się i podanie ręki królowi, gdyby mu to przyjemnym było. Uwiadomiono o tém monarchę, który zezwolił, i przystąpiliśmy ku niemu.

»Przed królem, miejsce około 20 prętów średnicy mające było zupełnie wolne, a kiedy nas wziął za ręce, wzniósł je po trzykroć, powtarzając: *Ako, ako?* (jak się macie?). Kobiety skupione za nim, stały ciągle i witały nas wołając: *oh! oh! oh!.....* Trudno je było policzyć; a król nawet sam powiedział nam że nie wie ich liczby, ani ile miał dzieci; lecz że kobiety same, gdyby się trzymały za ręce, wyciągnęłyby linje od Katungi aż do Jannah. Król okryty był białą *tobe*, albo szeroką koszulą, na drugiej białej. Miał na szyj trzy sznurki kamieni niebieskich, które dostaje kraju leżącego między jego posiadłościami a Beninem, na głowie zaś miał koronę z tektury, w formie koron europejskich, okrytą niebieską bawełnicą..... W Yourriba, królowie umierają w dobrem towarzystwie; dla pogrzebienia umarłych wykopują dół głęboki w który kładą trupa siedzącego, z łokciami od rąk między kolana założonemi.

Ubogich grzebią bez obrzędów; przy pogrzebie bogatego strzelają z fuzji, a przyjaciele i krewni piją rum na grobie i w domu nieboszczyka. «Dziwna jest rzecz, że zwyczaj ten topienia zgryzoty w winie, i wyprawiania bankietu po śmierci, znajdujemy na zachodzie i wschodzie, na południu i na północy: Szkocja, Grecja i Afryka, mają w tym względzie podobneż zwyczaje. W historii narodów byłoby podobieństwo to ciekawem, i okazałoby może, że klimata i pokolenia nie czynią tak wielkiej różnicy w obyczajach; i że w tym samym wieku cywilizacji, ludy mają postać jednej rodziny i zadziwiające przedstawiają podobieństwo. Kiedy król Yourriba umiera, Kabosir Jannahu, trzej inni główni Kabisorowie, cztery kobiety, i znaczna liczba niewolników ulubionych i innych, muszą zażyć truciznę, przyrządzaną przez człeko-fetysza w jajach papugi. Jeśli trucizna nie jest dostateczną do zabicia ofiary, każdy z poświęcających się ma sznurek na którym wieszka się w własnym domu. Nie poświęcają tam ofiar publicznie, a przynajmniej ofiar z ludzi, i nikomu nie było wolno towarzyszyć dowieczności królowi zmarłemu, ponieważ nie zakończył życia śmiercią naturalną, ale zamordowany został przez jednego z synów, który jednak nie jest królem dziś panującym.»

Clapperton opisuje widowiska teatralne które król kazał przedstawiać dla Kabosirów przybywają-

cych mu złożyć zwykły hołd podległości. »Miejsce na tę rozrywkę wybrane było w parku królewskim, przed główną bramą, gdzie zwykle król zasiada. Aktorowie obszerni okryci workami, i mając głowę ozdobioną fantastycznie wstążkami, jedwabnemi, damaszkowemi i bawełnianemi, najświetniejszych kolorów, siedzieli pod drzewami; ludzie królewscy, stali w pogotowiu dla utrzymania porządku i wstrzymania ludu od ciśnienia się na miejsce przeznaczone dla aktorów; a orszak muzykantów znajdował się na boku, bijąc w bębny, świszcząc, trąbiąc, bez ustanku i wypocznienia. Pierwszy akt składał się z tańcu dziwnie pięknie wykonanego, jeśli zważymy że aktorowie skaczący, przewracali się i taczali najwyborniej, nie widząc nic, i nie mogąc używać rąk i nóg. Drugim aktem było polowanie na węża *boa constrictor*. Jeden z tych ludzioworków stanął naprzód przed towarzystwem na rękach i nogach: w ówczas wystąpiła postać wysoka i wspaniała, której strój głowy i maska zbyt trudne są dla mego talentu do opisania: postać ta była koloru brązowego, i podobieństwo miała już to do lwa leżącego na wierzchu kasku, już do głowy czarnej okrytej niezmierną peruką; każde poruszenie przedstawiało twarz odmienną i nowe podobieństwo. Osoba ta trzymała w prawej ręce szpadę, i zdawała się być z ubioru i giestów aktorem głównym.

Rodzaj ten naczelnika aktorów zbliżył się do człowieka na czworakach stojącego, i dał znak swą bronią; drugi tancerz wystąpił i przytączył się do pierwszego, spody worków zszyto następnie do kupy, i obadwa w jedną osobę się zamienili. Naczelnik zaczął znowu machać po powietrzu szpadą z taką siłą, iż obawiałem się aby która głowa nie spadła, wszyscy albowiem aktorowie zgromadzili się koło niego; ale wszystko się oddaliło; zostawszy sam z workami, naczelnik machał jeszcze szpadą z tryumfującą postacią, i widowisko się zaczęło. Ukazała się naprzód głowa węża boa; usiłował on ukąsić naczelnika, i znowu oddalał się dla uniknienia grożącej mu szpady, a wyczołgawszy się dosyć powoli z worka który go ukrywał, ukazał nakoniec całe ciało węża doskonale naśladowane, oprócz tego jedynie, że brzuch był nieco za bardzo wyładowany. Zwinne poruszenia węża z szczególniejszą oddane były prawdą; otwierał on i zamykał bardzo naturalnie paszczę, która jak się zdaje była rękami aktora. Mógł mieć około 14 stóp długości, a materja która okrywała to niezmiernie ciało, naśladowała wybornie skórę węża boa. Kiedy zwierz ten ścigał przez czas niejaki człowieka do koła parku, zawsze usiłując go ukąsić, i zawsze odparty, wszyscy inni aktorowie zbliżyli się na znak dany przez naczelnika, który zrobił zręcznego młynka bronią swoją, zdając się ucinać ogon

wężowi. Boa zaczął się w ówczas rzucać i kręcić jak gdyby był bliski zgonu; aktorowie zamaskowani wzięli zdychającego na barki; a ten otwierając i zamykając swą paszczę, jakby w ostatnich konwulsjach, został zaniesiony w tryumfie do domu poświęconego. W trzecim akcie widzieliśmy *Białego djabła*. Aktorowie oddalili się w tył sceny, i jeden tylko na niej pozostał. Worek jego zaczął się powoli zsuwać i wkrótce ukazała się głowa biała, którą z powszechnymi przyjętymi okrzykami. Lud był widocznie zachwycony doskonałością sztuki aktora, którego ciało zaczęło się stopniowo ukazywać; ujrzelśmy nareszcie istotę podobieństwo człowieka mającą, jakby ugniecioną z białego wosku, średniej wielkości, nadzwyczajnie wychudłą, i która zdawała się drżeć od zimna. Często robiła poruszenie jakby zażywała tabakę, i zacierając ręce. Chodziła bardzo niezgrabnie, tak jakby postępował najniewieścialszy człowiek biały, pierwszy raz nogi na lodzie stawiając. Widze, zachwyceni widokiem tej karykatury, uważali jakże na mnie robić będzie wrażenie. Zdawałem się być zadowolony; aktor bowiem dość dobrze grał rolę swoją, i to zakończyło widowisko, którego między-akta zapełnione były chorami śpiewanymi przez kobiety królewskie, przy towarzyszeniu całego zgromadzenia.«

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI.

Mysliwstwo amerykańskie na pszczoły. — We wszystkich stronach Ameryki północnej są teraz znane pszczoły, bo jak powiadają, nie widziano ich tu wcale przed przybyciem Europejczyków. Indianie w swoim języku nie mający dla nich nazwiska, zowią je angielskimi muchami. Miód jest bardzo tani we wszystkich dawnych osadach, a znaczna liczba rolników miéwa do trzydziestu ulów pszczół: ale prócz tego codziennie w lasach odkrywają drzewa, których wydrażone pnie dostarczają od 70 do 150 funtów miodu. Sposób dochodzenia drzew takich jest szczególniejszy. Wysłane do tego osoby łąpią pewną liczbę pszczół na kwiatach obok lasów rosnących, wsadzają do pudełka, na dnie którego jest cokolwiek miodu, i przykrywają je naczyniem szklanym dla wpuszczania światła. Gdy się pszczoły nasyciły dostatecznie miodem, puszczają parę uważając starannie jaki wezmą kierunek, aż póki je z oczu nie tracą. Myśliwy (tak bowiem nazywają łąpiących pszczoły) posuwa się ku miejscu, gdzie przestał je widzieć, i znowu daje jednej lub dwóm wolność, uważając, jak to z pierwszemi uczynił, dokąd polecą. To, powtarza się aż do tąd, dopóki nie ujrzy iż pszczoły nie idąc w kierunku poprzedzających, biorą zupełnie przeciwny. Jeśli to nastąpi, myśliwy poznał że przeszedł cel swoich poszukiwań; bo przekonano się

powszechnie, że jeśli schwyta się pszczołę na kwiatku, rosnącym w jakiejś odległości na południe drzewa do którego ona należy, i gdy się w najściślejszym nawet zamknięciu przeniesie ją na północ tegoż drzewa, skoro się tylko wymknąć będzie mogła, opisawszy w locie koło, prosto zmierzać będzie ku domu, nie zbaczając wcale ani w lewo, ani w prawo. Podług tego tedy, myśliwy uzbrojony w cierpliwość, przezorność i wytrwałość, pewny jest zawczasu skutku, bo kierunek jaki pierwsza pszczoła wypuszczona bierze, niezawodnie prowadzi do drzewa gdzie rój którego jest członkiem mieszka. Tak więc, gdy pszczoły wypuszczone kolejno na wolność, zmieniają lot zwracając się ku miejscu zkąd je niesiono, myśliwy wie że minął drzewo szukane; stara się tedy je znaleźć w pośród tych które w tym samym kierunku stoją. Byłby to zachód bardzo trudny dla poczynających; ale przemyśl amerykańskiego myśliwca odkrył mu sposób przywabiania pszczół, gdy już niedaleko jest drzewa gdzie miód składają. Na cegle ogrzaną kładzie on miód, wczasie topnienia, zapach dolatując do rzeczypospolitej ma tyle dla niej pociągu, że wychodzi rojem opuszczając swą cytadellę i leci na wyszukanie miodu do miejsca zkąd do niej tak powabny zapach doleciał. W ówczas myśliwy ścina drzewo, a ilość miodu wynagradza obficie wytrwanie jego. Takie to szczegóły mogłem zebrać o tych użytecznych i

zajmujących owadach, a nieznanych prawie w naszych krajach, gdzie mamy pszczoły domowe, nie prowadzące takiego życia jak te co w pustyniach i lasach nomadują (*).

Siła morska królestwa Niderlandzkiego, w styczniu 1829. Eskadra na morzu śródziemnym składa się z 12 statków mających razem 244 armat i 1677 ludzi osady; eskadra w Indiach Wschodnich, z 6 statków, i 184 armat i 1,107 ludzi; flotylla w Indiach zachodnich z 4 statków o 74 armatach i 445 ludzi osady. Żegluga komunikacyjna złożona jest z 3 statków, 22 dział, i 108 ludzi. Statki krążące są: *Sumatra*: 44 armat, 317 ludzi. Statków na stanowiskach stojących jest 4, z 152 armatami i 600 ludźmi. Ogół siły czynnej jest 30 statków z 720 armatami i 4,314 ludźmi. Siła morska nieczynna, składała się na początku roku tego z 63 statków. Ogół statków tak czynnych jak i nieczynnych wynosi 93, która to jednak liczba ma być podniesiona w ciągu dziesięciu lat przyszłych do 131 statków, z których 12 okrętów liniowych, 33 fregat, 36 korwet, bombardjer i brygów, oraz 50 innych statków.

Nowa wyprawa do bieguna północnego. — Kapitan Ross kazał zbudować dla wyprawy do bieguna północnego parowy statek *Victory*, o 200 beczkach ciężaru, któremu będzie towarzyszył

(*) W naszych lasach znajdują się podobne pszczoły.

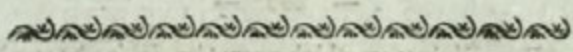
inny statek żaglowy *John*, o 320 beczkach, naładowany materjałami opałowemi, żywnością i innemi przedmiotami; pierwszy mieć będzie 20 ludzi osady, drugi zaś 40. Wyprawę tę różnić będzie to od wszystkich poprzedzających, iż pierwszy raz do wyprawy tego rodzaju użyty będzie statek parowy. Spodziewają się najpomyślniejszych skutków z użycia tego sposobu. Znaczne ulepszenia zrobione zostały w machinie parowej okrętu *Victory*; koła mają kształt nowy, a budowa ciosiołki okrętowej jest taka, iż ciśnienie lodów jakie wyprawa w żegludze spotka, miasto zgruchotania, będzie go tylko mogło podnieść. Gdyby pary zabraknąć miało przez jakie wydarzenie, koła będą mogły być dowolnie odjęte, i w krótkim czasie *Victory* zamienionym by został na okręt żaglowy. Nie będzie tam z resztą komina, a machina jest o wysokiem ciśnieniu. Inną jeszcze korzyścią jest, iż wszelki rodzaj materjału opałowego może być użyty, jak np. drzewo rosnące w obfitości na brzegach północnych Ameryki, tłuszcz z ciałł morskich, tran wielorybi, niedźwiedzi i t. p, które można znaleźć wszędzie na lodach w tych północnych okolicach morza. Wyprawa powyższa nie będzie odbyta na koszt rządu angielskiego, a kapitan Ross nie starał się o inną pomoc, oprócz o pozyskanie mu kilku narzędzi astronomicznych, których admiralicja, towarzystwo królewskie umiejętności i inne towarzystwa uczone, chętnie mu

udzieliły. Oba statki popłyną naprzód do zatoki Lankastra; zwiedzą kanał Xięcia-Rejenta i przypuścić należy, że w tych okolicach znakomite zrobią odkrycia, za pomocą pary i łożdzi. Skoro wyprawa przybije do brzegów amerykańskich, zwiedzi je, a szczególnie te części, których kapitanowie Beechey i Franklin nie mieli czasu rozpoznać. Kapitanowi Ross towarzyszyć będzie synowiec jego tegoż samego nazwiska, który już towarzyszył kapitanowi Parry w ostatnich podróżach jego, i który uważany jest za jednego z najzdatniejszych i najdoświadczeńszych oficerów marynarki angielskiej. Wyprawa opatrzona jest w żywność na lat trzy, i miała wypłynąć w połowie zeszłego miesiąca.

GAZETA PODRÓŻY I JEOGRAFJI.

AMERYKA. Droga żelazna którą budują przez całą szerokość międzymorza Panama, będzie wkrótce ukończona. Miasta Oanama i Puerto-bello, między którymi droga ta ustanowi łatwiejszą komunikację aniżeli za pomocą kanału, staną się najpiérwszemi składowemi punktami świata.

ANGLJA. Nowa wyprawa do Afryki. Pomyślny skutek przedsięwzięcia sławnego P. Caillé, obudził w ministerjum angielskiém chęć uczynienia nowych usiłowań celem zebrania jeszcze obszerniejszych wiadomości o częściach wewnętrznych tajemniczej Afryki. Wybór osoby do spełnienia poleceń tak niebezpiecznych, padł na kapitana West, który szlachetnie przyjął na siebie tę missję. Uda on się naprzód do Konstantynopola, dla uzyskania firmanów sułtana, do rozmaitych naczelników umuzułmańskich w Afryce, i spodziewają się że podróżny ten będzie mógł dostać się tak jak P. Caillé aż do Tombuktu.



K O T U M B
PAMIĘTNIK PODRÓŻY.
N^{er} 36.

Z DRUGIEJ POŁOWY CZERWCA 1829 ROKU.

XVI.

UBIORY CYWILNE, WOJSKOWE I DUCHO-
WNE W MEXYKU,

*rysowane z natury przez Hr. LINATI, lito-
grafowane w litografji królewskiej w Bru-
xelli; z przydatkiem opisu objaśniającego,
przez tegoż autora.*

W czasie kilkoletniego pobytu w Meksyku, hrabia
Linati, wygnaniec z Hiszpanji uzbierał przedmioty
do zajmującej pracy, którą litografja królewska
w Niderlandach wydała.



Po wyjściu wszystkich poszytów *Ubiorów cywilnych, wojskowych i religijnych w Meksyku*, zbiór ten składa się z 37 tablic, starannie litografowanych, i malowanych podług wzorów na miejscu wziętych, z przydaniem ciekawego objaśnienia o obyczajach, statystyce, patriotyzmie i polityce potomków Montezumy i Gwatymozyna.

Rysunek jest poprawny; ubiór ma ruch i życie; osoby trafnie grupowane; postawy mają wyraz prawdziwy; nie tam przesadą i przymusem nie technic. Poznać zaraz można że na miejscu i w naturze wzór był wzięty.

Respice exemplar vitae morumque jubebo
Doctum imitatore.

Pan Jobard, artysta francuzki zdolności znakomitej, który otrzymał medal złoty jako nagrodę za postęp w litografji, zajął się częścią typograficzną, i wydał ją starannie, tak jak wszystko co od niego wychodzi.

P. Linati przedstawia oczom wszystkie klasy meksykańskiego narodu; może, pod tym względem, lepsze uporządkowanie byłoby do żądania. Można było w rozkładzie przedmiotów, odłączyć cywilność, wojskowość i duchowieństwo. Tu zaś wszystko jest pomieszane, i może zdziwieni są widząc się obok siebie włóczęga i seminarysta, prezydent Rzeczypospolitej i murzyn z Vera-Cruz, Indjanin Apach i elegantka kreolka, patriota waleczny i zakonnik. Jest to wielka mozaika, w której wprawiane są pomieszany spo-

sobem kamienie barw najrozmaitszych i odcieni najprzeciwniejszych. Wada takowa, jeśli tylko jest wadą, ma swoje wynagrodzenie. Trafne uwagi P. Linati odkrywają oświeconego postrzegacza: prowadzą one nieznacznie od postrzeżeń najwznioślejszych w towarzyskim porządku, do żywego i lekkiego obrazu obyczajów kreolskich; od powieści o śmierci bohaterskiej wojownika, do gospodarskiego zacisza murzyna, lub beczynnej zamożności ojca *de la Merced*. Uwagi nasze niech zostaną wsparte następującemi wyjątkami:

LEPERO czyli WŁÓCZĘGA. Imię to dawane bywa w Meksyku człowiekowi ze steku pospółstwa, z rodu pokrzyżowanego indyjskiego i hiszpańskiego. Lepero jest Lazaronem meksykańskim; lecz w rysach jego coś jest nicniejszego niżeli w rysach Neapolitana; wszakże on jest więcej niepodległym, bo mniej ma potrzeb. Na szczątkach poniżonej cywilizacji, wśród ludnego miasta żyje on prawie w stanie natury. Ani koszuli, ani obuwia; kawał skóry, *manta* wełniana, przyodziew jego stanowią. To okrycie jest mu postaniem w nocy, a brama zajezdna lub schody kościoła mieszkaniem. W dzień na rogu ulicy stojąc, czeka zlecenia jakiego, lub ciężaru do dźwigania, co mu na skromne wystarczy pożywienie; sześć bułek maisowych posypanych indyjskim pieprzem, dostatecznym są posiłkiem, a woda napojem jego. Pogodne niebo, umiarkowane zawsze, uwalnia go od potrzeby innej o-

dzieży. Żyjąc tylko tém co na dzień zarobi, nie troszcząc się o jutro, skoro tylko ma tyle ile mu na dwadzieścia cztery godzin potrzeba, kładzie się w miejscu które zwyczajném jego bywa legowiskiem, i śpi, aż póki następująca jutrzienka potrzeby jego odnawiając, nie zmusi go do szukania nowych na ich zaspokojenie środków. Byłby szczęśliwym w swoim stanie; lecz częstokroć jad zepsucia i fanatyzmu miota prostém jego sercem i leniwą duszą; gorące trunki mieszają mu zmysły; żądza gry prowadzi do zbrodni; te urojone potrzeby czynią go nie raz narzędziem łatwo się użyć dającym w rękach różnych stronnictw.

HACENDADO — Kreol właściciel ziemski. W dawniejszych kolonjach, w różne płody a szczególnie w drogie obfitujących kruszce, których założyciele do stanu niewolniczego krajowców niżyli, obok tysiąca nieszczęsnych, widzieć można bogacza co przez ich silne ramiona w zbyt-kach i miękkości żyje. Przypatrzcie się szczęsnemu wieśniakowi, pochodzącemu może od którego ze zdobywców Meksyku: rozległość gruntów jego, byłaby prowincją w Europie. Dwa tysiące indjan, dawnych i prawych posiadaczów tych pól, skrapia je, potem swego czoła, aby stodoły jego maisem, a składy cukrem i płodami zwrotnikowych krain zapełnić. Skazany jednak sam niegdyś na ponoszenie jarzma odległej i zazdrośnej metropolii, nie mógł bogactw swoich na dobro własnego obrócić kraju.

Matka ojczyzna zabraniała starannie tego wszystkiego coby mogło kolonje do stanu narodów podnieść. Kreol nie mógł starać się o urzędy. Rzym tylko i Madryt widział za Oceanem. Nieśmaczny i grubyzbytek, przyjemności stołu i gry, chłoneły skarby i chwile życia jego; samo wychowanie musiało go bojaźliwym i wątłym czynić; ale ziemia, klimat i rozległość przestrzeni biorąc przewagę, uczyniły go zwinnym i odważnym. Płaszcz jego, *manga*, jest kawał sukna granatowego lub zielonego ucięty owalnie i podszyty perkalem kolorowym; w środku jest otwór dla przeprowadzenia głowy. Otoczony w koło axamitem galonowanym i ozdobiony franzami które mu kryją ramiona. Kapelusz z galonem wigonowy, kamizelka ze skóry sarniej zapinana. Koszula z cienkiego płótna karbowana na przodzie, buty szerokie i odwinięte na boki.

AGUADOR. — Nosiwoda. — Każdy kraj ma zwyczaj, których powodu zaprowadzenia tak dla ich niedogodności, jako też dziwaczności pojąć nie można. Nosiwoda meksykański jest przedmiotem uderzającym oczy cudzoziemca. Pojąć trudno, czemu dla dźwignia 50 funtów wody innego nie znaleziono sposobu, tylko naczynie z ziemi tyleż prawie ważące, którego skład w jeden punkt całe zwraca ciężenie. Ponieważ ono nie wystarcza na potrzeby jednej familji, a powiększenie naczynia byłoby niepodobne, jest jeszcze dodat-

kowe wiadro, wiszące na dwóch rzemieniach krzyżujących się na głowie; wiadro to spada naprzód i służy za równowagę pierwszemu dla przeszkodzenia jego bujaniu; wstrzymane jest haczykiem przy fartuchu będącym. Tak okneblowany, czyli raczej oprawiony w podwójny rzemień, idzie prosto przed siebie, nie mogąc głową najmniejszego uczynić poruszenia; pół reala jest nagrodą za jedno przyniesienie wody; lecz jeśli cały dzień pracuje, zarobić może cztery lub pięć franków. Krzyżujące się na głowie rzemieńnie są powodem że nie nosi kapelusza; aguador jest jedyną istotą w Meksyku noszącą kaszkicik.

MŁODA KOBIETA Z TEHUANTEPEK. Azja pyszni się pięknnością Czerkasek, Europa Greczynkami; Meksyk ma swoją Czerkassję w prowincji Tehuantepek. Ród indjan, wszędzie prawie nie mający znamienia podobnego do ideału piękności u nas, zdaje się w tej krainie od natury uposażonej być uszlachetnionym. *Las Tehuantepekamas* uchodzą za najpiękniejsze kobiety w Meksyku. Cera ich zbliża się do białości Europejki, lecz różnie nie mieszają się w nich do blasku lilji; bladeść charakteryzująca ludy indyjskie odbiera im ową rozinaitość barwy, która natchnęła pędzel Tycjanów i Rubensów. Całość układu, wytworność toku zwykle wysmukłej kibi, blask czarnych oczu, brwi zaokrąglone łączące się na czole, nadają im wyraz piękności, mogącej iść o pierwszeństwo z innymi krajami i ubiegać się

o jabłko Parysa. Wyszukując jaki jest właściwy instynkt rodu ludzkiego, łatwo go u kobiet znaleźć można, — a tym jest zalotność. Indjanki w kraju z obu stron ograniczonym morzami, posiadają w najwyższym stopniu zalotność. Natura nauczyła je odznaczać to co w ich wdziękach jest najbardziej porywającym, bo gdy gaza z ręcznic spuszczona to tylko pozwala widzieć co w ich oczach ma najwięcej wyrazu, i zsuwa się wdzięcznie po roztoku ich twarzy, ubiór nie obszerny, w biodrach ścięsniony, wykazuje kibić wysmukłą i pięknie utoczoną nogę.

MNICHY DE LA MERCED *konno*. Żaden zakon, wyjąwszy Franciszkanów, tak się nie rozgałęził w Hiszpanji i Ameryce, jak zakon mnichów Merced, ustanowiony w celu uwalniania z niewoli chrześcijan wpadłych w ręce niewiernych. Bogato do tak pobożnego celu uposażeni, byli lecz później poprzestali się trudnić niewolnikami, tak jak Benedyktyni uprawą ziemi. Zakonnik w dziele tem wystawiony, jest prokuratorem zakonu; jeździe na przegląd jednej posiadłości zgromadzenia. Niech się nikt nie dziwi widząc pałasz pod sukienką zakonną. Nigdy za bramy miasta bez broni wychodzić nie można: nawet znamiona duchownego stanu nie uwalniają od tego. Drogi zwykle są napełnione rabusiami, którzy mimo szkaplerzów i różańców, świętokradzką rękę podnoszą na sługi ołtarza, w przekonaniu że zbieracz dochodów klasztornych nie próżny ma

woreczek. Jeśli jednak uda mu się ujść złowrogiego spotkania rabusiów, nie ujdzie natręctwa żebraków z okolic cpaćwa, którzy go po ubiorze białym poznawszy, wychodzą przeciw niemu. Meksykanie zachowali jeszcze z czasów podbicia sposób siodłania koni. Pokrowa skórzana haftowana, z frenzlą stalową, zakrywa biodra i tył konia, przeszkadzając dogodnemu ruchowi. Gwałtowne ulęwy zwykłe w zwrotnikowych krainach, i naprzykrzające się owady, wyjaśnia może długotrwałość zwyczaju noszenia tak ciężkiego ubioru.

PASTERZ AMERYKAŃSKI. Rozległe do przebywania przestrzenie i obfitość pastwisk na ziemi dziewiczej od wód skrapianej i rozgrzewanej promieniem prostopadłym słońca, tworząc potrzebę rozmnażania koni, podały zaraz sposób łatwego ich wyżywienia, tak, że twierdzić można iż Ameryka stosunkowo do ludności swojej, więcej ma koni aniżeli Europa. Niedostatek dróg czyni niepotrzebną wprawę koni do pociągu; wierzchowe pokazują się wszędzie w kraju, i począwszy od zamożniejszego właściciela do najniższego pastucha, Meksykanie po wsiach żyjący nigdy własnych nóg nie używają, lecz do najmniejszego zatrudnienia biorą wierne rumaki swoje. Ciekawy jest to widok, patrzeć jak codziennie do stolicy wchodzi liczne stada owiec, a za nimi po dwóch lub trzech pasterzy konno, którzy długimi kijami opatrzonymi w rzemienie, dosięga-

ją owce oddalające się od stada, i ścigają je tysiączne obiegając koleje, jeśli te uparte nie chcą iść po drodze. Ciągłe nawyknięcie wieśniaków siedzenia na koniach czyni meksykańską jazdę wyższą od hiszpańskiej, nadewszystko w dorywczej wojnie, którą prowadzili dla odzyskania niepodległości.

KACYK INDIAN APACHÓW. Północne prowincje Meksyku, obie Kalifornje, Nowa Biskaja, Nowy Meksyk, napadane bywają od dzikich Apachów. Straszni ci ludzie, coraz dalej odpięrani wyższością europejskiej broni, znaleźli w zimnym klimacie, gdzie schronienia szukali, dzielność do pomszczenia się na przywłascicielach swojej ojczystej ziemi. Napadając nawzajem Hiszpanów na pograniczu ich mieszkających, zaborem licznego ich bydła wynagradzają sobie wątpliwe z polowania zdobycze, a na kastyljanskich koniach które schwytali, przebiegają lasy północne napadając zniemacka na folwarki samotne i zdobycz unosząc. Ród Apachów jest ten sam który mieszka nad brzegami Missury, a który zniknie wkrótce z nadbrzeżów Delawary i Moawks. Różnią się od ucywilizowanych indjan Meksyku twarde mi rysami, orlim nosem i kształtem czoła. Kacyk jeden najznakomitszy z tych pokoleń stanął przed cesarzem Iturbide, przyrzekając mu pomoc ośmiudziesiąt tysięcy wojowników, gotowych z nim dobić się niepodległości Anahuaku. Iturbide nie przyjął pomocy od sprzymierzeńców

takich, którzyby inaczej się potem porachować chcieli z Kreolskim bohaterem. Ubiorem Apachów równie jak Osagów i Pawnierów jest pokrycie wełniane, spodnie z sarniej skóry, przepaska na czole, ozdoby, łańcuchy i bransoletki. Bronią ich jest łuk, strzały i dzida, ale już poczynają ogniowej używać.

GWARDJA NARODOWA W ALVARADO. Gdy jeszcze Vera-Cruz było w mocy Hiszpanów, a handel cały spłynął do Alvarado, Europejanie sądząc że to jest drugi port wielkiej Rzeczypospolitej, mieli o nim wyobrażenie jakie Francuz o Marsylii, Anglik ma o Liwerpoolu. Lecz zdziwieni mocno zostali, kiedy zamiast bulwarków wspinających, olbrzymich warsztatów okrętowych, składów, spichlerzów, pałaców budowy świętej, ujrzeli gromadę pustek pokrytych słomą i kilka tuzinów chat bambusami osłoniętych. Nie pokazał się tu najpierwój urzędnik zdrowia któregoby powaga wrażenie czyniła, lecz zbliżyło się drzewo olbrzymiej wielkości, wydrążone, a w nim człowiek twarzy wynędzniałej, dychawiczny, w kapeluszu słomianym, w płóciennej katance, na której były jakieś wojskowe znaki, i począł pytania im zadawać. Był to kapitan portowy; a majtkowie jego mulaci. Cały ich ubiór długa koszula, której białość odbija się od miedzianej ich barwy. Ale cóż myśleć, wysiadłszy na ląd, kiedy się spotyka pięć istot rozmaitych kolorów, jakie tylko skóra ludzka przy-

jąć może, mających broń różnego rodzaju; jedni pół nadzy, inni okryci starą suknią i poszarpanymi kołdrami; ten tu ma kapelusz bez dna, tamten wsadza stołową bieliznę na skórę, wszystko wystawia dziwną mięszaninę niedbałości, dumy i nędzy. Szanujcie tych patriotów, jest to narodowa gwardja w Alvarado. Ona wam powie, że choć i jej strój nie jest zupełny, gorącość klimatu od tego uwalnia; jeśli jej broń nie najlepsza, żółta gorączka walczy za nią; jeśli karność nie największa, idzie w tym za przykładem innych gwardji narodowych na tym padole świata.

GRUPA GRACZÓW, Żądza gry jest wrodzoną meksykańskiemu narodowi; czyli mówiąc dokładniej, stan nicości politycznej, w jakiej metropolą utrzymała kolonje swoje, lepszego przepędzenia czasu nie pozwalał nad grę bezustanną i niszczącą. Wielkie majątki zwykle z kopalni się tworzące, z równą łatwością w grze topniały. Hiszpanie mieli w zachęcaniu do niej widoki bezpośrednie, bo łatwo im było bogacić się skarbami, uzbieranymi pracą tysięcy Indian. Rząd teraźniejszy, na innych wsparty zasadach, mając na celu pomyślność i świetność narodu który go powołał do dokonania odrodzenia swego, począł ścigać i zakazywać zgromadzenia gry, a prowincja Vera-Cruz dała już chwalebny przykład zakazania gier hazardownych, publicznych i prywatnych. Stolica jeszcze od nich nie jest wolna i miasto ludne, złożone z tego co

tylko społeczność może mieć w swoim łonie dobrego i złego, wystawia jeszcze co krok zasmucający widok chciwości, bo kupy ludzi przy stolikach na których widać kości lub karty. Najulubieńsza gra Meksykanów jest *monte*, tak znana w Hiszpanji, wyjąwszy że tu dwie się tylko karty odkrywają, i poniter stawia na jedną lub na drugą; jeśli ta na którą stawił w ciągnięciu kart pierwszej wychodzi niż druga, wygrywa; bankier płaci pieniędzmi zebranemi za tę która przegrywa, a zysk jego lub strata wyptywa z różnicy większej lub mniejszej wygranej. Jego jest korzyścią że płaci tylko połowę stawki jeśli za jednem pociągnięciem odkrywa kartę. Niedowierzanie do tego posuwają stopnia, że częstokroć bankier zmuszony bywa grać w rękawiczkach. Summy w samym Meksyku corocznie na grę stawiane, można do sześciu milionów rachować. Rycina wystawia grupę graczy na zakręcie ulicy, w chwili kiedy postawiony na czatach człowiek daje znak że policja się zbliża.

STANGRET MEXYKAŃSKI. Konie meksykańskie wyborne są pod wierzch, lecz nie dosyć wysokie do zaprzęgu. Dla tego więc zaprzęgają tu muły do pojazdów, bo te podług dawnego wzoru sporządzone, nie mają lekkości świetniejszego rodzaju karet i pojazdów. Wysoka cena żelaza sprowadzanego z Europy jest przyczyną, że używają resorów ze skór zbijanych i niekończonych drągów drewnianych podobnych do

malowanych belck. Nie mają kozłów, lecz stangret do popędzenia mułów, zwykle leniwych, siada na jednego z nich jak postyljon. Kocz zatem miejski wychodzi poważnie z ulicy, a naprzód pokazuje się woźnica w kapeluszu trójgraniastym, w jednym bucie, bo noga będąca od strony dyszla nie będąc widziana, nie potrzebuje kosztowniejszego obuwia; potem idzie przodek karety, dalej sama bomba lakierowana, gdzie tłucze się półtuzina matron; nakoniec przybywa tył karety, z jednym lub dwoma ulicznikami mającymi nazwisko lokajów. Ajenci dyplomatyczni krajów które uznały Rzeczpospolitą, napróżno zaprowadzić się starali dzisiejsze pojazdy; szlachetni Meksykanie sądzą że ubliżą przywilejom swojego stopnia, używając zamiast poważnych i spokojnych mułów, koni z krótkimi, a stangretów z długimi ogonami (harcapami) zamiast stangretów strzyżonych. I to jeszcze przydać trzeba, że te hjerarchiczne muły mają ogony starannie obwinięte skórzanemi workami upiekszonemi metalową blachą.

MORELOS (ubiór i portret). Proboszcz Morelos, przyczyniwszy się do rozwinięcia powstania, uorganizowawszy wojska, nadawszy im charakter który się i po nim zachował, doznałosu Hidalga, Matamoros, i Allendy. Wypadało wystawić wiele duchownych strojów, bo meksykański naród, ma fizognomję zupełnie duchowną wszędzie religję i sług jej widać. W Jukatán trudnią się oni

handlem, w kraju górzystym dobywają kruszców, w prowincjonalnych kongresach, i reprezentacyjnych izbach licznie się znajdują. Niegdyś wyłączni posiadacze wiadomości i nauk, nie dziw że tak ważną rolę grali za i przeciwko niepodległości, i że rząd hiszpański bardziej przeciwko nim niżeli innym się srożył; bo powinni byli być najwierniejszymi metropoli. Wszyscy oni prawie polegli, lecz z szeregów utworzonych przez nich wyszli Gwerrero, Bravo, Vitoria i inni wędzowic którzy ogień powstania utrzymali. W chwili gdy ci upaść mieli, Iturbide się pokazał, i ustalił niepodległość Meksyku; lecz chcąc go znowu pod siebie podgarnąć i zaślepiony dumą, dał powód generałowi Santa Anna do postawienia się na czele republikańskiego stronnictwa, które strąciło go z tronu. Santa Anna oskarżony o widoki do osiągnięcia najwyższej władzy dążące, musiał się wyzuć z politycznego znaczenia i zostawił bez naczelnika demokratyczną stronę. Teraz na nowo wszedł w szranki i czas rozwiąć czy się wzniesie do wysokiego szczybla czy wygnany zostanie.

XVII.

POBYT DWÓCH OPUSZCZONYCH MAJTKÓW ANGIELSKICH NA WYSPIE AMSTERDAM.

W niedzielę 4 listopada 27 r. statek angielski *Palmira*, znajdował się na wysokości pustej wyspy Amsterdam, albo S. Pawła, położonej wraz z drugą małą wyspą równie pustą pod 77°5.' długości wschod. a pod 37°57' i 37°0' szer. połud. Obie te wyspy bywają na wielu kartach już pod jednym już pod drugim nazwiskiem naprzemian oznaczane. Żeglarz holenderski Vlaming zwiedził je w 1667 r. i wyspę położoną na północ nazwał *Amsterdam*, ku południowi zaś leżącą, *S. Pawła*; ta ostatnia jest większa, dostępniejsza i lepiej znana od pierwszej. Zresztą obie dwie są pod jednymże południkiem, oddalone jedna od drugiej blisko o 17 lieues, i widziałyne w czasie pogodnym o 20 lieues na morzu.

Wyspa do której przyplłynął okręt *Palmira*, była wyspą północną. W odległości około 5 mil od brzegu, majtkowio postrzegli gęsty dym, co skłoniło ich kapitana do zbliżenia się tam jak najśpieszniej, w mniemaniu że jacy rozbici żeglarze rozniecili ogień dla dania znaku, i uzyskania pomocy w nieszczęściu. W odległości jednej mili od brzegu dostrzeżono istotnie dwóch ludzi, którzy stojąc na małej wyniosłości, zdawali się

oczekiwać na przybycie statku. Spuszczono natychmiast bat na morze, na który wsiadł oficer, dla zapewnienia się o stanie tych dwóch ludzi, i udzielenia im pomocy w razie potrzeby. W godzinę statek powrócił z obudwoma cudzoziemcami.

Na pierwszy rzut oka ich powierzchowność wzbudzała podziwienie i litość: mieli długie brody, stare ich i podarte suknie połatane były skórami psów morskich, zewnątrz siercią obróconemi. Skóra z dzika służyła jednemu z nich za spodnie, trzewiki z tejże samej mieli skóry, zewnątrz siercią obrócone. Jeden z nich około 22 lat mający, nazywał się Jakób Paine, drugi około 48 lat mieć mogący, Robert Proudfoot; obadwa byli majtkowie, rodem z Edynburga; przepędzili na tej wyspie czternaście miesięcy.

Płynęli oni do wyspy *Ile de France*, na szonerze *Governor Hunter*, o 60 blisko beczkach, należącym do kraju Van Diemen, i udającym się na wyszukiwanie psów morskich. W listopadzie 1826, statek ten przybył do wyspy północnej, o której mówiliśmy wyżej pod nazwiskiem Amsterdam. Statki takowe zwykły zostawiać część swoich ładunków po rozmaitych wyspach, gdzie się znajdują psy i lwy morskie, a po kilku miesiącach brać je na powrót, i przywozić oliwę i skóry, w które się gdzie indziej zaopatrują. Stosownie do tego zwyczaju, jeden statek był wyprawiony przez szonera z workiem sucharów, mąką i innemi za-

pasami, niemniej z kotłem, patelnią i znaczną ilością soli do zaprawiania skór z psów morskich. Czas był wieczorny: Paine i Proudfoot wysiedli na łód w dogodnym punkcie z zapasami; znaleziono na łodzi dwie chaty dosyć dobrze darnią pokryte, które według podobieństwa służyły za mieszkanie innym żeglarzom. Statek odplynął następnie do szonera, dla zabrania jeszcze na pokład więcej zapasów i czterech majtków. Tym czasem zaledwie przybył, powstał silny wiatr, okręt został pchnięty na morze, i już go więcej nie widziano. Oba majtkowie ujrzeli się wtedy samym sobie zostawieni. Naza jutrz rano, przecierając pozostałe reszty swych zapasów, postrzegli że prawie wszystką sól bawiany pochłonęły, że żaden z nich (bardzo rzadkie u nich zdarzenie) nie miał noża; Paine bowiem zostawił swój w kamizelce na pokładzie statku, a Proudfoot pożyczył swego pewnemu majtkowi. Cała ich garderoba ograniczała się na tém jedynie co na sobie mieli. Zdaje się iż dosyć oszczędnie używali swoich szczupłych zapasów, kiedy im na pięć miesięcy wystarczyły; po upłynieniu tego czasu potrzeba było używać całej przezorności rozumu dla starania się o każdodzienny posiłek.

W tem smutnym położeniu, musieli naturalnie czuwać nieustannie aby dojrzeć jaki okręt. W pierwszym miesiącu swego pobytu na wyspie, postrzegli wprawdzie znaczna ich liczbę, ale

wszystkie w zbyt wielkiej odległości. Ostatni jaki widzieli był *Hope*, płynący do kraju Van Diemen. W listopadzie r. 1826 zbliżył się on o kilkanaście mil odległości od brzegu, i wyprawił statek na połów ryb. Paine i Proudfoot pobiegli żywo na brzeg, i zaczęli dawać znaki oficerowi; ten odpowiedział im że za powrotem uwiadomi o tym kapitana, oraz że postąpi według rozkazu swego zwierzchnika, i powrócił istotnie do okrętu; ale obadwa nieszczęśliwi, widzieli w krótko z boleścią jak bat wciągniono i okręt w dalszą podróż pełnemi żaglami odpłynął. Ponieważ jednakże majtkowie ci krótki czas dopiero na wyspie przebywali, i zapasy ich nie były jeszcze wyczerpane, nie rozpaczali więc o swoim położeniu. Od tego czasu aż do zbliżenia się *Palmira*, to jest w przeciągu roku, nie spostrzegli ani jednego okrętu. Właściciel Szonera, o którym mowa, według podobieństwa zmylił drogę, wypadło mu bowiem odbywać rybołówstwo na wyspie południowej, to jest na wyspie S. Pawła, gdzie istotnie psy morskie w obfitości się znajdują, kiedy tym czasem na drugiej wyspie, Paine i Proudfoot przez ciąg czter-nasto-miesięcznego pobytu, ledwie siedmiu ułowić zdołali.

Sami majtkowie sądzili ciągle, że się znajdowali na wyspie S. Pawła, i spoglądali często z brzegu północnego, dla odkrycia wyspy Amsterdam; dziwili się nie mogąc dostrzedz jej w ca-

Ic; w pogodnym bowiem czasie, z jednej z wysp, drugą bardzo dobrze widzieć można; ten błąd tém nieszczęśliwszym był dla nich, że gdyby mogli byli dostać się na wyspę S. Pawła, znaleźliby tam byli źródła gorące dość wysokiej temperatury, w którychby mogli gotować ryby, które z wielką łatwością poławiają się w przyległym jeziorze. Jan Henryk Cox, który zwiedził tę wyspę w 1790, widział termometr podnoszący się w tych źródłach do 190° Fahrenheita; ludzie jego jak tylko wyciągnęli rybę z jeziora, wrzucali ją w źródła gorące w których nie można było ręki utrzymać, a w przeciągu pięciu minut była ugotowana.

Nieszczęściem Paine i Proudfoot nie mieli wcale tej wygody, nie posiadali nawet żadnego narzędzia; jednakże opatrność przyszła im nieco pomoc, znaleźli bowiem na skałach igłę, stary nóż, i wielki gwóźdź z którego zrobili wędkę, a kawały starej liny posłużyły im do jej zawieszania. Wzięli się zaraz do połowu ryb; jedyny wszakże gatunek, jaki mogli tym sposobem otrzymać, był tak nazwany od majtków *trąbą*, co do muszli zbierali tylko tak zwane *lepas*. Najwięcej cierpieli z powodu niedostatku świeżej wody. Wyspa mająca grunt skalisty, na dwie lub trzy stóp jedynie ziemią pokryty, nie miała źródeł, chociażby nawet mogli byli robić przekopy. Trzeba więc było szukać kałuży wody

dźdzystej, a często przymuszeni byli wiele mil u-
biedz nim zaspokoili pragnienie.

Na wyspie znajduje się dosyć dzików, jednak-
że nasi majtkowie w ciągu całego swego tam
pobytu, ledwie pięciu zabili. Przymuszeni oni
byli ścigać w biegu te zwierzęta i zabijać ich
kijmi; pewnego razu złapali kilka warchlaków,
które nie zdołały tak spiesznie uciekać jak ich
matka. Z tej zwierzyny nasi dwaj Robinsono-
wie sprawili sobie wspaniałą biesiadę.

Dla rachuby czasu, używali beczki, na której
obręczy każdego rana znak kładli; omylili się
jednakże o dwa dni, gdyż według ich rachuby
przybycie okrętu *Palmira* nie 4go, jak było isto-
tnie, lecz 2 listopada przypadło.

Przymuszeni byli dla oczyszczenia gruntu za-
palać tak zwany *Tusak*, czyli wysoką i gęstą
trawę, która utrudzała im przejście. Według ich
zapewnienia ogień ogarnął znaczną część wyspy
i trwał kilkanaście miesięcy.

Dla powiększenia sobie zapasów, usiłowali zro-
bić łuk i strzały, ale gałęzie drzew miejscowych
z powodu kruchości nie były do tego zdatne. To
więc tylko ich było co ręką dostali; dla braku
soli nie mogli zachowywać ryb, i przymuszeni
byli przyzwyczaić się do jedzenia bez żadnej przy-
prawy pokarmu jaki im się pozyskać udawało.
Wiele razy bez kawałka żywności trzy dni nawet
obchodzić się musieli.

Mieli z początku krzesiwo, ale w krotce spo-

trzebowałi hubkę, a nie znaleźli żadnej istoty roślinnej tyle suchej aby ją zastąpić mogła; dla tego w końcu swego tam pobytu, było ich usilnym staraniem utrzymywać ciągły ogień w chacie, zwłaszcza podczas nocy; bo gdyby nieszczęściem był zagasł, nie mieliby żadnej nadziei rozniesienia go znowu; jakoż ten ogień święty był jedynym, a przynajmniej głównym przedmiotem ich sprzeczek; młodszy lubił spać bardzo wiele, Proudfoot więc musiał najczęściej czuwać nad ogniskiem; a ile razy obadwa na dłuższy czas oddalali się od chaty, przykrywali go starannie znaczną ilością ziemnistej murawy; czasami nawet dla większego bezpieczeństwa, brali z sobą torf zapalony.

Podług Horsburga, wyspa ta ma około 12 mil obwodu; jednakże obaj majtkowie, którzy raz cały dzień poświęcili na jej zwiedzenie, sądzą że ma blisko 20 mil. Wdrapali się dnia pewnego na najwyższy punkt wyspy, i przekonali się że to był krater wulkanu, więcej niż sto *jardów* średnicy mający, a tak głęboki, że nie można było okiem zmierzyć przepaści. Wyspa, oprócz pietruszki której wielka ilość się znajduje, nie wydaje żadnych płodów na pokarm służących. Grunt jest okryty gestemi krzewami i trawami; do posłania i przykrycia w nocy, majtkowie nasi mieli tylko suchą trawę.

W zimowych miesiącach śnieg wcale nie padał, ale grudy i gołolodzie ciągle trwające, spra-

zwiąły nadzwyczajnie ziwno. Przez cały czas zostawali w bardzo dobrém zdrowiu, a jedynym przypadkiem jaki ich spotkał, było wpadnięcie Proudfooda w dość głęboki, w skutku czego zraniwszy sobie ramię, przymuszony był leżeć przez cztery miesiące.

Jedynę ptaki jakie mieć mogli, były *Petrelę*, (*Porcellaria*), śnieguły, które w jamach łapali, a których mięso było suche i smak miało rybny, ale ich jaja były dobre; mięso dzika było również twarde bez żadnego tłuszczu. Albatry znosiły jaja w najbezpieczniejszych miejscach nad przepaściami na skałach, tak że żadnym sposobem nie można było ich dostać.

Nareszcie 4 listopada z najżywszą radością spozstrzegli *Palmira*: Paine przeczuwał że nadeszła chwila ich wyzwolenia, lecz Proudfood, mniej łatwowierny od swego towarzysza, żartował z tej jego nadziei.

Jednakże widząc zbliżający się okręt, zeszli szybko z wyniosłości, na której się znajdowali, i rozniečili natychmiast ogień jak można było największy, dla dania znaku o pobycie ludzi na tej wyspie. Gdy ujrzeli że okręt zatyka banderę radość ich doszła najwyższego stopnia, gdyż czuli że ich nieszczęścia już się skończyły. Ze jednakże niespokojność morza niebezpieczeństwem zagrażała, przeto oficer statku dał im tylko stosowne znaki. Kiedy zaś statek się przybliżył, Paine poznał po głosie swego dawnego dowódcz-

ce; między sprzętami mieli szczęściem tak długą linę że ją dorzucili do statku: tym sposobem zdefali go zbliżyć do siebie i wsiąść na niego.

XVIII.

JOURNAL OF SECOND EXPEDITION, etc.

Dziennik drugiej wyprawy do srodka Afryki, z odnogi Benińskiej aż do Soccatou; przez CLAPPERTONA, kapitana z królewsko-angielskiej marynarki, z dołączeniem Dziennika RYSZARDA LANDER, opisującego podróż od Kano aż do brzegów morza, drogą więcej ku zachodowi idącą.

(Dokończenie.)

Opuszczając Katunga, Clapperton rozłączył się z P. Houtson, który powrócił z dobrym ładunkiem ku brzegom, ale wkrótce potem umarł. »Zmierzając do Kiama stolicy Borgho, mówi on, przebywałem mnóstwo wiosek w zwaliskach leżących, które Fellatahowie spustoszyli. Łupieżcy ci szczególniejszego używają sposobu dla opanowania i zniszczenia, bez niebezpieczeństwa dla siebie, zamkniętych miasteczek, które do jakiejbądź obrony są sposobne. Przyczepiają zapalone kawałki płótna do ogonów gołębiom, które puszczają; te zaś trzepocąc się nad dachami słomia-

nemi spuszcza ją na nie iskry, i dachy łatwo się zajmują, kiedy tymczasem oblegający nie dozwalają mieszkańcom gasić pożaru, mnóstwo strzał na nich rzucając.... Widziałem przybywającą konną eskortę, którą mi przysłał Yarrosułtan Kiamy. Konnica ta składała się zresztą z samych rabusiów, którzy niszczyli wszystko i wymuszali na mieszkańcach okup, we wszystkich wioskach po drodze. Yarro przyjął mnie bardzo dobrze, dał nam bardzo wygodne mieszkanie; zaopatrzył w obfite zapasy jaj, bananów, miodu, mleczywa, ciast maisowych, i t. p. Nareszcie przybył osobiście odwiedzić mnie; siedział na pięknym ciemno-kasztanowatym koniu, a około niego znajdowała się straż liczna. W orszaku jego były także trzy dziewczęta od 15 do 16 lat mające, z których każda miała trzy lekkie dzidy w prawej ręce. Czoła ich opasane były białą wstążeczką. Widząc ich wysmukłą i zachwycającą kibić, żywość nadzwyczajną oczu, zgrabność z jaką biegły, za ledwie ziemi dotykając, przy koniu którym sułtan toczył wspaniale, kłusował lub galopował, mniemałem że patrząc na sylfidy wschodnie, albo na Kamillę Wirgiljusza.... Yarro ofiarował mi jedną z swych córek za małżonkę. Przystałem niby na to. Natychmiast więc dał rozkaz jednemu z dworzan nazwiskiem Abubukee aby mnie zaprowadził do domu xiężniczki, składającego się z kilku pokoi. Wprowadzono mnie do jednego z nich, bardzo

porządnego; mata rozciągnięta była na podłodze. usiadłem na niej, a młoda dziewczyna weszła i uklękła. Pytałem jej, czyby chciała żyć w domu moim, lub czy życzyła sobie abym ja przeniósł się do jej mieszkania. Odpowiedziała że to od mojej woli zależeć będzie. Dobrze, przydałem, więc ja się tu sprowadzę ponieważ dom ten jest lepszy. Znak przyzwolenia z jej strony zakończył rozmowę. Rzecz ta nie miała dalszych skutków....

»W chwili wyjazdu mego, Yarro radził mi, abym się udał do Boussa raczej niż do Yourry, który to kraj zostawał naówczas w wojnie z Fel-latahami. Poszedłem za radą jego i puściłem się w podróż z przewodnikami i z końmi które mi ofiarował.... Przybyliśmy, 21 marca do Wawa, innego miasta w Borgho. Zostałem tam przyjęty bardzo gościnnie przez rządęc onego. Miasto ma 18 do 20,000 mieszkańców. Bronią go szan-ce bardzo wysokie i szerokie rowy. Część ludności składa się z muzulmanów, reszta jest bał-wochwaleza; mieszkańcy mają charakter odmien-ny od ich sąsiadów z Kiama: są oni poczciwi, weseli i dosyć dobrych skłonności; ziemia wystarcza na opędzenie potrzeb ich życia; ale po-łożenie ich na drodze z Bornu i Hussy do Da-homey i Jannah, ułatwia im nabywanie wielu przedmiotów zbytkowych przywożonych z Euro-py, a nadewszystko tych spirytusowych napojów, najszkodliwszego daru jaki im Europejczycykie

udzielić mogli. Dla tego więc trzeźwość i skromność do rzędu cnót ich nie należą. Nigdzie nie widziałem ludu skłonniejszego do pijaństwa; rządcą sam, duchowni, lud, a nawet kobiety, wszystko to aż do zbytku piło. Więcej jak przez tydzień nudziła mnie córka rządcy, która przychodziła do mnie kilka razy na dzień, umalowana i wystrojona stosownie do najświeższej mody krajowej, i zawsze na pół pijana. Nie mogłem się jej inaczej pozbyć jak mówiąc że właśnie odmawiał modlitwy i przypatrywał się co noc gwiazdom, i oraz że nie nie piłem oprócz *roa-in-zafir* (*wody ciepłej*, jak nazywali mieszkańcy moją herbatę.) W ten czas opuszczała mnie zalévając się łzami.

Z osób które mnie w Wawa odwiedzały wspomnieć winienem o młodej wdowie nazwiskiem Zuma. Była ona córką Araba, mieniła się kobietą białą, i uważała się za najbogatszą w kraju osobę na wydaniu. będącą, ponieważ miała piękny dom i tysiąc niewolników. Najbardziej pragnęła, aby mogła, mieć męża białego. Zwróciła naprzód całą uwagę swoją na mego wierne go Ryszarda, młodszego i piękniejszego odemnie. Ale kiedy ten wszystkie jej przymilenia z obojętnością przyjmował, obiecała dać Pascocemu najpiękniejszą z swych niewolnic za małżonkę, jeśliby mnie do niej mógł zbliżyć. Codziennie przysyłała mi zapasy żywności i zupełnie przyrządzone potrawy. Ciekawy będąc widzieć urządzenie

jój domu, zezwoliłem na oddanie jej wizyty. Ujrzałem zamieszkanie obszerne, pełne niewolników płci obojój. Mężczyźni sypiali w zewnętrznych szałasach, a kobiety w domu. W środku między szałasami znajdował się wielki kwadrat, na którym wystawiony był pawilon z zawieszonymi ze wszystkich stron matami nakształt firanek, oprócz jednego miejsca w którym wisiała wyprawna skóra wołowa. Podniosłszy tę firankę ujrzałem Zumę, siedzącą z założonemi na krzyż nogami, na małym kobiercu tureckim. Wielką poduszkę skórzaną podłożoną miała pod lewe kolano; garnek z *goura*, i spory garnek cynowy z rękodzielni angielskiej, stały przy niej, z tykwą napełnioną świeżą wodą do odwilżania ust, w miarę jak jadła *goura* lub żuła tabakę w proszku, podług zwyczaju wszystkich krajowców obu płci, którzy byli w stanie kupować ten przysmak. Po prawej stronie miała przy sobie bicz; w niewielkiej odległości siedziała skurczona na ziemi niewolnica jej, karlica i garbata: kobieta ta nie miała na sobie wcale odzieży, ale jedynie mnóstwo sznurków paciorków szklanych i koralików obciążało jej pas i szyję. Miała ona usta szerokie, oczy piękne, i siedziała w miejscu dzwonka, jak u nas niegdyś paziowie. Pani jej była okryta piękną materją w paski, z bawełny i jedwabiu krajowego, a ubiór ten od jój gorsu spadał aż po kostki: turbanem z grubego białego muszlinu okręconą miała głowę, a piersi ozdo-

bione naszyjnikami z koralu, perła i złota, oraz łańcuchem z rubinów; rzęsy jej i brwi były pomalowane czarno; włosy maczane w indigo, a nogi i ręce zafarbowane rośliną *henna*. W prawej ręce trzymała wachlarz kwadratowy, zrobiony z suchych liści. Dała mi znak abym usiadł na jej kobiercu, zaczęła mnie wachlować i posłała karlicę po wszystkie suknie i ozdoby swoje, aby mi je pokazać. Składały się one z bransoletek złotych, wielkich toaletek z kartonu, z których każda zawierała w sobie zwierciadło, kilka sznurków koralu, pierścionki, bransoletki srebrne i wielką mnogość innych drobnostek. Po wielu grzecznościach, i kiedy wyliczyła mi wszystkie bogactwa swoje, zaprowadziła mnie do innego pokoju, czysto i świeżo ubranego, ozdobionego blachami cynowymi i świecącymi się naczyniami z miedzi. Powiedziała mi naówczas, że już było blisko lat dziesięć jak mąż jej umarł, że tylko jednego miała syna, nierównie od niej czarniejszego; że bardzo lubiła ludzi białych, i że uda się ze mną do Boussa; że nakoniec pośle po *malema*, człowieka uczonego, i że wraz ze mną *Fatha* czytać będzie. Zdawało mi się że żarty za daleko się już posunęły, i coraz zimniejszym się stawałem. W ówczas kazała przynieść zwierciadło, a przejrzawszy się w nieu naprzód sama, podała mi je następnie, mówiąc, iż bez wątpienia była ona może nieco starszą odemnie, ale nie wiele. I cóżby to z resztą szkodzić

mogło? — To było już nadto, uciekłem więc jak najspieszniej, z mocnym postanowieniem niepowracania do niej już nigdy.«

Podróżny nasz zboczył następnie do *Buossa*, miasta leżącego na wyspie dosyć rozległej, utworzonej przez dwie gałęzie rzeki *Quorra*. Spodziewał on dowiedzieć się tam czego o rękopisach Mungo - Parka, który zginął niedaleko od tego miasta, a ztamtąd miał zamiar udać się do *Koulfou*, gdzie sądził iż zastanie wszystkie rzeczy swoje i służących, którym kazał tam wprost się udać. »Ale kiedy byłem w drodze z *Comie* do *Bac*, spotkałem syna rządcy *Wawa*, który mi powiedział że ojciec jego rzeczy moje zatrzymał, ponieważ *Zuma* pojechała za mną bez jego pozwolenia, i że własność moja będzie mi powrócona, skoro oddam na powrót piękną wdowę. W istocie, czuła ta Afrykanka czekała na mnie w pobliskiej wiosce, z kądem przysłała mi gotowanego ryżu, z drobiem, zapraszając mnie usilnie abym najspieszniej przybywał rzucić się w jej objęcia. Wierny mój *Lander*, który przybył dla złączenia się ze mną do *Boussa*, znalazł mnie wkrótce potem. Powiedział mi, iż *Zuma* opuściła na pół godziny przedemną *Wawa*, przy biciu w bębny, na czele swego legjonu niewolników; że oddała w małżeństwo *Pascoemu*, bez zezwolenia rządcy, piękną murzynkę, i że oświadczyła iż uda się za człowiekiem białym aż do *Kano*, z kądem powróci prowadzić wojnę z rządcą.

jak to już raz uczyniła. Piękne rozwiązanie czekałoby wyprawę moją, gdybym wywróciwszy potęgę króla murzyńskiego, umieścił obok siebie amazonkę Zumę na podbitym tronie, aby się jej pięknym oczom podobać! Odjechałem więc natychmiast do Wawa; wojownicza wdowa postępowwała niedaleko za mną, i w następnym porządku odbyła wjazd swój uroczysty. Dobosz w kapeluszu piórami strusiemii ozdobionym poprzedzał ją; zbir jeden szedł przed jej koniem, a tłum ludzi uzbrojonych w łuki, miecze i dzidy tuż za nią się posuwał. Siedziała po mężku na pięknym rumaku, wspaniale okulbaczonym na sposób krajowy.— Głowa konia tego ozdobiona była blachami miedzianemi, a szyja obciążona rzemiennemi kutasikami; po całym zaś ciele jego przyręczepiane były w wielu miejscach uroki zaszyte w skórkach rozmaitego koloru, czerwonego, zielonego, żółtego i t. p. Na piersiach miał skórę szkarłatnego koloru z miedzianą blachą w środku; a czaprak był z sukna pąsowego, złotemi ozdobiony galonami. Zuma ubrana była w spodnie z pąsowej jedwabnej materji; miała bóćiki z pąsowego safjanu, na głowie zaś turban biały, a na ramionach płaszcz z jedwabiu i złota tkany. Gdyby była nieco młodsza i nieco szczuplejsza, możnaby się pokusić o naczelnictwo nad jej wojskiem; uważaćby ją bowiem można było za rzadką piękność nawet w którejkolwiek części Europy. Przywołana przez rząd-

ce, przed którym na twarz upadła, podług zwyczaju krajowego, otrzymała od niego surowe napomnienie, za niepośluszeństwo i próżność swoją; ale wysłuchawszy go w milczeniu, wychodząc otrząsnęła kurz z nóg swoich na znak wzgardy.«

Clapperton powrócił do Comie, gdzie przebył rzekę Quorra, na łodzi mającej 20 stóp długości na 2 szerokości, i wkroczył do pięknej prowincji Nyffe, kraju dobrze uprawnego, obfitującego w kopalnie żelaza. Każda wioska ma dwie lub trzy kuźnie; domy są zewnątrz malowane; malowidła te przedstawiają postacie ludzi, węzów, krokodyłów i żółwi.— Za przybyciem do Koulfou, podróżny nasz spoczął u bogatej wdowy, nadzwyczajnie otyłej i zupełnie głuchej, która pomimo tego prowadziła znaczny handel solą, saletrą, winem palmowem, tak nazywanem *buza*, napojem fermentowanym ze zboża gwinejskiego, miodu, pieprzu, i innych artykułów. Jest to napój niezmiernie mocny, a mieszkańcy obu płci z rokoszą go piją.— Przepędzili noc całą na tańcach, śpiewaniu i piciu, a ich rozpusta przedstawiała podobne sceny do tych które Burekhardt opisał, i których był świadkiem w Nubji, gdzie również napój ten jest używany. Koulfou jest środkowem targowiskiem, do którego przybywają kupcy z Sudanu i innych części Afryki. Miasto jest zamknięte, i ma 12 do 15,000 ludności. Mieszkańcy są dobrzy i uprzej-

mi, ale niewiele dobrej wiary zachowują w interesach handlowych. Od Koulfou aż do Kufu, kraj jest rozległemi okryty lasami, dobrze uprawny, i liczne ma wioski; ale częste napady Fellatahów zniewalają mieszkańców do zostawiania ciągle pod bronią, w ten czas nawet kiedy się pracom rolniczym oddają.

Zorja, stolica Zegzagu, jest wielkie miasto zamieszkane prawie zupełnie przez Fellatahów; uchodzi ono za ludniejsze aniżeli Kano, które ma od 30 do 40,000 mieszkańców. Poznać można części miasta zamieszkane przez muzulmanów, po ich meczetach, minaretach i dachach, sposobem tarasów urządzonych. Znajduje się tam wiele rodzin pochodzących z Fouta-Toro i z Fouta-Jella. Zarzanie ci utrzymują iż mieli na wybrzeżu stosunki z Anglikami i Francuzami, ale że te były dla nich więcej szkodliwe jak pożyteczne. Okolice miasta są wspaniałe, a zyzność ziemi, która jest dobrze uprawianą, rozciąga się aż do Kano, gdzie Clapperton przybył 20 lipca 1826.

Sułtan Bello zostawał w ówczas z wojskiem pod Kounia, stolicą Goubiru, oblegając to miasto. Przyjął dosyć dobrze Clappertona, który obecny był bitwie stoczonej pod murami twierdzy. Podróżny nasz w następujący sposób opisuje ową bitwę: »Po odmówieniu południowej modlitwy, całe wojsko, oprócz rzczańców i straży bagażowej, posunęło się naprzód aż do pod-

stawy twierdzy. Udałem się i ja za szeregi, i zająłem miejsce obok Gadado (pierwszego ministra sułtana). Nie widziałem nigdy podobnego zamieszania; piechota i kawalerja biegła bez porządku: żołnierze jednego dowódcy mieszały się z żołnierzami innych oddziałów; podobnyż nieporządek panował w użyciu broni. Wszelako, kiedy wojsko stanęło, czoło bitwy przedstawiało groźny widok, a każdy dowódzca zajął przeznaczone sobie stanowisko. Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt tysięcy ludzi, z których połowa konnicy, obsaczyło ze wszystkich stron twierdzę. Kawalerja zatrzymała się w odległości takiej, do jakiej strzały nie donosiły, a zbiry postąpili naprzód, rzucając pociski na oblężonych; pomiędzy tymi znajdowało się trzydziestu żołnierzy uzbrojonych muszkietami i rozsypanych na wzór strzelców. Wojska Zegzega miały strzelby francuzkie, żołnierze zaś Kano muskiety. Żołnierze ci, po wystrzeleniu z broni, cofnęli się dalej jak na strzał karabinowy, dla nabicia na nowo strzelby. Byli to sami niewolnicy; żaden z Fellatahów nie miał broni ognistej. Zdaje się, iż w ich mniemaniu do użycia tej broni przywiązana była jakaś niesława. Nieprzyjaciel wytrzymał mężnie natarcie, zachowując użycie strzał aż do chwili korzystnej, w którejby powszechny wystrzał mógł nastąpić. Podczas najmocniejszej walki, widzieliśmy wielu kawalerzystów zasłoniętych wielkim puklerzem skóra-

nym, którzy wywijając dzirydami swemi, pędzili ku rowom twierdzy, powracali ztamtąd w galopie i wołali na towarzyszków swoich: »Naprzód! pod szańce! Szukajmy zastony pod szańcami!« Na ten krzyk, powtórzony przez kilku naczelników, wojsko stało niewzruszone, a niektórzy trenisic wołali: »Idźcie wy naprzód, wy co macie szerokie puklerze zastaniające was od pocisków!« Nakoniec ruszyła w porządku kawalerja wyborowa; żołnierze jęj mieli kaszkiety ozdobione piórami strusiem i okładane cynowemi blachami. Ubrojeni byli długimi lancami: ciężar ich uzbrojenia nie dozwalał im dosiadać koni inaczej jak za pomocą dwóch ludzi, którzy ich wsadzali na szkapy. Biedne zwierzęta wlekły się stępo pod tym przykrym ciężarem. Sądziłem że za owemi ciężkimi machinami postępowali piesi żołnierze; ale kawalerzyści jechali każdy osobno, pod gradem strzał i pod ogniem muszkietów, od których pierwszego wystrzału poległ kawalerzysta stanowiący straż przednią, dwiema kulami przeszyty; upadł on na ziemię jak worek zboża przez młynarza zrzucony u drzwi młyna... Jedną z najużyteczniejszych osób w naszym wojsku była żywność przedająca stara niewolnica sułtana, koloru miedzianego, mająca ubiór i postać Eskimki. Siedziała na starój kobyle, z familji Rozynanta don-kiszotowskiego; na głowie miała stożek słomy brudnym okryty gałgancem, który spadał w kształcie kwefu, zastaniając ją

od słońca. Całą jej odzieżą były szerokie spodnie tureckie, stare bóciki, a w pasie przywiązana była do konia. U wierzchu siodła wisiąca znaczna liczba tykiew wodą napełnionych, i miedziane naczynie. Kobięcina ta krążyła pomiędzy szeregami, chłodziła rannych i tych co pragnieniem znużeni siły stracili. Podwakroć potrzebowałem jej przysługi, ponieważ upał i kurza-wa nieznośnie mi dokuczały.«

Po tej pamiętnej bitwie, Clapperton powrócił do Soccatou z sułtanem, który kazał mu na mieszkanie przysposobić tenże sam dom, w którym podróżny ten dawniej mieszkał. Bawił on tam przeszło sześć miesięcy, który to czas poświęcił na zbieranie wiadomości najdokładniejszych o Fellatach i Foulahah z Fouta-Torro, Fouta-Jella, i t. p.; o ich podbojach w Houssa, ich obyczajach, stanie towarzyskim, rolnictwie, handlu i rękodzielnictwach. Wkrótce po jego przybyciu, odebrał wizytę jednego z sekretarzy sułtana Bello, który go zawiadomił, że sułtan nie dozwoli mu wyjechać bez eskorty, nawet do Bornu, którego kraju szejik był naówczas w wojnie z Fellatami. »Nadto, przydał on, w czasie pierwszej twojej podróży, szejik Bornu pisał do mego pana, zachęcając go aby cię zamordował, ponieważ jesteś przysłany jako szpieg przez Anglików, aby im przez poznanie kraju tego ułatwić jego podbicie, i przez podobnych to posłów ziomkowie twój poznawali naprzód Indostan, aż do chwili, w której ujrzeli

się dość mocnymi do opanowania kraju tego. Clapperton odpowiedział, iż jest tem niezmiernie zdziwiony, gdyż przez czas pobytu swego u szcika Boruu, i w chwili odjazdu ztamtąd, otrzymał od niego dowody szacunku i przyjaźni. Nalegał więc o pokazanie mu listu tego, który jednak nigdy mu nie był udzielony; ale sułtan sam powtórzył, że go odebrał, i że był pisany przez Hadgy - Mohameda, z rozkazu szcika. Nakoniec sułtan rozkazał, aby sprowadzono z Kano do Soccatou służącego Clappertona, z całym ładunkiem i podarunkami które były przeznaczone dla szcika Bornu. Bello zabrał wszystkie paki, pod pozorem iż Clapperton wiozł strzelby dla przyjaciela swego szcika Bornu, i rozkazał nadto, aby list lorda Bathurst, do tego szcika adresowany, jemu samemu był oddany. Postępowanie to dotknęło boleśnie Clappertona, którego od tej chwili Ryszard Lander już nigdy uśmiechającego się nie widział. Oświadczył Gadadowi, iż postępek sułtana Bello nie był przyzwoity na *monarchę wiernych*, że nie dochował przyrzeczonej wiary, i t. p. Gadado odpowiedział mu, że nie tylko szcik, ale i dwaj haggy z Tripoli, którzy pisali do sułtana Bello, obwiniali go także iż był szpicgiem, i dodawali, iż Anglicy gotowi byli do postąpienia z Afryką tak jak postąpili z Indjanami.

Wszelako po zupełnej porażce wojska Bornu przez Fellatahów, sułtan stał się przystępniejszy i zdawał się powracać do dawnej życzliwości dla

Clappertona. Ostatnie wyrazy opisu naszego nie-
szczęśliwego wędrownika, okazują nam sułtana
Bello naradzającego się z nim po przyjacielsku
nad środkami zapewniającemi mu bezpieczny po-
wrót do Anglii. Lecz niestety! już było zapó-
źno. Zdrowie Clappertona, który nigdy zupełnie
nie przyszedł do siebie od owej fatalnej nocy
przepędzonej nad brzegami bagien Bawijskich,
zostało mocniej jeszcze nadwerężone w Socca-
tou, przez zgryzotę jaką mu sprawiło niespodzie-
wane i nieszlachetne postępowanie dawnego je-
go przyjaciela sułtana Bello.

Na dniu 12 marca kończy się dziennik Clap-
pertona; dziennik zaś Ryszarda Lander tegoż sa-
mego dnia się zaczyna. Oddawszy ostatnią przy-
sługę nieszczęśliwemu panu swemu, wierny ten
sługa znalazł się sam w najopłakańszym stanie,
bez przyjaciół, otoczony barbarzyńcami w ów-
czas bardzo nieżyczliwymi, niezmiernie oddalo-
ny od swej ojczyzny, i zagrożony wszelkiego ro-
dzaju niebezpieczeństw. Jego szczerze opowia-
danie, i szczegóły które przytacza o sposobie jakim
wydobył się z okrutnego położenia swego, i po-
wrócił nakoniec w ojczyste progi, przebłąkawszy
cztery miesiące w krainach dzikich, których je-
szcze żaden Europeanin przed nim nie zwiedził,
nie mniej są zajmujące jak najciekawsze miejsca
opisu Clappertona. Umieścimy tu niektóre wyją-
tki z dziennika jego. Oto jest rozrzewniający o-
braz ostatnich chwil życia Clappertona:

»Upadł był niecznośny; termometr Fahrenheita stał na słońcu przy 107 stopniu w południe, a 109 o trzeciej godzinie. Na prośbę pana mego, urządziłem mu postanie w cieniu, obok jego szałas; i rozciągnąłem przy nim matę dla siebie. Przez pięć dni wynosiłem go zawsze z łóżka na którym leżał w szałasie do tego które mu przyrządziłem na otwartem powietrzu, i co wieczór zносиłem go tam nazad. Szóstego dnia niepodobna mu było podnieść się na łóżku. Raz tylko podczas choroby swojej, chciał on pisać; ale nim mu przyniosłem atramentu i papieru, upadł na łóżko znużony tem wysileniem, jakie uczynił chcąc siedzieć. Z pierwszych symptomów choroby sądziłem że P. Clapperton jest otruty; ale zapewnił mnie że zastał na polowaniu, położywszy się na wilgotnej ziemi..... Przebył on dni dwadzieścia w opłakanym stanie. Napróżno mówił mi że nie cierpi wcale; widziałem dobrze, jak postrzegając mój smutek, usiłował go ukoić. Musiał on najprzykrzejszych doznawać boleści; nikał codziennie. Ciało jego, tak silne, tak męzkie, zamieniło się prawie w szkielet. Sen miał niezmiernie niespokojny, a co chwila napastowały go różne marzenia; w czasie których usta jego wyrzekały złorzeczenia przeciwko zdradliwości Arabów. Jeden z nich, należący do pokoleń Fczzańskich, przybył razu pewnego ofiarując mu modlitwy swoje jako pomoc lekarską; ale P. Clapperton kazał mu wyjść na-

tychmiast. Codziennie, czytałem mu niektóre miejsca z biblij i orąz psalm 98, a w niedzielę odmawiałem mszę, której słuchał z czułą pobożnością. Wszelako, niespokojność, znużenie, czuwania ustawiczne, niezmiernie mnie osłabiły. Na kilka dni przed śmiercią pana mego dostałem febrę zapalnej, z której ledwie nie umarłem.

»W pierwszych dniach kwietnia P. Clapperton, widząc zbliżający się koniec cierpień swoich, usiłował ożywić resztę sił jakie mu pozostały, aby mi dać ostatnie instrukcje..... W ciągu tej rozmowy, która trwała prawie przez dwie godziny, kilka razy zemdlał. Tegoż wieczora, w chwili ulgi jakiej mu cierpienia dozwoliły, zatrzymał on się; ale w krotce budząc się nagle: »Nie »słyszaleś, rzekł do mnie, odgłosu pogrzebowego dzwonu? Pewny tego jestem; zabrzmiał on »w uszach moich.— Dobry panie, odpowiedziałem »mu, uspokój się czyli dozwolisz się czezym marzeniom pognębić? Wszak ci wiadomo, że chorzy »mniemają często iż słyszą lub widzą przedmioty niemające żadnej rzeczywistości.« Nie odpowiedział na to wcale; ale po kilku chwilach milczenia, widząc boleść moją i osłabienie: »Prze»bacz, mówił mi, z słabym uśmiechem; prze»bacz obłąkaniu chorego..... »Dnia 13 kwietnia ze świtem, przebudzony zostałem ostatniem odczwaniem się pana mego. »Ryszard!.... Ryszard!....« mówił on głosem słabnącym, przerywanym przez wysiłone odetchnienia konania.

Przeczłknięty, przybiegłem do niego. Siedział na łożku, i rzucał do koła siebie pełne trwogi spojrzenia. Objąłem go rękami, a opierając lekko głowę jego na mych piersiach, wlepiłem w jego wybladłe i zmienione rysy łzami zalane oczy. Jakieś niewyraźne słowa skonały na ustach jego. »Boże! pan mój umiera!« zawołałem przeraźliwie. Na ten odgłos, dwaj niewolnicy nasi, Pascoe i Mudey weszli do szałas. Nieszczęśliwy wydał ostatnie tchnienie. Umyliśmy ciało jego i wypieśli z szałas, a złożywszy je na dwóch matach, obwinęliśmy prześcieradłem i kołdrą. Posłałem następnie umyślnego, do sułtana Bello, zawiadamiając go o tym nieszczęśliwym wypadku, i prosząc o pozwolenie pogrzebania pana mego podług zwyczajów angielskich. Bello zezwolił na to; a w południe przybył od niego Arab z czterema niewolnikami, dla wykopania grobu. Poszedłem za nimi w towarzystwie Pascoego i Mudeya, prowadząc wielbłąda na którym przywiązałem szanowne zwłoki nieszczęśliwego Clappertona, okryte śmiertelnym prześcieradłem. Taki był kondukt pogrzebowy. Wolnym postępując krokiem zatrzymaliśmy się w Jungari, małej wiosce zbudowanej na spadku wzgórza, o 5 mil na południo-wschód od Saccatou. Złożono ciało pod szopą, czekając na wykopanie dołu; następnie zaniesiono je na brzeg tego ostatniego schronienia. Otworzyłem w ówczas xiążkę moją od nabożeństwa, i głosem łka-

niami przerywanym dopełniłem pogrzebowego obrzędu na zwłokach mego zacnego i kochanego pana. Ten bolesny obrzęd nie miał innych świadków oprócz Boga miłosierdzia, do którego modły moje zanosilem; niewolnicy znajdowali się w pewnem oddaleniu, zajęci kłótnią pomiędzy sobą. Po skończeniu modłów pogrzebowych, przywołałem ich do grobu. Powierzylimy ziemi czcigodne zwłoki. Rzuciłem ostanie wejrzenie na wszystko co pozostało po takiej szlachetności i takim męstwie, i we łzach tylko pociechę znajdowałem.»

Lander znajdował się w ówczas o 115 dni od wybrzeża. Sułtan Bello chciał zrazu zatrzymać go u siebie w niewoli, ale na przedstawienie jednego z officerów swoich, pozwolił mu nareszcie opuścić Soccatou i udać się do Kano. Ruszył więc w drogę 4 maja, zabierając z sobą pozostałe po panu rzeczy, oraz prowadząc dwóch niewolników Pascoego i Mudeya, trzy wielbłądy i dwa konie. Wkrótce przyłączył się do karawany złożonej blisko z czterech tysięcy osób, najwięcej handlujących solą powracających do Kilgris, pielgrzymów udających się do Mekki, kupców z Gouro, dążących do Kano, Nyffe, itp. Karawana ta prowadziła z sobą niezmierną ilość wielbłądów, koni, bawołów itp. Znajdował się tam król kraju *Jacoba* z pięćdziesięciu niewolnikami. Przybył on dla ofiarowania ich sułtanowi Soccatou, ale ten widząc że król ów poniósł

znaczące straty w ludziach i w bydłe, oraz że miał wiele wsi spalonych w czasie swych wojen z szlakiem Bornu, nie przyjął tego daru, i prosił króla z *Jacoba* aby ich nazad zabrał. *Jacoba* leży na południo-wschód względem *Soccatou*; mieszkańcy tego kraju są ludożercami podobnie jak i *Yamyanie*, ich sąsiedzi..... *Lander* zaledwie nie uległ przemocy utrudzenia i pragnienia pożerającego: »Widząc się w niemożności odbywania dalszej podróży, mówi on, kazałem *Pascoemu* aby zatrzymał wielbłądy i poszukał wody. Tymczasem zsiadłem z konia, i spocząłem przy drodze, pod drzewem; rzadkie liście słabo mnie zastaniały od promieni afrykańskiego słońca, od którego rozgrzane wędziło konia mego parzyło mnie w rękę. Błagałem wszystkich przechodzących, aby mi sprzedali kilka kropel wody; ale barbarzyńcy nie chcieli tego uczynić, i mówili z obojętnością między sobą: »To jest kafir, niech sobie umiera!« Nakoniec młody jeden *Fellah* z *Foutatoura*, postrzegłszy mnie, zbliżył się z uśmiechem wołając: »*Nasarech, nasarech, trissimanora*, (chrześcijaninie, chrześcijaninie, ruszaj sobie dalej!« — Umieram z trudów i pragnienia, rzekłem do niego, i niepodobna mi jest krok jeden dalej postąpić. Na te słowa młodzienciek dał mi małą tykwę napełnioną wodą; napiłem się cokolwiek, a resztę dałem wypić koniowi, zmoczywszy mu wprzód nozdrza. Ci co widzieli owego *Fellaha* dopełnia-

jącego tego czynu miłosierdzia, wyrzucali mu z żywością że dozwolił napić się chrześcijaninowi; ale on, pokazując im dwururną strzelbę, rzekł iż to był dar jednego z ziomeków moich, za który powinien być wdzięcznym. Woda której cokolwiek się napiłem przywróciła mi w tej samej chwili stracone siły; ale wkrótce potem stałem się tak słabym jak byłem wprzód; nogi mi nabrzęmiały, i w całym ciele przykrych doznawałem boleści. Nakoniec po trzech lub czterech godzinach najokropniejszego oczekiwania, postrzegłem Pascoego, siedzącego spokojnie pod drzewem i rozmawiającego z Mudcym, kiedy tymczasem wielbłądy pały się w pobliżności. Już chciałem roztrzaskać głowę łotrowi co się natrzęsał z cierpień moich; ale wstrzymałem się, pomyślawszy że los papierów pana mego i życie moje w jego były ręku. Zapytałem go tylko dla czego mi wody nie przyniósł? — na co on odpowiedział zimno: »Ponieważ byłem utrudzony.«

»Król Jacoba okazał mi w drodze wiele życzliwości i ciągle mi towarzyszył. Zapraszał mnie usilnie, abym przybył zwiedzić jego królestwo, obiecując mi ile będzie mógł pobyt mój przyjemnić i spokojnym uczynić. Powiedział mi iż w bitwie którą stoczył z szejkiem Bornu, na czele poddanych swoich i Yamyanów, sprzymierzeńców, poniósł bardzo znaczne straty; iż rzecz była okropna, jego wojsko zupełną poniosłą klc-

skę, że ledwie nie dostał się w niewolę; i że nazajutrz, Yamyanowie, powróciwszy na pole bitwy, unieśli trupy nieprzyjaciół, a upiekłszy je, okropną sobie sprawili biesiadę. . . .

»D. 15 Maja, o drugiej z południa, zatrzymaliśmy się przed bramami Damoy, małego miasteczka murem otoczonego, w kraju Houssa. Mieszkańcy tamtejsi powiadali mi, iż pasmo górktóre postrzegałem od południa na horyzoncie, rozciągało się aż do *wody słonej* (tak nazywają ci barbarzyńcy ocean), i że było zaludnione przez Yamyanów, o których skłonności do ludożerstwa mnie zapewnili.«

Lander przybył 25 maja do Kano, gdzie zatrzymał się aż do 29. »Dzień 1 czerwca przepędziłem w Bebaji, a o dwie mile od tego miejsca trafiłem na dwie drogi, z których jedna do Nyffe, druga do Funda prowadziła. P. Clapperton powiadał mi, iż jeśli będę powracał przez Nyffe i Yourriba, mieszkańcy, uwiadomieni o tem iż wiozłem podarunki dla sułtana Bello ich nieprzyjaciela, niezawodnie mnie zamordują. Obawa ta, połączona z żywym pragnieniem oglądania Funda, miasta leżącego nad brzegiem Nigru, i udania się w czółnie z biegiem tej rzeki, aż do Beninu, skłoniła mnie do udania się drogą do Funda. D. 4go czerwca, przybyłem do stóp góry stromej zwanej *Almena*, złożonej z niezmiernych sztuk granitu, nagromadzonych przypadkowo jednych na drugie, i wiszących nad

głową podróznego. Służący mój, Mudcy, którego częste w tych okolicach podróże oswoiły z podaniami miejscowemi, powiadał mi, iż pewna królowa Fantisów, poróżniwszy się z mężem swoim o złoty tron który posiadać chciała, uciekła od niego, uprowadziwszy z sobą część jego poddanych, zbudowała u stop jej góry miasto któremu dała nazwanie *Almena*, i opasała je murami z granitu, których szczątki widzieć się dawały.

»D. 7 czerwca, jadąc ku południo-wschodowi, przybyliśmy około południa do bram miasta oszańcowanego, zwanego *Nammalik*; zaszłania je góra, a z innych stron mur z ziemi ubity. Góra jest spiczasta, i okryta gęstym lasem, zamieszkanym przez tysiące hijen, tygrysów, szakalów, małp, których przerażające wrzaski przez całą noc oka mi zmrużyć nie dozwoliły. Zwierzęta te tak są żarłoczne, iż mieszkańcy nie mogą utrzymać ani wołu, ani barana, ani kozy; dla tego nie ma tam wcale mięsa do jedzenia. Naczelnik dał nam na mieszkanie szałas, i poczęstował nas *tuahem*, robionym z soku obrzydłego owocu zwanego *chlebem małpim*. Dwaj Fellahowie przybyli od króla Zegzeg, zapytując mnie dokąd się udawałem, i natychmiast się oddalili: Dowiedziałem się później iż donieśli panu swemu że dążyłem do Funda, z dwoma mułami obciążonemi skarbami i pysznym koniem, którego miałem ofiarować królowi kraju tego.«

»Dnia 8go, opuściłem Nammalik, i spotkałem na drodze trzydziestu niewolników z Foullindousi, różnej płci i wieku, udających się do Zegzeg, gdzie mieli być ofiarowani w darze sułtanowi Bello. Mężczyźni byli powiązani jeden do drugiego obrożami rzemiennymi; kobiety i dzieci szły wolno. Foullindousowie są pierwsi Afrykanie których widziałem zupełnie nago: na widok ubioru mego śmieli się do rozpuku, ale i mnie ich postać dosyć rozśmieszyła. Są oni prości i dobrzy, ale nadzwyczajnie nieschludni: jedzą i spią bez porządku w jednymże szałasie z kozami, baranami i drobiem; z mieszkań ich wychodzi zawsze smród niecznośny. Nie zdaje się aby mieli najmniejsze przywiązanie do swych dzieci: ojciec sprzedaje syna swego, tak jak kurę, za najlichszą cenę i z największą obojętnością. Noszą oni zawieszane u obu warg kawałki szkła niebieskiego, a u uszów kawałki czerwonej materji na cal długie. Nacierają sobie ciało mieszanią czerwonej gliny z oliwą orzechową z Gwinci, która czyni skórę miękką i połyskującą. Twarz ich nie ma wcale rysów murzyńskich: podobni są, oprócz koloru, do Europejczyków; kibić ich jest piękna, a fizognomja przyjemna. Są oni bałwochwalcami tak jak Yourribowie.

»Dnia 12 przebywszy w bród małą rzeczkę, przybyliśmy do Cuttup. Handel tej wioski jest znaczny. W środku jej odbywa się ustawiczny jarmark, na którym sprzedają niewolników, wo-

ły, barany, tkaniny czerwone, gumnę, sól, orzechy goura, wełnę, szklane wyroby, tytuń, grube płótna krajowe, naszyjniki i zausznice, noże, miód, ryż, mleczywo, i t. p. Mniemałem iż powinienem ofiarować naczelnikowi pokolenia podarunek, godny reprezentanta, jakkolwiek skromnego, Króla JMci W. Brytanji. Dałem mu osm łokci adamaszku niebieskiego i ponsowego, dwie ryciny wyobrażające portret monarchy mego i Xięcia York, oraz inne drobnostki. Dałem w zamian barana, dwie ćwiartki wołowiny i podostatkiem ryżu wystarczającego na pięćdziesiąt osób. Nazajutrz, przyszło mnie odwiedzić dziesięć kobiet królewskich: podobało im się pobrywać mi guziki od kamizelki; ale uprzedziłem je, ofiarując te drobnostki z grzecznością; zawiesiły je zaraz uradowane u uszu, zamiast zausznic..... Wszelako worek mój był zupełnie próżny. Dla napełnienia go ogłosiłem sprzedaż pierścionków, naszyjników, igieł, i t. p., a chęć mający kupowania zbiegali się tłunnie. Dobrzy ci ludzie płacili bez targu po 15 do 20 kowrie za przedmioty, które kupione od jakiego Araba, nie kosztowałyby ich były więcej nad dziesięć. Nie wiedziałem czyli hojność ich przypisać miałem gatunkowi towarów moich, lub wartości jaką do nich przywiązali, jako do zakupionych od człowieka białego. Kobiety wolniejsze są w Cuttup aniżeli w krainach środkowych które zwiedziłem.«

D. 19 czerwca Lander przybył do Dunrorah, miasta mającego 40,000 mieszkańców. Leżało ono tylko o dwanaście lub trzynaście *lieues* od Funda, z kąd mógł się dostać we cztery dni na brzegi Atlantyku, kiedy w chwili wyjazdu z Dunrorah, zatrzymany został przez czterech ludzi zbrojnych, którzy zaprowadzili go do Zegzeg. Król kraju tego powiedział mu, iż jeśli go zmusił go do przybycia w jego państwo, było to jedynie w celu zastonienia go przed mieszkańcami, którzy wydali wojnę sułtanowi Bello. Starał się w reszcie pocieszać go w tem przykrém zdarzeniu, dając mu piękną niewolnicę i kilka wołów. W krotce potem, Lander udał się do Badagri, przebywając też same okolice które zwiedził wraz z swoim panem. Wszędzie widział oznaki żalu i uwielbienia dla pamięci nieszczęśliwego Clappertona, i wszędzie dobrocią przyjmowano przyjaciela który mu zamknął powieki. Ale w Badagri spotkał handlujących niewolnikami Portugalczyków, którzy go odmalowali przed królem kraju tego, jako szpiega wysłanego przez Anglję, mówiąc, że jeśli dozwolą mu odejść wolno, powróci on w krotce na czele wojska dla zawojowania całego kraju. Ta niedorzeczna potwarz uczyniła niejakié wrażenie na umyśle króla i mieszkańców. Naradzono się jak miano postąpić z biednym Landrem, i postanowiono dać mu się napić *fetyszu*. Jest to napój na który rzucają zaklęcie, i który ma własność wykrywa-

nia winnego jeśli nim jest pijący. Lander przeto stanął przed radą, przeszedłszy między dwoma szeregami żołnierzy zbrojnych w siekiery, dzidy i strzały. Skoro tylko wszedł, podano mu naczynie zawierające płyn tak czysty jak woda, i kazano mu go wypić, mówiąc: »Jeśli jesteś winny, napój ten śmierć ci przyniesie; jeśliś niewinny, nie ci nie zrobi złego.« Wypił go więc bez wahania się, i pobiegł natychmiast do swego szałas, gdzie kilka ziarenek emetyku i szklanka wody ciepłej pomogły mu do oddania całej ilości zakłętego napoju. *Fetysz* ma smak bardzo przykry, a mieszkańcy uważają go za próbę zawsze prawie szkodliwą dla oskarżonych.

W kilka dni potem, król przekonany o niewinności Landra, widząc dobry stan zdrowia jego, okazał mu wiele przywiązania i dozwolił odjechać, hojnie go obdarzywszy. Kapitan Mooris z brygu królewskiego *la Marja*, przybył sam z portu Whyda do Badagri, dla zabrania go do *Cape-Coast*; z *Cape-Coast* wypłynął do Anglii, gdzie przybył 30 kwietnia 1828.

XIX.

WIADOMOŚĆ O AMASSJI I SIVAS.

(z podróży P. FONTANIER).

Dwa miasta Azji mniejszej były dosyć niedokładnie opisane, abym mógł dodać jakie wiadomości.

mości do tych jakie zostały udzielone. Są to miasta *Sivas* i *Amassja*.

Sivas jest to dawne *Sabasta*; leży na wielkiej równinie, zakończonej z jednej strony pasmem gór równoodległych od *Taurus*, z drugiej zaś górami które zatrzymują nazwanie *Focattleusou*. Miasto to ma około 40,000 ludności, licząc 8000 domów podanych spisem; w tej liczbie znajduje się 3000 Ormjan a 1000 katolików, mieszkających o pół mili od miasta w wiosce zwanej *Perkinik*, gdzie znajduje się klasztor, pod władzą patriarchy góry *Libanu*, zamieszkały przez trzech lub czterech mnichów. Miasto to jest rezydencją paszy, rządcy prowincji która odgraniczona jest na południe paszalikami *Maaden* i *Kahissarie*, na wschód paszalikiem *Erzerum*, na północ paszalikiem *Trebizundu*, a na zachód paszalikiem *Bolo*. Nie mogłem się dowiedzieć, ile paszalik ten opłaca *Porcie*, ale opłata nie może być znaczną, jeśli zważymy że od niej odciąć należy dochody z *Tocatu*, który jest własnością prywatną, i że sąsiedztwo *Kurdów* zniewala paszę do częstych wypraw wojennych. Płody okolic miasta *Sivas* nie są bardzo rozmaite; ziemia tam jest nieurodzajna i tylko jęczmień wydaje. Owoce z trudnością rosną, i przywożone bywają podobnie jak wino z *Tocatu*. Wszelako jeograficzne miasta tego położenie, czyni je ważnym pod wielu względami: jest ono środkowym punktem *Azji* mniejszej, i razem

punktem zejścia się dróg z Erzerum, Bagdadu, Diarbekiru, Mossulu, Teçatu, Kahissaru. Miasto prowadzi znaczny handel, zasadzający się mianowicie na miedzi i na orzechach galasowych, które sprowadzają z Kurdystanu, a więcej jeszcze z Mossulu, gdzie najbardziej są cenione; sprzedają tam także tytuń z Malahia, który wyprowadzają do prowincji północnej. Przedmioty potrzebne do życia są tam bardzo tanie, a konie prawie żadnej nie mają ceny. Miasto posiada twierdzę zbudowaną przez Greków, podług powieści samychże mieszkańców; między starożytnościami najznakomitszym pomnikiem jest meczet opustoszały, i naprzeciwko niego Karawanseraj służący dla derwiszów. Dwa te pomniki są z marmuru, i przypominają świetniejsze Islamizmu czasy. Mniemałem z razu że to były budowle greckie, które dzisiejsi właściciele na inny użytek zamienili. Ale mniemanie to zmieniło się musiało, kiedym postrzegł iż liczne napisy, w dawnym arabskim języku, należały do całości tej budowli; byłyby mnie prócz tego wyprowadziły z błędu dwa minarety wznoszące się z obu stron drzwi wchodowych, które są pokryte dachówkami pokostowanemi i malowanemi, na podobieństwo tych jakie w Persji często widziałem. Minarety nie zdają się być również przydane do gmachu głównego, ale mają pewną regularność która nie jest zwyczajną meczetom. Karawanseraj na przeciw stojący, podobnie jest

zbudowany jak większa część tego rodzaju pomników; ma on postać prostokąta; w środku znajduje się wielki dziedziniec, podzielony arkadami, które przedsionki stanowią; a pokoje, lubo z niskimi dosyć drzwiami, są wysokie i bardzo ładne; światło wpada tam przez okna albo otwory u szczytu porobione; jeden z nich zawiera zwłoki jakiegoś świętego, który jest w wielkiem poszanowaniu. Dwa te pomniki są z marmuru żółtawego, któremu czas nadał kolor brunatny. Miasto to posiada jeszcze łaźnie publiczne godne uwagi, których posadzka z rozmaitego koloru marmuru w mozaikę jest ułożona; jest tam razem pięć bram i dziesięć meczetów. Ormjanie mają biskupa i kościół, grecy swego *papa*, ale nie posiadają kościoła wyłącznie dla ich obrządku przeznaczanego.

Amassja leży w głębi doliny utworzonej przez ostatnie pasma góry Lokemann; miasto to bardzo starożytne zawiera około 10,000 domów, między którymi 1000 ormjańskich, oraz 100 greckich. Podlega ono musselimowi, który zostaje pod rozkazami paszy Sivas, a którego główną czynnością jest pobór podatków; administracja wewnętrzna należy raczej do Ayanów i znakomitszych osób w mieście; w ogólności powieścić można, iż jest bardzo arbitralna, a często nawet tyrańska; każdy bowiem czyni co mu się podoba, i zamiast opłacać przypadającą na niego część ogólnych ciężarów, wielu naczeln-

ków nie obawia się pobierać jej dla siebie. Zresztą, nieznaną kraju gdzicby obfitość środków do zaspokojenia potrzeb służących tak bardzo stykała się z najwyższym stopniem nędzy. Ziemia jest najurodzajniejsza; drzewa owocowe rosną niehodowane w lesie o trzy lieues od miasta, a na pięć lieues do koła, widać wszędzie plantacje drzew morwowych. Wywóz jedwabiu dochodzić może do stu ładunków mułowych, a licząc podług zwyczaju w ładunku jednym około 360 funtów, wypadnie 36,000 funtów jedwabiu, który sprzedany po 60 piastrów, uczyniłby około 2,160,000 (około 2,000,000 złp.). Nie ręczyłbym za tę cenę 60 piastrów, ponieważ nie mogli tam pojąć jak mogłem dowiadywać się o cenę jedwabiu, nie mając zamiaru nabycia go od kupców; dla tego więc obecność moja znacznie podwyższyła cenę towaru tego, i zapewne podano im ją znacznie wyżej jeszcze niż było w istocie. Jedwab ten wyprowadzany bywa do Dearbekiru, Alepu, Damaszku, których miast zażywia rękodzielnie; gatunek jego jest gorszy aniżeli jedwabiu z Broussa, a podlejszy jeszcze od gatunku z Guilan. Owoce Amassji wyprawiane także bywają bardzo daleko, i pojąłoby trudno było, jakim sposobem znajdowano korzyść w tym rodzaju spekulacji, gdybyśmy się nie zastanowili nad niską niezmiernie ceną po jakiej je tam zakupują. Oko, czyli trzy funty dobrych gruszek, sprzedają po jednym

para, czyli połowie liarda; sześć funtów wiśni tyleż kosztuje. Wywożą również z kraju wino; byłoby ono dobre, gdyby mu dozwolono dostatecznie wyfermentować, ale mieszkańcy wolą kiedy jest słodkawe; wyrabiają z niego wódkę, którą młodzież turecka chętniej kupuje. Do skrapiania ogrodów używają kół z ławeczkami których promień jest bardzo wielki, co jest przyczyną znacznej obojętności czerpaków; naliczyłem takich kół blisko pięćdziesiąt w bliskości miasta. Wspominam tutaj o tym rodzaju przemysłu, który znajduje się prawda w Azji, ale w tej części państwa jest właściwy tylko Amassji. Znajdują się także na rzece młyny wodne podobne do europejskich, w miejscu budowane; kamienie młyńskie są z masy łamanej, składającej się z kamienia wapiennego i zwiru w pokład zbitych. Starożytności miasta są: 1), kanał pół mili geogr. długości mający, kopany na jednej ścianie góry, ale nie skończony; 2). cytadella, 3). jaskinie; 4). kościoły i stare meczety które zdają się jednejsze zasięgać epoki. Nie mogłem wiedzieć dokładnie komu otworzenie kanału tego przypisują; mieszkańcy jedno tylko w tym względzie mają podanie; podług nich, bardzo bogaty Turek zakochał się szalenie w córce młynarza Orinjanina, która przyrzekła mu że pójdzie za niego i zmieni religję, jeśli on przeprowadzi wodę aż do młyna jej ojca; Turek stracił cały majątek nie dokonawszy tej pra-

cy, a dziewczyna nie zmieniła swojej religji, wystawiając go na wzgardę i pośmiewisko towarzyszy. Powieść ta jest oczywiście naśladowaniem powieści perskiej w tymże rodzaju. Cytadella, jak mówią, miała być wzniesiona przez Greków, i łatwo jest rozpoznać ich dzieło; uzyskałem rozkaz paszy, aby mnie tam wpuszczono; musselin skłaniał się do ułatwienia mi wstępu, ale rada Ayanów przedstawiła mu, iż musiałem być niezawodnie szpiegiem, i że z resztą nie miałem z osobnego firmanu z Konstantynopola, a pasza nie miał prawa żadnego wpuszczać kogobąc do twierdzy. Musiałem poprzestać na tem o czem mi powiadano, to jest że na drzwiach wchodowych znajdował się napis grecki, wewnątrz zaś starożytne posągi i uzbrojenia. Widziałem kask i zbroje które z tamąd były zabrane. Kask był żelazny z spuszczanym nadgłówką; przerysowałem go sobie starannie. Zbroja zrobiona była z kling żelaznych pozakładanych na siebie i złączonych płótnem bawełnianym niebieskiego koloru, podobnym do tego jakie w kraju wyrabiają. W opisie jaskiń Amasji przez P. Morier zrobionym, autor mówi tylko o trzech, które widział wchodząc do miasta; znajduje się znaczniejsza ich liczba, widziałem bowiem trzy inne na górze u stóp której miasto jest zbudowane, dwie zaś na drodze z Trebizundu. Jedna z tych jest bardzo znakomitą pomnikiem. Oto jest jej opis: wystawny

sobie gmach 35 stóp wysoki, a 30 szeroki, uńcieszczony pośród wydrążenia zrobionego w górze, tak iżby go można okrążyć, wstąpiwszy po trzech stopniach do niego prowadzących; góra jest z kamienia wapiennego dającego się polerować, tak iż budowa zdaje się być z marmuru. — Dwie kolumny zawierają fasadę, a wejściem jest małe okno, dość zrobione wysoko, tak iż do niego bez drabiny dostać się niepodobna. Nad tym rodzajem okna, widać nieuszkodzony dotąd napis grecki: ΤΗΣ ΑΡΧΙ ΕΡΕΥΣ. Nad tą samą fasadą, stanąwszy dogodnie, widzieć można szczątki malowań na samym marmurze będących; rysunek jednego z nich jest poprawniejszy niżby można przypuszczać na tę epokę; zdaje się iż kolory miały wiele żywości; jest to człowiek długą odziany szatą, przepaską w stanie ścieśnioną; głowę jego okrywa pewny rodzaj turbanu, a otaczają promienie światła. Niepodobna jest, aby oznaki te nie odniosły nas do pierwszych chrześcijaństwa wieków; wewnątrz, którego widzieć nie mogłem, zawiera dwanaście figur podobnego rodzaju, ale lepiej zachowanych. Znakomita ta jaskinia leży na brzegu rzeki na lewo, o jedno lieu od Amassji. Wzbronienie mi przez muselina wniścia do cytadelli, było powodem, że i tutaj Ormjanie nie chcieli mnie zaprowadzić; a nawet służący moi towarzyszyć mi tam nie śmieli. Musiałem więc szukać jej sam, podług ich wskazań i tych jakich mi udzielili wieśniacy tu-

reccy, mniej podejrzliwi niżeli ich naczelnicy (*). Na drodze znalazłem kamień z napisem greckim. Przepisałem go sobie; są to imiona własne. Szczałki pomników greckich posłużyły do utworzenia przejścia do małego kolegjum; znalazłem tam napis który także przepisałem, ale który nie zawiera żadnego znaczenia. — Wstępując do Amassji, widzieć można dwa meczety, jeden przeciw drugiego; jeden służy za groby monarchów tureckich; drugi na skład zamieniony został; na obu są napisy w dawnym arabskim języku; minaret meczetu po lewej stronie stojącego, okryty jest pokostowaną dachówką; wielki kościół w środku miasta znajdujący się i służący za meczet, zawiera cztery posągi; jeden z nich przedstawia kobietę pieszczącą dziecię; nakoniec, na wzgórzu, widać szczątki starożytniej świątyni. Miastu tak bogatemu w starożytności nie musi zbywać na cudach; i dla tego Turcy i Ormjanie mają obfite ich zapasy. Jeśli zaraza morowa ciężkie zadaje klęski, wielki meczet gdzie są posągi, zamienia się na kościół, a kij sprowadza Ormjan na modlitwy; zresztą, podczas nocy, zgromadzają się tam widma (*Tachain*), to jest ta jaskinia którą opisałem, przedstawia fenomena podobne, gdyż w czasie upałów, bagna i ogrody przyczyniają się do ulotniania się gazów, te

(*) Zob. litografowany widok opisanej tu góry i jaskini, do tego Nru dołączony.

tworzą tak nazwane ogniki, które mieszkańcy biorą za duchy, i nie odważają się nocą w tych okolicach przechodzić. Turcy, podług swego szlacheznego zwyczaju, nie omieszkali zepsuć tych pomników. Utrzymywali oni w jaskini ogień przez trzy dni, a gdy marmur oparł się ich usiłowaniam, rzucili się na niego z dłutem; ale ponieważ robota ta zbyt długą była dla ludzi tak mało czynnych, dotąd więc jeszcze konie ich zatrzymują się przed obrazem jaki im tworzy odbicie marmuru, i ciągle ich lękanie się utrzymuje. W mieście i w cytadelli Amassji znajdują się Francuzi, których tam zatrzymano w czasie wyprawy egipskiej; jeden z nich P. Millias, wyrył nazwisko swoje w jaskini; inny został Turkiem, i przy wymianie jeńców porzucił małżonkę którą pojął; nie mało byłem zdziwiony kiedy raz przyszedł do mnie młodzieniec oświadczając mi że jest moim ziomkiem, i że mu z tego powodu winniem uczynić jaki podarunek.

Porównywając rozmaite pomniki jakie się znajdują w Sivas i Amassji, wątpić nie można, że z jednego prawie pochodzą czasu, że je należy odnieść do epoki podbicia Azji mniejszej przez Arabów, i do czasów prześladowania chrześcijan. Pomniki arabskie tak wydatny mają charakter grecki państwa wschodniego, iż dla ich budowy trzeba było bliższych i przyjaźniejszych między dwoma ludami stosunków aniżeli były te o jakich nam niewyraźne dzieje owych czasów po-

dają. Mogłyby one zrodzić bardzo ważne pytanie, które dotąd jak mniemam nie było rozwiązane. Kiedy Arabowie osiedli w Karamanji, i posunęli się aż do Konstantynopola, jakież było położenie ludu zwyciężskiego względem zwyciężonego? Musiały bez wątpienia istnieć pomiędzy nimi jakieś umowy i wstrzymania kroków nieprzyjacielskich, które dozwoliły pierwszemu wprowadzić do siebie sztuki drugiego.

ROZMAIŃTOŚCI.

Wyspa Terceira. — Znana od Rzymian pod imieniem Tertiaria, najznakomitszą jest z grupy wysp Azorskich, leży o 15 stopni ku zachodowi, względem Portugalji. Ma 15 mil długości, 6 szerokości, 22 obwodu (25 na stopień). Otoczona spadzistemi skałami, które ją niedostępną czynią: ma tylko niektóre przystępne miejsca, które obwarowano. Wyspa ta jest bardzo przyjemna. Góry mają na sobie płaszczyzny. Podlega trzęsieniom ziemi; nawet r. 1761 utworzył się tu bardzo straszny wulkan. Wód ma podostatkiem, a grunt bardzo zyzny. Wina jej są średniego gatunku; lecz za to wielki wywóz pszenicy, maisu, grochu okrągłego i szablasteo; co wszystko idzie do Lizbony. Widać tu drzewa kaszlanowe, morwowe, cytrynowe, pomarańczowe i jabłonic. Pastwiska żywią piękne bydło,

szczególne woły są piękne. Najgłówniejszy jednak handel tej wyspy składa pastel, drzewo do budowy i jabłecznik.

Mieszkańcy są dobrze zbudowani i pełni dowcipu, kobiety szczególnie są żywego umysłu i wesołe. Powszechnie panuje tu wstrzemięźliwość, praca i siła. Ludność wynosi 60,000.

Należy, jak wiadomo, do Portugalów. Pamiętna jest w dziejach wygnaniem Alfonsa IV, syna i następcy Jana IV, który wstawił się korzyściami odniesionymi nad Hiszpanami, a potem wygnany, jako niezdatny do rządów, przez żonę, która polubiła don Pedra młodszego jego brata. Wrócił on potem do Portugalji, i zakończył życie pod Lizboną 1563. r.

W czasie ostatnich wypadków w Lizbonie, wyspy azorskie uznały władzę Michała (Migucla). Jedyna wyspa Terceira została wierną Don Pedrowi i królowej Portugalji Donnie Marji da Glorja jego córce. Posiada dwa miasta, Angra i Praja.

Angra jest stolicą Terceiry i wszystkich Azorów; ma port dobry, przez dwie cytadelle broniony, i jest stolicą biskupa. Gubernator Azorów ma tu swoją rezydencję: jest ona miejscem wytchnienia zwyczajnym okrętów portugalskich płynących do Brazylii i Indjów. Ludność wynosi 6,000.

Praja ma port ożywiony handlem; ludność 4,000. Pod działami Prai, 16 stycznia tego ro-

ku cztery statki portugalskie, płynące z wychodźcami z Plymouth, zostały napadnięte przez dwie fregaty angielskie, które do nich ognia dawały; zmuszone płynąć z nimi do przylądka Finisterre, schroniły się szczęśliwie do Brestu.

Połów koralów w Trepanie. — Korale zwykle w lecie w czasie cichego morza są poławiane. Starożytni używali tu do połowu, podług Plinjusza, sieci i żelaznych narzędzi. Mieszkańcy Trepanu biorą w dzisiejszym czasie zwykle tylko sieci. Każda barka ma z sobą cztery sieci; sieć zwykle szeroka jest na pięć palmów (stóp), ale daleko mocniejsza i większe ma oka niżeli inne rybackie sieci. Każda sieć wzmoconiona bywa drewnianym krzyżem przymocowanym do jednego z czterech końców; ramiona jego pięć palmów wynoszą i mają przytwierdzone kamienie ciężkie; tak przygotowana sieć rzucana się do morza. Kilku sterników w rozmaite kierunki wprawiają łódź, tym sposobem spuszcza się sieć z krzyżem na dno morza. Korale przyczepiają się do niej, wyrwane z dna morskiego i na wierzch wyciągnięte. Rybacy łatwo poznawają swój połów, wyciągają go na statek, i na nowo sieć zarzucają. W taki sposób odbywa się sztuka poławiania koralu. Wydobyte z morza mają surową na sobie powłokę, podobną do

świeżo spalonej cegły. Zdejmuje się ona żelaznym narzędziem, dopiero w ówczas właściwa barwa morskiego tworu się ukazuje; na koniec przy wielkim mozole staje się połyskującą. Tę robotę odbywają na młyńskim kamieniu, trąc piaskiem czerwonym, lub też pewnym gatunkiem ziemi Tripolitańskiej, w sposób używany do gładzenia drogiej kamieni. Korale szacują się zwykle stosownie do wielkości, grubości gałęzi, lub barwy; najszacowniejsza jest czerwono-ciemno-brunatna. Stanowią w Trepanie znaczną bardzo gałąź przemysłu i handlu; corocznie wysyłają znaczną ilość tak surowych jako i wyrobionych koralu do Alexandrii w Egipcie, do Lizbony i Livorno, z kąd idą do Azji i wschodnich Indji, gdzie są bardzo poszukiwane i szacowane. Mężczyźni i kobiety używają ich tam do ozdoby, jak my perły które z tamtąd przychodzą. Korale posłużyły do wprowadzenia i dały wysoki popęd rzeźbiarstwu w Trepanie. Dla zwyczajnego poszukiwania i wysokiej ceny tego produktu, rzecz naturalna, że dowcip ludzki usiłował szlifowanie, rżnięcie i kształty do doskonałości w różny sposób przyprowadzić. Dowód że rzeźba nie bardzo dawno w Trepanie znana była, spoczywa na tym względzie, że rzeźbiarzy i snycerzy wszelkiego rodzaju, pod imieniem Corallari obejmują, a nawet od nich ulica, gdzie swoje mieli rzeźbiarnie nazwisko otrzymała. Rżnięcie koralów otworzyło drogę do innych sztuk,

bo sztukmistrze zwrócili swoją czynność do obrabiania alabastru, drzewa, kości słoniowej, a nawet do konchów i bursztynu.

Jezioro Luzana. — Na górze Cebret w Galicji hiszpańskiej jest jezioro, które chociaż od morza na 12 mil odległe i wzniesione znacznie nad powierzchnię morza, ma perjodyczny przypływ i odpływ. Prócz tego niestałe ma wody bo raz jak lód zimne, drugi raz gorące. Uważano że im jest powietrze cieplejsze tem obfitsze są jego wody.

Grzeczność murzynów w Senegalu. — Kiedy murzyn Senegalski opowiada przyjacielowi swemu jaką bajkę, która tam podobnie jak między ludami ucywilizowanemi Europy z ust do ust przez podanie przechodzi, mówi on naprzód: *Leb-on-na*, co znaczy *zrobiłem bajkę*, albo też *mam tu bajkę*; zwyczajne wyrażenie: *razu pewnego*, odpowiada prawie zupełnie wyrażeniu senegalskiemu. Grzeczność murzyńska wymaga, aby każdy obecny odpowiedział na to: *Lou-poon-ne*, co znaczy *to jest zrobione dla rozrywki*, albo *to jest zabawne!* Na to odpowiada opowiadający: *Am-on-ne-si*, czyli *to znajduje tu miejsce*, nakoniec odpowiadają obecni *Da-na-am*, czyli *to powiada* albo *to znajduje miejsce*, i dopiero zaczyna się opowiadanie.

GAZETA PODRÓŻY I JEORGAFJI.

ANGLJA. Podróżny znany Buchanan opisuje, iż słyszał w Indiach wschodnich śpiewaczkę, która tam była tem, czem u nas Pani Pasta. Cała jej sztuka zasadzała się na trylach które bardzo czysto oddawała, zatykając sobie jedną dziurkę u nosa, a w drugą palcem raz po raz uderzając. Prawda, mówili krajowcy, że wy Anglicy jesteście w wielu względach wyżsi od nas, jesteście rozumniejsi, zręczniejsi, bogatsi, etc.; ale co do śpiewu, sami przyznać musicie, że nam bynajmniej zrównać nie potraficie. — Na wyspie Trinidad obowiązywały dotąd pewne z czasów hiszpańskich pochodzące ograniczenia mieszkańców rodu afrykańskiego. Król angielski zniósł teraz te ograniczenia i postanowił, aby wszyscy mieszkańcy bez różnicy równi byli w obliczu prawa.

HISZPANJA. W roku zeszłym założono w Hiszpanji przeszło 30 mil drogi stucznej, wystawiono 27 mostów, i 70 wodociągów, na cō wszystko wydano przeszło 15,000,000 realów.

— W Ponferrado dało się znowu uczuć trzęsienie ziemi d. 10 kwietnia i w dniu tym śnieg padał. Podobnie padał śnieg w tym samym czasie na górach Guarraina o 11 mil od Madrytu.

— W miejscu gdzie stało miasto Guardamas, nie ustaje trzęsienie ziemi, i sądzą, że cała tamtejsza powierzchnia ziemi zapadnie się. W miejscu gdzie Almoradi stało, d. 13 kwietnia wznawiało się jeszcze trzęsienie ziemi. W Murcji dało się uczuć jeszcze d. 18 kwietnia.

Spis przedmiotów zawartych w Tomie VI.

Stronnica

- Anglja i Szkocja— Przypomnienia z podróży roku 1820-1824 odbytej przez Krystyna Lacha-Szymę — z rysunkami litograficznymi. Tom III. Warszawa 1829 (Dokończenie) 3
- Wiadomość o mieście Pondichery; oraz o obyczajach i zwyczajach Malabarów 27
- Archipelag Azorski: Wyjątek z opisu niewydanego 43
- Wiadomość o mieszkańcach Nowej Zelandji; przez R. P. Lesson. 57-113
- Podróż z Tyflis do Medjolanu, przez Konstantynopol, Bułgarję, Serwję, Karyntję, w r. 1828 uskuteczniiona. (Wyciąg z listu P. Scarzo do Doktora Ozanana z Ljonu.— Przekład z Włoskiego.) 79
- Podróż z Crucero, stolicy prowincji Carabay w departamencie Puno w Peru, na doliny Phara aż do rzeki Palcobamba albo Inambari, w Listopadzie 1826, odbyta przez Niemca tam osiadłego. 90-191
- Wiadomość o Szczawnicy w Karpatach i o znajdujących się tamże wodach mineralnych 134
- Wiadomość o podróżach P. Rifaud, odbywanych w rozmaitych krajach, a szczególnie w Egipcie 145
- Wiadomość o obecnym stanie Tripoli w Barbarii. 169

- O jeziorach Kilarney. Wyjatek z niewydanego rękopismu pod tytułem: *Podróż do Irlandji*. 182
- *Reise nach Brasilien etc.* *Podróż do Brazylji* PP. Spix i Martius, członków akademji umiejętności w Munich etc.; przedsięwzięta na rozkaz króla Bawarskiego Maxymiljana Józefa I. 225
- Meksyk przez P. Ward sprawującego interesa Króla JMci Angielskiego w tym kraju. 2 tomy in 8 Londyn 1828. 243
- *Journal of a second expedition etc.* *Dziennik drugiej wyprawy do środka Afryki, z odnogi Benińskiej aż do Soccatou*; przez Clappertona kapitana z królewsko-angielskiej marynarki, z dołączeniem *Dziennika Ryszarda Lander*, opisującego *podróż od Kano aż do brzegów morza, drogą więcej ku zachodowi idącą*. (W Londynie 1829). 256-303
- *Ubiory cywilne, wojskowe i duchowne w Meksyku* przez P. Linati 281
- *Pobył dwóch opuszczonych majtków angielskich na wyspie Amsterdam*. 295
- *Wiadomość o Amassji i Sivas*. (Z podróży P. Fontanier.) 329

Rozmaitości.

- *Hemus czyli Balkan* 49
- *Niektóre szczegóły o murzynach w Senegalu*. 52
- *Niektóre szczegóły o Lady Stanhope*. . . 108

- Dawny i obecny stan ludności w Sycylii i w Hiszpanji 111
- Nowe budowle w Londynie. 112
- Ogrody Maurytańskie 112
- Obchód małżeński w Atenach. (Wyjątek z opisu bezimiennego autora.) 155
- Odkrycie szczeki skamieniałej największego ze zwierząt znanych 159
- Harem Maurytański w Rabot naprzeciwko Sale w Ces. Marokańskim 160
- Pałace się pola 160
- Rzeka Kara-Suh 161
- List pewnego Anglika o podróży P. Caille . 162
- Starożytności etruskie. 208
- Acorostatyka 208
- Prezydent krajów zjednoczonych Ameryki północnej Jackson. 209
- Dyamenty Brazylijskie 210
- Charakterystyczna anegdota 211
- O okrętach wojennych 211
- Chodniki w Paryżu 211
- Tytuły Muftego. 212
- Drezdeńska choroba zatarciem zwana. . . 212
- Śniegi popiołem pokryte. 213
- Zkąd Morze Czarne ma swoje nazwanie? 213
- Nadzwyczajnie wielki orzeł w Chinach. . 213
- Wiadomość o mieszkańcach Gruzji . . . 214
- Indianie Winnebagowie 218
- Myśliwstwo Amerykańskie na pszczoły . . 276
- Siła morska królestwa Niderlandzkiego . . 278
- Nowa wyprawa do bieguna północnego. . 278

Stronnica

- Połów koralów w Trepanie 341
- Jezioro Luzana 343
- Grzeczność murzynów w Senegalu. . . . 343

Gazeta podróży i jeografji.

- Polska. 222
- Rossja. 168-222
- Anglja. 54-168-223-280-344
- Francja. 55-223
- Niemcy 56
- Prussy. 168-223
- Hiszpanja. 344
- Ameryka. 280

Bibliografja.

Na stronach 56-224.

SPIS PRENUMERATORÓW.

- Bańkowski Urz. Górn. kraj.
- Bauner Urz. Górn. kraj.
- Bechon A.
- Białkowski Ass. pr. K. W. Krak.
- Biblioteka Teatru Narodowego.
- Biegański Jenerał.
- Bieniecki Poseł.
- Bieńkowski Antoni Sen. Kaszt. K. P.
- Biernacki Prezes Tow. Kr. W. Kal.
- Blumer Jenerał.
- Borzęcki Tadeusz Patr. Tr. W. Płock.
- Bernatowicz.
- Bronikowski Kom. Obw. Komuń.
- Bronikowski Xawery.
- Brzeziński Wojciech Patr. Tr. C. W. M.
- Chłodnicki.
- Chojecki Rad. W. Podl.
- Chodyncki Leon Inż. w D. D. i M.
- Cholewiński.

Chrzanowski Ignacy.

Cichocki.

Cielecki Urz. K. R. P. i S.

Ciepliński Benedykt.

Cieszkowski Urz. Gór. kr.

Ciświcki Leon Sekr. T. C. I. Inst. W. S.

Czurakowski.

Dembiński Felix PPor. Rak. konnych.

Debski Stanisław Urz. K. R. P. i S.

Dyzmański Józef.

Dzwernicki Prezes Tryb. W. Kal.

Dzieszkowski X. Rektor.

Fechner Franciszek Kapitan.

Gawarecki Hippolit Prokurator T. C. W. Pł.

Gmehling Stanisław Sekr. K. R. W.

Gniewosz.

Golanowski.

Graff Radca Górniczy.

Grądzielski.

Gydelski.

Hauke Ludwik Radca St. Nacz. W. Gór.

Hoppen Karól.

Horehlad Józef Rad. Nadw.

Jagmin Bonifacy Pułkownik.

Jakubowski X. Adam Prof.

Jałomejski.

Janikowski Andrzej Dr. Md. i Chir.

Jasiński Erazm Pis. S. P. P. W. Sand.

Jenicz.

Jonczewski Konstanty Urz. Kom. R. S. i P.

Jurkowski Kapitan Artyllerji Szef Bióra K. R. W.

Kaczkowski Jan.

Kawiarnia w pał. Chod.

Kiel Rotmistrz Gw. Wołyń.

Kochanowska Dyr. Lot.

Köhler Józef.

Komitet Cent. Policji.

Korczakowski.

Koźmian X. Biskup.

Kranas W. F.

Krasiński Wincenty Jenerał Dywizji.

Krzyżanowski Adrjan Prof. Uniw.

Lach Szyrma Krystjan Prof. Uniw:

Lapierre Jan Urz. K. R. P. i S.

Lelewel Joachim.

L... S...

Lipski Wojciech.

Lipski Jan Urz. Górni. kraj.

Liszczyński.

Lubiński Jan.

Łanowski Andrzej.

Łapiński Xawery Dyr. Kanc. w K. R. P. i S.

Łącka Eleonora.

Łojewski Patr. T. W. Kal.

Łowiński Ignacy Kassjer M. R.

Łoziński Michał.

Majewski Mecenas S. N. I.

Makowski Franciszek Sekr. Obw. Siedl.

Makrot.

Malcz Dr. Md. i Chir.

Malcz Bogumił Patron Tr. C. W. M.

Małcharek Karól Urz. Wyd. Gór. k.

Malczewski Adolf.

Markowski.

Matuszewski Mecenas.

Marylski Eustachy.

Mieszkowska Marszałkowa.

Milewski Karól Urz. K. R. W. R. i O. P.

Morawski.

Moszyński Felix Adj. K. W. Podl.

Myło Edward.

Nakielski Major.

Narbut Kap. Gw. Pol.

Norwid Jan Kom. Obw. Marjampolskiego.

Orłowski Michał Urz. K. R. P. i S.
Orsetti.

Paschalis.

Pazdański Antoni.

Piątkowski.

Pióro Łukasz Patr. Tr. C. W. S.

Piwnicki R. S. Prezes K. W. Kal.

Piwnicki Jan.

Płużański Major.

Postnrzyński Jan Patr. T. W. S.

Przybyłowski Kom. w K. W. Kal.

Puchalski Administrator.

Pusch Prof. Szk. Gór. Asses. W. G.

Radwan Bronisław.

Regulski Pułkownik.

Reklewski Łukasz Ref. W. G.

Resursa Kupiecka stara.

Resursa kupiecka nowa.

Rutkowski PPisarz S. P. P. Kal.

Rychłowski Władysław PPis. S. P. P. W. M.

Sabatowska.

Salamoński.

Sałaci Pułkownik.

Sattler Jan Kas. K. W. M.

Sierawski Juljan Jenerał.

Skarżyński.

Skórzewska.

Skwarski Klemens.

Solecki Józef.

Sołtyk Franciszek Poseł.

Straszewski Florjan.

Swiechowicz Ludwika.

Szembek Józef Hr.

Szkoła Węgrowska.

Szkoła Zamojska.

Szkoła Woj. Pińczowska.

Sztanderski Jan S. T. W. S.

Toczyński X.
Tomaszkiewicz Urz. K. R. P. i S.
Tomkowicz.
Trzetrzewiński Ur. K. R. P. i S.
Twardowski Por.

Waligórski Józef PPor. Rak. pieasz.
Węgierski X. Kan.
Wielogłowski Radca St. Pr. K. W. Krak.
Wiśniewski.
Witkowski Augustyn Prez. Tr. W. S.
Wodzicki Stan. Hr. Prez. Rz. Krak.

Zawadzki adw. S. A.
Zille.
Żywult Major.

Nazwiska prenumerujących na pocztamtach nie
są Redakcji wiadome.

12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100

